BIULETYN IPN

pamięć.pl

nr 9/2012

Spory historyków: Andrzej Friszke i Jan Żaryn o ruchu narodowym

Niewiadomski: dlaczego zabił prezydenta?

Najdłuższy strajk stanu wojennego



Dodatek specjalny: plakat akcji Zapal Światło Wolności

Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319

numer indeksu 284521
nakład 9500 egz.

BIULETYN IPN
pamięć.pl
nr 9/2012

SPIS TREŚCI

3 AKTUALNOŚCI IPN
4 KALENDARIUM
6 Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON
8 Krzysztof Gottesman, **Grudzień '70 w dziennikach pisarzy i polityków**

STOPKLATKA
10 Paweł Miedziński, **Szczecińscy fotoreporterzy niewypowiedzianej wojny**
14 Radosław Morawski, **Rok więzienia za żłóbek**

Z ARCHIWUM IPN
16 Grzegorz Wołk, **80 milionów**

WYWIAD
18 **Stan wojenny przed sądem**
rozmowa z Andrzejem Pozorskim, prokuratorem Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN
21 **Odtrutka na Klossa**
rozmowa z Jarosławem Sokołem, współscenarzystą serialu i autorem książek z cyklu *Czas honoru*

SPORY HISTORYKÓW
25 Andrzej Friszke, **Grzechy endecji**
30 Jan Żaryn, **Endecja – cenne dziedzictwo**


Fot. Stefan Cieślak


Fot. ze zbiorów J. Żaryna


Fot. Kompania Węglowa S.A./Wojciech Wikarek


Fot. Filmoteka Narodowa

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU
35 Patryk Pleskot, **Niewiadomski: dlaczego zabił prezydenta?**
39 Sławomir Kalbarczyk, **Zostać czy wyjść?**
43 Joanna Hytrek-Hryciuk, **Cicha noc, heilige Nacht**
45 Piotr Brzeziński, Daniel Wicenty, **Serce, co nagle zgasło. Wspomnienie Staszka Sieradzana**
49 Andrzej Sznajder, **Wolna Polska zepchnięta pod ziemię**
53 Maciej Maciejowski, **Partyjni dygnitarze w odosobnieniu**

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU
57 Jerzy Eisler, **Śmierć prezydenta**

Z BRONIĄ W RĘKU
60 Michał Mackiewicz, **Czołg Renault FT 17 – militarny unikat w Polsce!**

ORZEŁ BIAŁY
63 Tomasz Zawistowski, **Orły kawalerii I Brygady Legionów Polskich**

MIEJSCA Z HISTORIĄ
66 Tomasz Stańczyk, **Żywe ruiny Warszawy**

EDUKACJA HISTORYCZNA
68 Anna Brojer, **Zapalmy światło wolności**

70 RECENZJE

72 BIBLIOTEKA IPN

PROSTO Z NAJWESELSZEGO BARAKU...
73 **Ze Ślepowronem w herbie**

Szanowni Czytelnicy!

Określenie „noc grudniowa" kojarzy się często z czymś złowrogim, groźnym. Zarówno w wymiarze zwykłego strachu przed nieznanym i ciemnością, który towarzyszy człowiekowi od zawsze, jak i w szerszym znaczeniu – zagrożenia dla wolności, wyższych wartości i własnej tożsamości. Historia Polski XX wieku w takie noce obfitowała.

„Grudniową noc" zafundowały Polakom władze komunistyczne w 1970 roku. Na ulice wyjechały czołgi, wojsko i milicja strzelały do ludzi. Grozę tych dni, zarejestrowaną przez obiektywy świadków, fotoreporterów, a także funkcjonariuszy SB, znakomicie oddaje materiał zebrany przez Pawła Miedzińskiego w dziale Stopklatka. Z kolei Piotr Brzeziński i Daniel Wicenty pokazują, jak nisko cenione było wówczas ludzkie życie i jak nieludzkie było postępowanie przedstawicieli totalitarnego reżimu: historia Staszka Sieradzana, niewinnie zabitego nastolatka z Gdyni, może stanowić symbol tamtego czasu.

Mroki grudniowe spowiły Polskę także w roku 1981, gdy nielegalnie powołana Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego wprowadziła w PRL stan wojenny. Jednym z dramatycznych epizodów pierwszych dni „wojny polsko-jaruzelskiej" był dwutygodniowy podziemny strajk górników kopalni „Piast". O tych wydarzeniach opowiada artykuł Andrzeja Sznajdera.

W grudniu przypada także rocznica zabójstwa pierwszego prezydenta odrodzonej Rzeczypospolitej, Gabriela Narutowicza. Postać zamachowca, Eligiusza Niewiadomskiego, którego czyn rzucił cień na początki polskiej demokracji, przybliża w tym numerze Patryk Pleskot. Śmierć prezydenta nie nastąpiła w próżni – nie wszyscy obywatele młodego państwa udźwignęli ciężar odpowiedzialności obywatelskiej i zasad demokratycznych. Dużą rolę odegrali w tym radykalni działacze endecji, którzy przyczynili się do wytworzenia nienawistnej atmosfery, sprzyjającej brutalnym zachowaniom. Choć oczywiście nie oni jedyni są za to odpowiedzialni . O roli ruchu narodowego, prawdziwych i krzywdzących stereotypach oraz winach i zasługach narodowców dyskutują Andrzej Friszke i Jan Żaryn. Każda noc się kiedyś kończy... Grudzień to także czas składania życzeń, okazywania życzliwości – potrzebnych zwłaszcza w nieżyczliwych czasach, o czym przekonuje tekst Joanny Hytrek-Hryciuk o świętach obchodzonych w obozie jenieckim. Pamiętajmy i o tym.

Wszystkim Czytelnikom w imieniu redakcji składam życzenia spokojnych i pełnych ciepła świąt Bożego Narodzenia oraz wszelkiej pomyślności w nowym roku.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski

pamięć.pl

Wydawca:
Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:
dr hab. Grzegorz Berendt, dr hab. Robert Klementowski, dr Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski, dr Agnieszka Łuczak, dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski, dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący), dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna:
Dawid Golik, Agnieszka Jaczyńska, dr Andrzej Krajewski, Jan Olaszek, Kamila Sachnowska, dr Paweł Sasanka, Magdalena Semczyszyn, Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:
Andrzej Brzozowski (redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56; e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)
Maciej Foks, Filip Gańczak, Andrzej Sujka, Karolina Wichowska

Sekretariat:
Maria Wiśniewska
tel. 22 431-83-47, faks 22 431 83 11

Korekta:
Joanna Wysłowska

Projekt graficzny:
Krzysztof Findziński, Marcin Koc, Sylwia Szafrańska

Redakcja techniczna:
Andrzej Broniak

Skład i łamanie:
Sylwia Szafrańska, Anna Zakrzewska

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a, Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne Zapolex ul. Gen. Sowińskiego 2/4, 87-100 Toruń

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

ZAMACH NA CHRUSZCZOWA

W lipcu 1959 roku władze PRL przygotowywały się do świętowania piętnastolecia powstania „ludowej" Polski. Rocznicowe uroczystości miał uświetnić przyjazd Nikity Chruszczowa, I sekretarza Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Godzinę przed jego planowanym przejazdem przez Zagórze w koronie przydrożnego drzewa wybuchła bomba. Śledztwo w tej sprawie okazało się serią porażek katowickiej SB. Historię tajemniczego zamachu na radzieckiego przywódcę opisuje Adam Dziuba.



Fot. AIPN



Fot. AIPN

DRUGI OBIEG OD KUCHNI

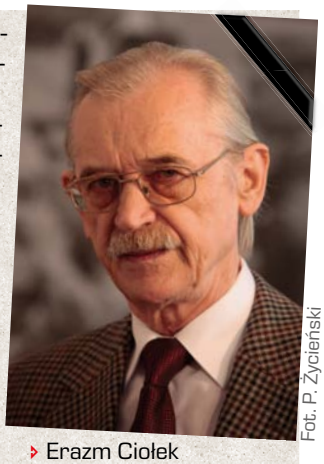
Prowadzenie działalności wydawniczej w warunkach konspiracyjnych nie było łatwe. Najpierw należało zdobyć odpowiednie materiały poligraficzne (papier, farbę itp.), następnie wydrukować tekst, a w końcu znaleźć kanały, którymi mógłby zostać rozkolportowany. Trzeba też było zadbać o zgubienie esbeckiego „ogona". Czym się różnił samizdat od powielacza, a ramka od offsetu? Warsztat wydawców drugiego obiegu przybliża Kamil Dworaczek.

■ Znamy już laureatów piątego **konkursu Książka Historyczna Roku**. Uroczyste wręczenie nagród o łącznej wartości 60 tys. zł odbyło się 9 listopada w siedzibie Polskiego Radia w Warszawie.
W kategorii „Najlepsza książka naukowa poświęcona dziejom Polski i Polaków w XX wieku" jury wyróżniło pracę **Dietera Schenka** *Noc morderców. Kaźń polskich profesorów we Lwowie i holokaust w Galicji Wschodniej.* Nagrodę czytelników w tej samej kategorii zdobył **Sławomir Cenckiewicz** za publikację *Długie ramię Moskwy. Wywiad wojskowy Polski Ludowej 1943–1991.*
W kategorii „Najlepsza książka popularnonaukowa poświęcona historii Polski w XX wieku" jury doceniło pracę **Ryszarda Wolańskiego** *Eugeniusz Bodo. „Już taki jestem zimny drań".*
W głosowaniu czytelników w tej samej kategorii zwyciężyła książka **Mirosława Lewandowskiego i Macieja Gawlikowskiego** *Gaz na ulicach. KPN w Krakowie. Stan wojenny 1981–1982.*
Organizatorami konkursu są IPN, Telewizja Polska i Polskie Radio. „Książki Historyczne Roku" zostały wybrane przez jury w składzie: prof. Piotr Franaszek, prof. Tomasz Gąsowski, prof. Andrzej Nowak, prof. Wojciech Roszkowski, prof. Andrzej Chwalba oraz prof. Wiesław Wysocki. Brano pod uwagę publikacje, które ukazały się w języku polskim po raz pierwszy między 1 stycznia 2011 a 30 czerwca 2012 roku.


Wręczenie nagród w 5. konkursie Książka Historyczna Roku
Fot. K. Hołopiak

■ 11 listopada, w dniu Narodowego Święta Niepodległości, Instytut Pamięci Narodowej uruchomił **nowy portal edukacyjny www.pamiec.pl**. Docelowo będzie on integrował pod wspólnym adresem rozproszoną dotychczas aktywność edukacyjną IPN w Internecie.
Uczniowie, studenci, nauczyciele i wszyscy miłośnicy historii znajdą tu m.in. informacje o aktualnych wydarzeniach: przygotowanych przez Instytut konkursach, wystawach, nowościach wydawniczych czy akcjach społeczno-edukacyjnych. W zakładce „IPN TV" pojawiać się będą relacje filmowe z najważniejszych bieżących wydarzeń.
O najistotniejszych wydarzeniach z przeszłości, których rocznice przypadają danego dnia, przypominać ma „Kalendarium historyczne". Zainteresowani znajdą tu linki do publikacji IPN rozszerzających wiedzę na przedstawiony temat.
W kolejnych miesiącach portal Pamięć.pl będzie wzbogacany o dalsze materiały, w tym publikacje cyfrowe. Już dziś w zakładce „Biblioteka cyfrowa" znaleźć można – w wersji elektronicznej – niektóre publikacje IPN, zwłaszcza te niedostępne na rynku. W formacie EPUB zamieszczona została książka prof. Jerzego Eislera *Polskie miesiące, czyli kryzys(y) w PRL.*
Ważne miejsce na stronie www.pamiec.pl przypada miesięcznikowi „Pamięć.pl". Czytelnicy mogą tu m.in. pobrać archiwalne numery i zapoznać się ze spisem treści aktualnego wydania. Zapraszamy!

■ 13 listopada zmarł w Warszawie **Erazm Ciołek**, kronikarz Polski i Solidarności. Miał 75 lat.
Jego czarno-białe zdjęcia są znakomitym świadectwem przemian politycznych i społecznych w PRL. Od początku, od sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej (1980) towarzyszył Solidarności. Był z nią w trudnym czasie stanu wojennego, dokumentował także pogrzeby Grzegorza Przemyka i ks. Jerzego Popiełuszki. Przy „okrągłym stole" był fotoreporterem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, robił zdjęcia do słynnych plakatów Solidarności w wyborach czerwcowych 1989 roku. Towarzyszył papieżowi Janowi Pawłowi II w czasie pielgrzymek do Polski. Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2006) i Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis (2011). Dwa lata temu IPN wydał jego album *Solidarność, sierpień 1980 – sierpień 1989.*


Erazm Ciołek
Fot. P. Życieński

■ Do końca grudnia na placu przed Katedrą Niepokalanego Poczęcia NMP (od ul. Zwycięstwa) **w Koszalinie** prezentowana jest plenerowa **wystawa „Stan wojenny w województwie koszalińskim. Internowania – codzienność – manifestacje"**.
Po wprowadzeniu 13 grudnia 1981 roku stanu wojennego koszalinianie, jak cała reszta Polaków, zmagali się z wieloma niedogodnościami: wyłączonymi telefonami (co m.in. uniemożliwiało wezwanie karetki pogotowia), godziną milicyjną, zakazem opuszczania miasta bez specjalnego zezwolenia, obecnością patroli milicyjno-wojskowych i nieustannymi kontrolami. W sklepach nadal brakowało podstawowych artykułów, benzyna była dostępna tylko dla państwowych służb. Zamknięto kina, teatry, odwołano imprezy sportowe, dzieci wysłano na przyspieszone ferie. Zmilitaryzowano największe zakłady, radio i telewizję. Z lokalnych tytułów prasowych wydawano tylko „Głos Pomorza". Społeczeństwo starało się odnaleźć w nowej rzeczywistości, ale zdobyło się też na opór, czego dowodem były manifestacje z 1 maja i 31 sierpnia 1982 roku w Koszalinie oraz 10 listopada w Kołobrzegu.
Do obejrzenia wystawy zapraszają szczeciński Oddział IPN i Region Koszaliński „Pobrzeże" NSZZ „Solidarność".



oprac. Filip Gańczak

Niemieckie obozy zagłady i obozy koncentracyjne w okupowanej Polsce www.truthaboutcamps.eu nowy portal edukacyjny IPN

POSTAĆ MIESIĄCA

20 grudnia 1922: Stanisław Wojciechowski został wybrany na prezydenta RP.

Wojciechowski pochodził z rodziny szlacheckiej, był synem powstańca styczniowego. W młodości działał w organizacjach robotniczych i niepodległościowych, m.in. w Polskiej Partii Socjalistycznej. Represjonowany przez władze carskie, zdecydował się na emigrację. Po powrocie zaangażował się w ruch spółdzielczy. W trakcie I wojny światowej wszedł do bliskiego endecji Komitetu Narodowego Polskiego. W latach 1919–1920 był ministrem spraw wewnętrznych odradzającej się Rzeczypospolitej. Współorganizował policję państwową, stał też za decyzją o delegalizacji partii komunistycznej.



Fot. NAC

Stanisław Wojciechowski (1869–1953)

W tym okresie związał się z PSL „Piast". W grudniu 1922 roku dwukrotnie kandydował na prezydenta. Najpierw bez powodzenia – Zgromadzenie Narodowe wybrało wówczas Gabriela Narutowicza. W kolejnych wyborach, po tragicznej śmierci Narutowicza z rąk zamachowca, Wojciechowski zwyciężył już zdecydowanie.

Jego kadencja przypadła na okres trudnej sytuacji gospodarczej. Wojciechowski wspierał reformę walutową Władysława Grabskiego. Apelował, by nie czynić oszczędności kosztem oświaty i sfery socjalnej. Sam żył niezwykle skromnie. Podczas zamachu majowego 1926 roku opowiedział się po stronie legalnego rządu Wincentego Witosa, a przeciw Józefowi Piłsudskiemu, z którym przyjaźnił się przed laty. W obliczu przeciągających się walk podał się jednak do dymisji. Nie chciał bowiem, by konflikt przerodził się w wojnę domową, niebezpieczną dla niepodległości kraju. „Wolę, by Polska była przez dziesięć lat pod rządami Piłsudskiego niż przez sto lat w niewoli sowieckiej" – tłumaczył. Poświęcił się odtąd pracy naukowej. W 1937 roku był wśród założycieli Stronnictwa Pracy.

W czasie II wojny światowej mieszkał w okupowanej stolicy. Odmówił podpisania oświadczenia uznającego polski rząd na emigracji za niekonstytucyjny, choć mógł w ten sposób ocalić aresztowanego przez Niemców syna. Stanisław Wojciechowski zmarł w 1953 roku w Gołąbkach pod Warszawą, niemal całkowicie zapomniany. Nekrologi były cenzurowane. Komunistyczne władze nie pozwoliły poinformować, że odszedł były prezydent RP.



Księża delegaci na I Polski Kongres Pokoju

Fot. album *Księża katoliccy Polski w służbie pokoju*, ZBOWiD, Warszawa 1950

12 grudnia 1952: We Wrocławiu odbył się, inspirowany przez Urząd Bezpieczeństwa i administrację państwową, zjazd tzw. księży patriotów. Wzięło w nim udział ok. 1500 duchownych z całej Polski. Padły publicznie ostre słowa pod adresem Episkopatu Polski, a zwłaszcza niepokornego prymasa Stefana Wyszyńskiego.

W latach stalinizmu Kościół katolicki był ostatnią wpływową instytucją w Polsce, która nie poddawała się indoktrynacji ze strony komunistycznej władzy. Księża byli więc inwigilowani, zastraszani, zamykani w więzieniach. Komuniści podjęli też próbę rozbicia jedności Kościoła. Władze zaczęły dzielić duchownych na „reakcyjnych" i na godnych naśladowania „księży patriotów". Ci drudzy realizowali politykę państwa, włączając się w krytykę Stolicy Apostolskiej i Episkopatu Polski. Władze pozyskiwały ich na różne sposoby: szantażem, odwoływaniem się do ich ambicji albo hojnymi przywilejami. „Po kilku latach ruch ten liczył kilkuset aktywnych oraz blisko tysiąc biernych członków, którzy mieli własną prasę, możliwość odpoczynku w sanatoriach, otrzymywali przydziały materiałów na budowę i remonty kościołów, zwalniani byli od podatków czy w końcu nagradzani wysokimi odznaczeniami państwowymi" – pisze w książce *Kościół w PRL* prof. Jan Żaryn.

Komuniści mieli nadzieję, że z czasem będą w stanie kontrolować Kościół od wewnątrz przy pomocy posłusznych sobie kapłanów. Planów tych nigdy nie udało się zrealizować. W 1952 roku – a więc w najczarniejszym okresie stalinizmu w Polsce – ruch „księży patriotów" skupiał ok. 10 proc. duchowieństwa katolickiego.

19 grudnia 1982: Rada Państwa zdecydowała o zawieszeniu wprowadzonego rok wcześniej stanu wojennego.

Władze PRL uznały, że fala protestów osłabła i już im nie zagraża. Decydująca była nieudana dla opozycji próba zorganizowania 10 listopada wielkiej akcji strajkowej.

Zawieszenie stanu wojennego obowiązywało od 31 grudnia 1982 roku. Wcześniej, jeszcze przed Bożym Narodzeniem, zwolniono do domów internowanych opozycjonistów. Ale nie wszystkich – siedmiu czołowym działaczom Solidarności internowanie zamieniono na zwykłe więzienie. Kiedy w czerwcu 1983 roku do Polski przybył papież Jan Paweł II, w PRL było kilkuset więźniów politycznych. W okresie zawieszenia stanu wojennego wciąż obowiązywały istotne ograniczenia praw obywatelskich. Na przykład za uczestnictwo w strajku czy nielegalnej demonstracji nadal groziło zwolnienie z pracy lub skreślenie z listy studentów. Stan wojenny został definitywnie zniesiony w lipcu 1983 roku. Do tego czasu komunistycznej władzy tylko pozornie udało się spacyfikować społeczeństwo. „Konflikt drążący Polskę od wielu, wielu lat nie zakończył się" – ocenia prof. Andrzej Paczkowski.



Fot. AIPN

Kontrola pojazdu w stanie wojennym



Proces oświęcimski

Fot. AIPN

22 grudnia 1947: Zapadły wyroki w tzw. pierwszym procesie oświęcimskim. Proces odbywał się przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Krakowie i trwał blisko miesiąc. Na ławie oskarżonych zasiadło czterdzieścioro byłych członków załogi niemieckiego obozu Auschwitz-Birkenau, gdzie w czasie II wojny światowej zostało zamordowanych lub zmarło co najmniej 1,1 mln osób, w ogromnej większości Żydów.

Zarzuty prokuratury obejmowały m.in. udział w gazowaniu Żydów przywożonych z całej Europy, uczestnictwo w egzekucjach i maltretowaniu więźniów oraz popełnianie innych okrucieństw na terenie obozu. Zapadły 23 wyroki śmierci przez powieszenie (dwa z nich zostały potem zamienione na dożywocie) i liczne kary dożywotniego lub długoletniego więzienia. Tylko jedna osoba została uniewinniona. Wyroki śmierci wykonano 24 stycznia 1948 roku w krakowskim więzieniu przy ul. Montelupich. Wśród straconych byli m.in. Arthur Liebehenschel (komendant obozu Auschwitz I), Max Grabner (szef obozowego gestapo) i Maria Mandl (kierowniczka obozu kobiecego w Brzezince).

Rudolf Höß, najbardziej znany komendant Auschwitz, sądzony był już wcześniej w osobnym procesie w Warszawie. On także został skazany na śmierć i w kwietniu 1947 roku stracony. Kolejny duży proces członków załogi Auschwitz-Birkenau toczył się w latach 1963–1965 we Frankfurcie nad Menem.



Marian Rejewski

Fot. NAC

Grudzień 1932: Polski kryptolog Marian Rejewski złamał kod niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma. Osiągnięcie to miało później znaczący wpływ na losy II wojny światowej.

Enigma była wykorzystywana przez niemieckie siły zbrojne do szyfrowania tajnej korespondencji radiowej. Prace nad złamaniem jej kodu podjął Referat BS4 Biura Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego. Znalazło tam zatrudnienie trzech młodych matematyków, absolwentów Uniwersytetu Poznańskiego: Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski. Pod koniec grudnia 1932 roku Rejewski odczytał częściowo pierwsze depesze niemieckiej armii lądowej. W kolejnych latach Polacy zbudowali kopie Enigmy i doskonalili techniki regularnego odczytywania niemieckich szyfrogramów. Latem 1939 roku, krótko przed niemiecką napaścią na Polskę, Biuro Szyfrów ujawniło swoją wiedzę i sprzęt przedstawicielom brytyjskiego i francuskiego wywiadu wojskowego. Skorzystali na tym zwłaszcza brytyjscy kryptolodzy z ośrodka Bletchley Park, którzy w czasie II wojny światowej nauczyli się odczytywać większość depesz niemieckiego dowództwa. Pojawiają się opinie, że złamanie szyfru Enigmy skróciło wojnę w Europie o dwa, trzy lata i uratowało życie milionom ludzi.

Różycki zginął w 1942 roku w katastrofie morskiej. Zygalski wybrał życie emigranta w Wielkiej Brytanii. Rejewski po wojnie powrócił do Polski. Ich zasługi przez wiele lat nie były znane opinii publicznej. W 2000 roku cała trójka została pośmiertnie odznaczona przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

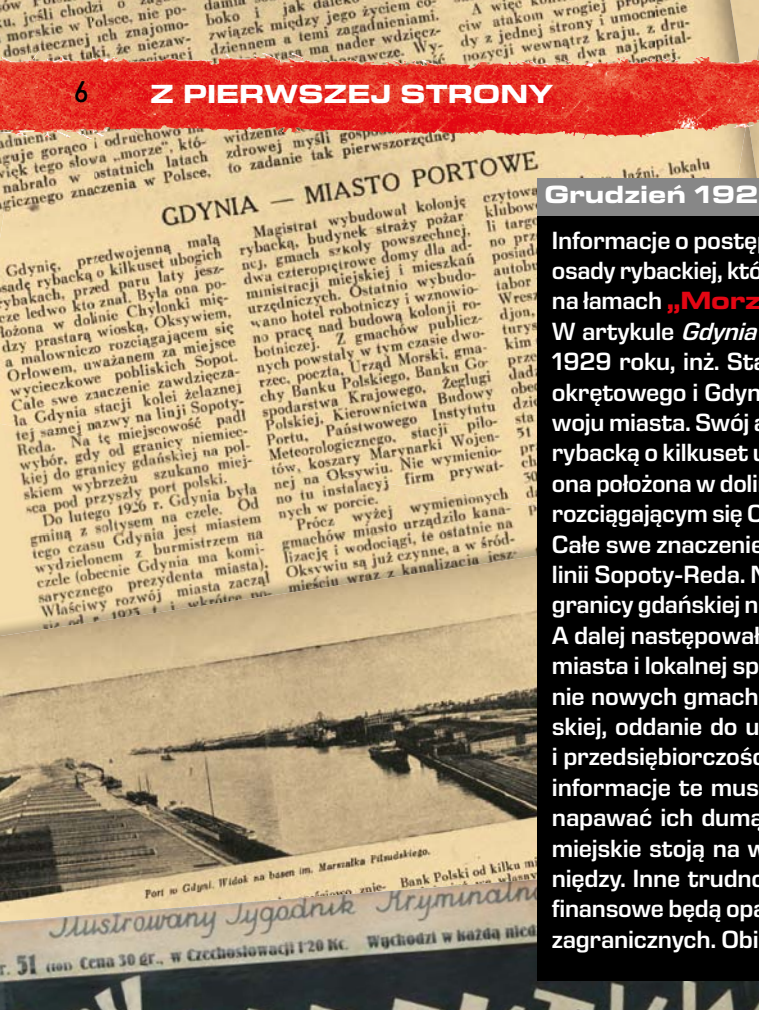
22 grudnia 1952: Specjalna komisja Kongresu USA ogłosiła raport w sprawie Katynia, uznając sowiecką winę za śmierć polskich jeńców wojennych w 1940 roku. „Masakra katyńska była jedną z najbardziej barbarzyńskich zbrodni międzynarodowych w historii świata" – ogłoszono. Wiele wskazuje na to, że w czasie II wojny światowej władze USA znały prawdę o Katyniu i ukrywały ją przed własnym społeczeństwem. Dla ówczesnego prezydenta Franklina Delano Roosevelta ważniejsze były dobre relacje z ZSRR – kluczowym sojusznikiem w koalicji antyhitlerowskiej. Sytuacja zmieniła się po klęsce III Rzeszy, w obliczu narastającej zimnej wojny między Wschodem a Zachodem. Nagłośnienie prawdy o Katyniu nie tylko nie szkodziło już wówczas Stanom Zjednoczonym, ale wręcz było im na rękę. We wrześniu 1951 roku Izba Reprezentantów amerykańskiego Kongresu powołała komisję śledczą do wyjaśnienia zbrodni katyńskiej. Na czele zespołu stanął Ray J. Madden z Partii Demokratycznej. Komisja przeanalizowała m.in. archiwalne materiały rządu i armii Stanów Zjednoczonych oraz dokumenty z procesu norymberskiego. Przesłuchała też wielu świadków, w tym pisarza Józefa Mackiewicza, który w 1943 roku obserwował w Katyniu ekshumację ofiar. Komisja Maddena jednogłośnie uznała, że za masakrę w lesie katyńskim odpowiada sowiecki NKWD. W końcowym raporcie zaleciła, by zbrodnią zajął się Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości. Postulat ten nigdy nie został spełniony.



Ekshumacje prowadzone w Katyniu przez komisję Międzynarodowego Czerwonego Krzyża

Fot. AIPN

oprac. Filip Gańczak





Grudzień 1929 roku

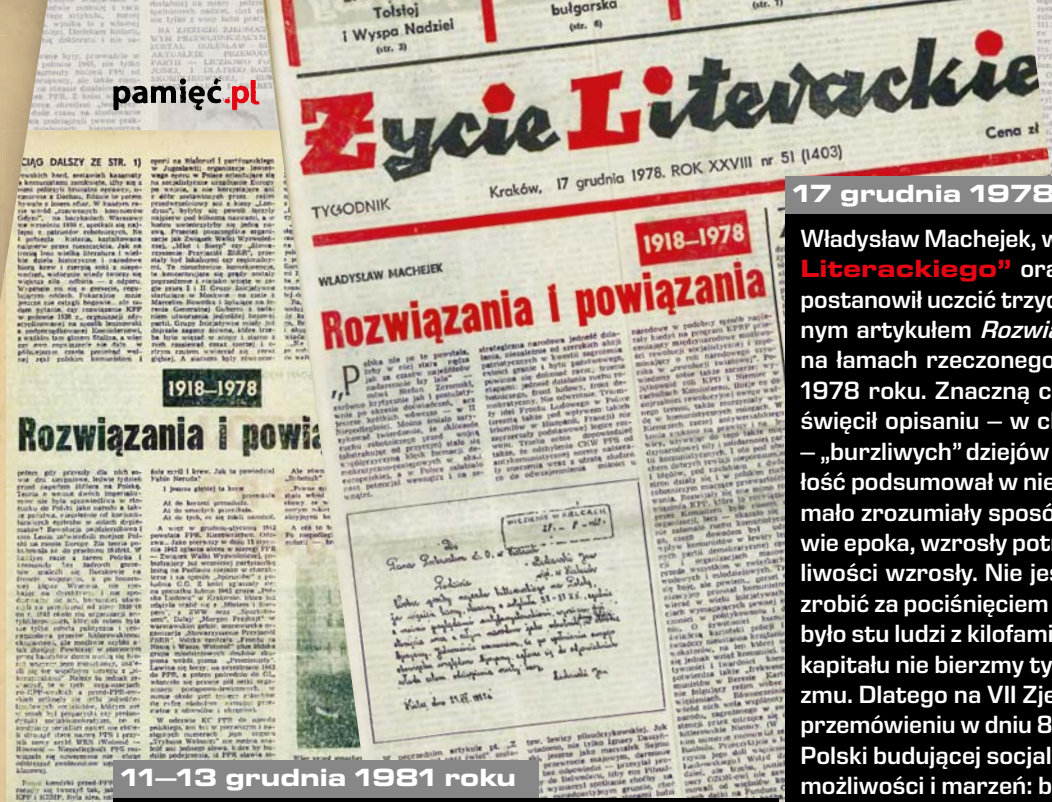
Informacje o postępach na budowie portu w Gdyni oraz o dynamicznym rozwoju osady rybackiej, która w 1926 roku otrzymała prawa miejskie, dość często gościły na łamach **„Morza”**, miesięcznika wydawanego przez Ligę Morską i Kolonialną. W artykule *Gdynia – miasto portowe*, zamieszczonym w numerze 12 z grudnia 1929 roku, inż. Stanisław Łęgowski, osoba wielce zasłużona dla budownictwa okrętowego i Gdyni, podsumował kilkuletni okres niezwykle intensywnego rozwoju miasta. Swój artykuł rozpoczął od słów: „Gdynię, przedwojenną małą osadę rybacką o kilkuset ubogich rybakach, przed paru laty jeszcze ledwo kto znał. Była ona położona w dolinie Chylonki między prastarą wioską, Oksywiem, a malowniczo rozciągającym się Orłowem, uważanym za miejsce wycieczkowe pobliskich Sopot. Całe swe znaczenie zawdzięczała Gdynia stacji kolei żelaznej tej samej nazwy na linii Sopoty-Reda. Na tę miejscowość padł wybór, gdy od granicy niemieckiej do granicy gdańskiej na polskim wybrzeżu szukano miejsca pod przyszły port polski”. A dalej następowała już tylko wyliczanka tego, co udało się osiągnąć włodarzom miasta i lokalnej społeczności – rozwój budownictwa mieszkaniowego, powstanie nowych gmachów użyteczności publicznej, uruchomienie komunikacji miejskiej, oddanie do użytku wzorowo urządzonego kąpieliska, rozwój bankowości i przedsiębiorczości. Mimo suchych faktów, tu i ówdzie podpartych statystyką, informacje te musiały robić niemałe wrażenie na czytelnikach, a może nawet napawać ich dumą. Tym bardziej, że Łęgowski stwierdził: „[...] obecne władze miejskie stoją na wysokości zadania. Brak im tylko pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Inne trudności w dużej mierze opanowano i jest nadzieja, że trudności finansowe będą opanowane, czy to drogą dotacji państwowych, czy też pożyczek zagranicznych. Obie ewentualności są brane w rachubę”.





18 grudnia 1932 roku

Co tydzień **„Tajny Detektyw”** opowiadał swoim najwierniejszym czytelnikom mrożące krew w żyłach historie z kryminalnego półświatka i sądowych sal. W numerze 51 z 18 grudnia 1932 roku donosił o incydencie, który wstrząsnął lotniskiem wojskowym w Dęblinie. Otóż pracujący tam mechanik, niejaki kapral Kazimierz Dwornik, porwał samolot wojskowy i poleciał do... Związku Sowieckiego. „Tajny Detektyw” donosił: „Lot trwał cztery godziny, poczem samolot opadł na błotnistych polach między Czernichowem a Kijowem w Sowietach, w miejscu, oddalonym od Dęblina o całe 800 kilometrów. Pilot, któryby w takich warunkach odbył lot podczas jakiegoś rajdu, mógłby to sobie poczytać za sukces. W chwili bowiem lądowania w zbiorniku nie było już ani kropli benzyny i, mimo, że w samolocie nie było ani busoli, ani zegara, a teren lądowania był bardzo błotnisty, samolot nie odniósł najlżejszego szwanku”. Niebawem Dwornika przechwycili agenci GPU. Z czasem został, wraz z wrakiem samolotu, odstawiony do Polski, gdzie trafił przed sąd. Jak zauważył „Tajny Detektyw”, na salę sądu wojskowego przy pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie przybył „chłop dwudziestokilkuletni, o pełnej twarzy i niespokojnie biegnących małych chytrych oczach”. Jego obrony podjął się emerytowany generał broni, adwokat Gruber, który twierdził, że Dwornik jest osobą niepoczytalną, a porwanie samolotu było niczym innym, jak tylko próbą samobójczą. Mimo że cała rozprawa toczyła się za zamkniętymi drzwiami, to wyrok został odczytany przy udziale publiczności. Sąd uznał Dwornika winnym dezercji i kradzieży samolotu, za co został skazany na 2 lata pozbawienia wolności i degradację. „Wyroku nie przyjmuję. Zgłaszam zastrzeżenie nieważności!” – odpowiedział doniosłym głosem oskarżony. A całej tej sytuacji Dwornik mógł uniknąć, gdyby nie jego miłość, pełna zazdrości, do pewnej niewiasty...


Życie Literackie
Cena zł
TYGODNIK
Kraków, 17 grudnia 1978. ROK XXVIII nr 51 (1403)
1918–1978
WŁADYSŁAW MACHEJEK
Rozwiązania i powiązania

17 grudnia 1978 roku

Władysław Machejek, wieloletni redaktor naczelny **„Życia Literackiego”** oraz poseł na Sejm PRL kilku kadencji, postanowił uczcić trzydziestolecie powstania PZPR obszernym artykułem *Rozwiązania i powiązania*, opublikowanym na łamach rzeczonego pisma w numerze 51 z 17 grudnia 1978 roku. Znaczną część swojego tekstu Machejek poświęcił opisaniu – w charakterystyczny dla siebie sposób – „burzliwych” dziejów polskiej partii komunistycznej. A całość podsumował w nieco zawoalowany, a miejscami nawet mało zrozumiały sposób: „Od 1948 do 1978 dzieli nas prawie epoka, wzrosły potrzeby, wzrosły wymagania, ale i możliwości wzrosły. Nie jest sztuką dziś chwalić się, co da się zrobić za pociśnięciem jednego palca, gdy wczoraj potrzeba było stu ludzi z kilofami. Postępu technicznego i narastania kapitału nie bierzmy tylko za osiągnięcia i zdolności socjalizmu. Dlatego na VII Zjeździe PZPR Edward Gierek w swym przemówieniu w dniu 8 grudnia 1975 zasugerował przejście Polski budującej socjalizm na szczebel spełnienia wyższych możliwości i marzeń: budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego”. I dalej: „Nie jest dobrze w sferze nadbudowy moralnej i ideowej, triumfuje materia. Jakby na przekór powiązaniu organizacyjnemu występuje rozwiązanie pozamaterialne. Ugory rosną lub rodzą się. A może, gdy fronty trzeba wyrównać, należy mieć odwagę Lenina i cofnąć się w ocenie stanu świadomości i gotowości ideologiczno-moralnej – odbić się i znów maszerować bardziej wyrównanym fontem?”. Kilka lat później Stanisław Barańczak, analizując pisarstwo Machejka, stwierdził: „Produktem końcowym jest bełkot, przy którego pomocy tworzy się pozór jakiejś aktywnej i samodzielnej interwencji publicystycznej w »określonych« sprawach, jednocześnie zaś nie mówi się nic określonego, co pozwala skutecznie uniknąć kłopotów. Zdania takie tworzą prozę, która przeznaczona jest przede wszystkim do zapełniania wyznaczonego miejsca w gazecie czy czasopiśmie; nie należy jej natomiast czytać, a już zwłaszcza – wgłębiać się w nią i próbować zrozumieć, o co chodzi i jakie jest stanowisko autora”. Czytając rocznicowy tekst Machejka miejscami trudno się z tym nie zgodzić...

11–13 grudnia 1981 roku

A w numerze 246 **„Sztandaru Ludu”** z 11–13 grudnia 1981 roku jak co dzień – porcja sprawdzonej propagandy. Dziennik, organ KW PZPR w Lublinie, donosił m.in. o rekordowych zbiorach buraków cukrowych w regionie: „Na słowa pochwały zasługuje transport PKS i PKP, który utrzymuje dobrą rytmikę dostaw. Uznanie należy się załogom wszystkich 11 cukrowni podległych przedsiębiorstwu (Przedsiębiorstwo Państwowe „Cukrownie Lubelskie” – przyp. MŻ), które dobowe plany przerobu przekraczają systematycznie średnio o 10 proc. Dzięki temu każdego dnia przerabia się o 5 tys. ton buraków więcej niż zakładano w „wyśrubowanym” planie, czyli tyle, ile jest w stanie wykonać duża cukrownia”. Większość miejsca zajmowały jednak tematy związane z kryzysem społeczno-gospodarczym kraju. A to informowano o wizycie przedstawicieli związków zawodowych u I sekretarza KC PZPR gen. Wojciecha Jaruzelskiego, podczas której dyskutowano o sprawach „najważniejszych dla narodu”, a to o strajku działaczy Solidarności w Szpitalu Wojewódzkim w Koninie, który został podjęty „w związku z – jak stwierdzono – ignorowaniem przez władze postulatów dotyczących przekazania na cele społeczne gmachu budowanego na potrzeby KW MO”. Szczególną uwagę zwrócono jednak na „głos ludzi pracy”, którzy – w związku z panującą sytuacją gospodarczą – „chcieli porozumienia i spokoju” za sprawą Frontu Porozumienia Narodowego: „Uznaje się, iż jednym z warunków decydujących o powodzeniu działań na rzecz utworzenia Frontu Porozumienia Narodowego jest rozliczenie, zgodnie z uchwałą IV Plenum KC PZPR, do końca i z pełnymi skutkami polityczno-prawnymi wszystkich tych, którzy doprowadzili nasz kraj i naród do najcięższego po wojnie kryzysu społeczno-gospodarczego. Należy prowadzić również na bieżąco rozliczanie wszystkich tych, którzy naruszają prawo i zasady współżycia społecznego”. Nic nie wskazywało na to, że w kolejnym numerze, z 14 grudnia, z pierwszej strony „uderzać” będą czytelników następujące informacje: *Orędzie do narodu gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego, Obwieszczenie o wprowadzeniu stanu wojennego ze względu na bezpieczeństwo państwa, Proklamacja Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego...*


sztandar ludu
DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ


Spotkanie W. Jaruzelskiego z członkami Prezydium Polskiej Rady Ekumenicznej
Wyprodukowano już 286 tys. ton cukru
obra praca PKS i PKP ● Oszczędność węgla
Dobre wyniki
mpanii cukrowniczej
Rządowe projekty ustaw dotyczących reformy gospodarczej wpłynęły do Sejmu
Kanclerz RFN H. Schmidt z wizytą w NRD

dr Mariusz Żuławnik – historyk, naczelnik Wydziału Informacji i Sprawdzeń BUiAD IPN

Grudzień ’70 w dziennikach pisarzy i polityków

Krzysztof Gottesman

O tym, że ktoś w PRL pisał dziennik, zazwyczaj wiedzieli tylko najbliżsi. A i tak autorzy zapisków nie zawsze – co sami przyznawali – zdobywali się na pełną szczerość. Często zapisywane karty przechowywali poza domem. Opublikowane po 1989 roku dzienniki pisarzy i polityków stały się księgarskimi bestsellerami. Są niezwykle cennym źródłem informacji, ale przede wszystkim odzwierciedlają stan emocji piszących i społeczeństwa. Tak, jak to było w grudniu 1970 roku.

Mieczysław Jastrun, Andrzej Kijowski, Krzysztof Mętrak, Mieczysław F. Rakowski, Janusz Zabłocki. Najstarszy, Jastrun, urodził się w 1903 roku, najmłodszy, Mętrak, w 1945. Żyje z nich już tylko Zabłocki.

Pochodzili z różnych środowisk, różnych części Polski, różne zdobyli wykształcenie. Łączy ich kawał życia spędzonego w PRL, dzielą miejsca w jej strukturze, od szczytów władzy po aktywną opozycję. Łączy ich również to, że każdy z nich pisał dziennik. Nie wspomnienia, nie pamiętnik, nie – codziennie, czasem co kilka dni lub nawet tygodni, ale regularnie pisali o ludziach, wśród których żyli, o swoich zajęciach, lekturach. A najwięcej „o Polsce”, bo dla nich to była Polska. W tym pojęciu mieści się wszystko – nie tylko, choć głównie, polityka, ale też nieistniejący nigdzie indziej na świecie kod, który zbudowała historia, własny los i peerelowska rzeczywistość-nierzeczywistość.

Mieczysław Jastrun – pisarz, kiedyś mocno zaangażowany w komunizm, w drugiej połowie życia równie mocno nim rozczarowany. Andrzej Kijowski – też pisarz, ważna postać życia literackiego i opozycji demokratycznej. Krzysztof Mętrak, cudowne dziecko polskiej krytyki, próbował w PRL żyć i pracować uczciwie. Mieczysław Rakowski to jedna z najważniejszych postaci establishmentu władz PRL, pod koniec jej istnienia premier i ostatni I sekretarz KC PZPR. Janusz Zabłocki – AK-owski partyzant, zaangażowany w tę część ruchu katolików świeckich, która doszła do wniosku, że aby w Polsce działać, trzeba aktywnie brać udział w grach, w których karty rozdają i zasady ustalają komuniści.

Dno dna den

Grudzień 1970 roku. Najtragiczniejsza rewolta w historii PRL. W ciągu kilku dni zginęło na Wybrzeżu oficjalnie blisko pół setki ludzi. Prawdopodobnie było ich więcej. Grudzień nie wziął się z niczego. Drastyczne podwyżki cen tuż przed świętami Bożego Narodzenia stały się tylko iskrą, pretekstem. Widać to w dziennikach.

Krzysztof Mętrak 14 stycznia 1970 roku zapisał: „Na naszych oczach odchodzi całe pokolenie kulturalnej Polski, tworzyli kulturę w Niepodległej Polsce. Śmierć Mieczysława Grydzewskiego”. Prawie rok wcześniej – 11 stycznia 1969 roku – Andrzej Kijowski tak pisał: „Dno dna den. Nic. Sprzątałem mieszkanie. O dwunastej – ze St. Żółkiewskim w IBL [w Instytucie Badań Literackich – przyp. red.]. Obietnicę dałem, której nie dotrzymam, przedsięwzięciu, które nie będzie wykonane, człowiekowi, który nic nie może. U Joasi: ciepła, czuła. W redakcji Anka serdeczna. List do Schilerówny – zwariowała, naprawdę. Po południu nic, wieczorem nic, w ogóle nic. Korekta przeglądów. Wiadomość radiowa: prokurator zażądał 8 lat dla Modzelewskiego, a 7 lat dla Kuronia”.

„Wiem, co pada cieniem na niektóre kartki moich wierszy (wydanie zbiorowe). Usiłowałem powiedzieć, co myślę o tym okresie mojego zaślepienia. Nie pozwolono mi. Człowiek ma prawo do przemiany tylko w nakazanym kierunku” – zapisał 30 września tego samego roku Mieczysław Jastrun.

Wybrane kilka słów, parę zdań z setek zapisanych stron. Ale jest w nich wspólne poczucie beznadziei, smutku, szarzyzny, może dziejowego katastrofizmu. Napisali je ludzie kultury, aktywnie uczestniczący w życiu publicznym.

Sukcesor właściwy

Mieczysław Rakowski i Janusz Zabłocki byli w innej sytuacji. Obaj – Zabłocki jako poseł i czołowy przedstawiciel bliskiego władzy nurtu katolików świeckich, Rakowski – ktoś znacznie ważniejszy niż tylko redaktor „Polityki” – doskonale zdawali sobie sprawę z nadchodzącej zmiany, aktywnie uczestniczyli w rozgrywkach na szczytach partii i władzy. Ten pierwszy 6 maja 1970 roku tak napisał w swoim *Dzienniku*: „Jestem pod głębokim wrażeniem dzisiejszej rozmowy w Katowicach z Edwardem Gierkiem. Jest to dla mnie wyjątkowa okazja poznania bliżej tego człowieka, o którym się powszechnie mówi jako o potencjalnym następcy Gomułki”. Zabłocki był oczarowany Gierkiem: „Umocniłem się w przekonaniu, że jest to sukcesor właściwy”.

Rakowski 8 września 1970 roku był na rozmowie u premiera Cyrankiewicza. „Głównie mówiłem ja. O sytuacji

w kraju, o fatalnych nastrojach, o zniechęceniu kadry, braku perspektyw, powszechnej demoralizacji, nierealnych planach, negatywnej selekcji w doborze kadry, niezadowoleniu z kierownictwa we wszystkich ogniwach władzy". Tego samego dnia Rakowski spotkał się również z Tadeuszem Pyką, „sekretarzem ekonomicznym KW w Katowicach. Rozmowa trwała dwie i pół godziny. Bardzo interesująca. […] Pytał, co myślę o Gierku. Powiedziałem, co myślę, i wyraziłem pogląd, że niedobrze jest, gdy taki polityk wycofuje się ze sceny ogólnopolskiej".

Kilka, kilkanaście miesięcy przed tragedią na Wybrzeżu w obozie władzy widoczne gołym okiem było przekonanie, że Gomułka jest skończony, jego polityka prowadzi donikąd. Widać też było, że trzeba szukać nowego oparcia. Dla Rakowskiego i Zabłockiego – co wcale nie było wówczas oryginalne – był nim Gierek.

Prawdą jest, że nikt nie spodziewał się aż tak gwałtownego i krwawego upadku Gomułki.

„Sytuacja, towarzyszu Rakowski, jest bardzo ciężka. W Gdyni trwają walki, w Szczecinie podpalono gmach KW, są zabici i ranni" – zapisał Rakowski słowa Jana Szydlaka. „Artur [Starewicz] – pisze dalej Rakowski pod datą 17 grudnia 1970 roku – opowiada mi o nastrojach w gmachu [KC]. Kompletna rozsypka".

Dzień później Janusz Zabłocki pisał: „O godzinie 17. rozmowa z księdzem Prymasem. Jest zatroskany, pod silnym wrażeniem dotychczasowych wiadomości o rozlewie krwi w Gdańsku". Kilka akapitów dalej: „Chcę przez niego [Jerzego Skwarę] przekazać list do Gierka, który mógłby mu być doręczony jutro rano. Uważam, że wobec tego, że sytuacja się nie uspokaja, ale napięcie zatacza coraz szersze kręgi, powinienem być do jego dyspozycji w okręgu poselskim, w którym zostałem wysunięty i wybrany".

Sytuacja wciąż ciemna

W społeczne nastroje bardziej niż politycy wczuwali się pisarze. Już po najgorszym, 22 grudnia, Andrzej Kijowski gorzko napisał: „To nie były rozruchy głodowe. To nie był odruch rozpaczy. W gruncie rzeczy można było tę podwyżkę strawić, jak strawiło się wiele innych oszustw, grabieży i kłamstw. To był odruch nienawiści. […] Nową ekipę kierowniczą zmontowano częściowo z premedytacją (np. Gierek od dawna musiał być przygotowany), część w panice". Tego samego dnia Jastrun z jeszcze chyba większą goryczą zanotował: „Sytuacja wciąż ciemna i nie wróżąca dobrego rozwiązania. Nikt w tych warunkach nie może być dobrym pisarzem. Bez prawdy nic się nie składa". Młodszy od niego o ponad czterdzieści lat Krzysztof Mętrak 26 grudnia też nie miał złudzeń. „Wypadki na Wybrzeżu. Po marcu druga w Polsce kwestia edukacji politycznej młodzieży. Strzelanie do bezbronnych. Dezintegracja społeczeństwa polskiego – jak list »34«, to nikt się nie ruszył, jak studenci w 68, to robotnicy nie, jak robotnicy, to intelektualiści nie. Władza komunistyczna wspaniale dezintegruje społeczeństwo".

Krótkie fragmenty dzienników pięciu osób nie są poważną analizą historyczną czy socjologiczną. Wyrwane zdania nie oddają w pełni obrazu przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, których kulminacją był Grudzień. Tworzą jednak pewien spójny obraz stanu emocji, co charakterystyczne – różny dla ludzi kultury i ludzi władzy. U tych pierwszych Grudzień był przede wszystkim ludzką i narodową tragedią, dowodem przepaści dzielącej władzę od społeczeństwa. Dla drugich również polityczną rozgrywką.

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN



Grudzień 1970 roku, czołgi i transportery ochraniające budynek Komitetu Miejskiego PZPR w Gdyni

Fot. AIPN

Szczecińscy fotoreporterzy niewypowiedzianej wojny

Paweł Miedziński

Zdarzenia, jakie rozpoczęły się 14 grudnia 1970 roku, postawiły fotoreporterów w sytuacji, na jaką żaden z nich nie był przygotowany. Z punktu widzenia obiektywu Grudzień '70 był bowiem wojną.

„Filmujemy jak najwięcej, to jest nasz obowiązek wobec historii" – takie zdanie miał wypowiedzieć Lechosław Trzęsowski, operator Ośrodka Telewizji Polskiej w Szczecinie, do swoich kolegów z pracy. Z oburzeniem słowa te zostały przytoczone w donosie tajnego współpracownika o pseudonimie „Boczar". I faktycznie, nagłe i niesłychanie dramatyczne wydarzenia, jakie błyskawicznie zaczęły się rozgrywać na ulicach najpierw Trójmiasta, a potem Szczecina, poddały próbie ludzi związanych z mediami. Jedni zaszyli się, chcąc uciec jak najdalej, inni – wbrew zakazom i zdrowemu rozsądkowi – rzucili się w wir dramatu.

Atmosfera w Szczecinie gęstniała w szybkim tempie, lecz nikt nie był w stanie przewidzieć, co się wydarzy. Rankiem 17 grudnia 1970 roku stoczniowcy wyszli na ulice miasta. Pochód skierował się w stronę centrum, gdzie mieścił się gmach wojewódzkiego komitetu partii. Andrzej Wituszyński, fotoreporter Centralnej Agencji Fotograficznej, znał tę drogę na pamięć. Od wielu lat był częstym gościem zarówno w stoczni, jak i siedzibie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Znał ludzi z jednej i z drugiej strony. Gdy dotarł w okolice stoczni, milicja próbowała zastopować marsz. Zaczął fotografować – blokadę ZOMO, starcia, użycie gazu łzawiącego. Nie miał



Fot. PAP/CAF/Andrzej Wituszyński „Wirusz"

Szczecin, 17 grudnia 1970 roku, walki na skrzyżowaniu ulic Stanisława Dubois i Sławomira, ujęcie z 5. lub 6. piętra wieżowca przy ul. Dubois



Fot. Stefan Cieślak

Wituszyński nie był jedynym, który fotografował tamte starcia; z okna przeciwległego budynku zdjęcia robił Stefan Cieślak, fotoreporter „Kuriera Szczecińskiego"; obaj naciskali spusty migawek niemal równocześnie

teleobiektywu – musiał być blisko. Aby mieć szerszą perspektywę, postanowił fotografować z wieżowca. Robił zdjęcia z balkonu na piątym lub szóstym piętrze.

W czasie tych brutalnych starć powstała jedna z najbardziej rozpoznawalnych ikon Grudnia. Demonstranci rzucają brukiem w milicyjną ciężarówkę. Przed samą maską pojazdu – milicjant wielkimi skokami ucieka przed gradem kamieni. Gapie. Wituszyński zobrazował całą bitwę, jaka tam się rozegrała. Zdjęcie to perfekcyjnie wpisuje się w fotograficzną teorię *l'instant décisif* (momentu decydującego) stworzoną przez Henriego Cartier-Bressona, współzałożyciela agencji Magnum.

W kolejnych kadrach widzimy zwarte szyki milicji, szturmy ZOMO pod osłoną gazu, kontrataki demonstrantów, zdobyte i zniszczone milicyjne pojazdy. Po ucieczce milicji z pola walki wielu demonstrantów wznosiło ręce w górę w geście zwycięstwa. Część osób patrzyła prosto w obiektyw. Jedni się cieszyli, inni grozili. Wituszyński sporo ryzykował dla tych zdjęć. Zauważono go. Po chwili kilku demonstrantów wbiegło do wieżowca. Na ucieczkę było za późno. Ci, których przed chwilą fotografował, dopadli go na klatce schodowej. Zdawało się, że nie miał żadnych szans. Jeden z nich nawet sugerował, aby go wyrzucić przez okno. Do dziś nie wiadomo, jak udało mu się obronić nie tylko siebie, ale i kliszę.

Na ulicy, wśród walczących stron, znaleźli się z kolei funkcjonariusze Wydziału „B" Służby Bezpieczeństwa, którzy mieli identyfikować „sprawców" celem ich późniejszego ukarania. Fotografowali w tajemnicy, ze specjalnie skonstruowanych aparatów o wdzięcznych nazwach „Agata A", „Robot", „Tele-Tomasz", „Kama". W ferworze walk zapominali o swoim zadaniu i wczuwali się w rolę reporterów, fotografując nie tych, których powinni.

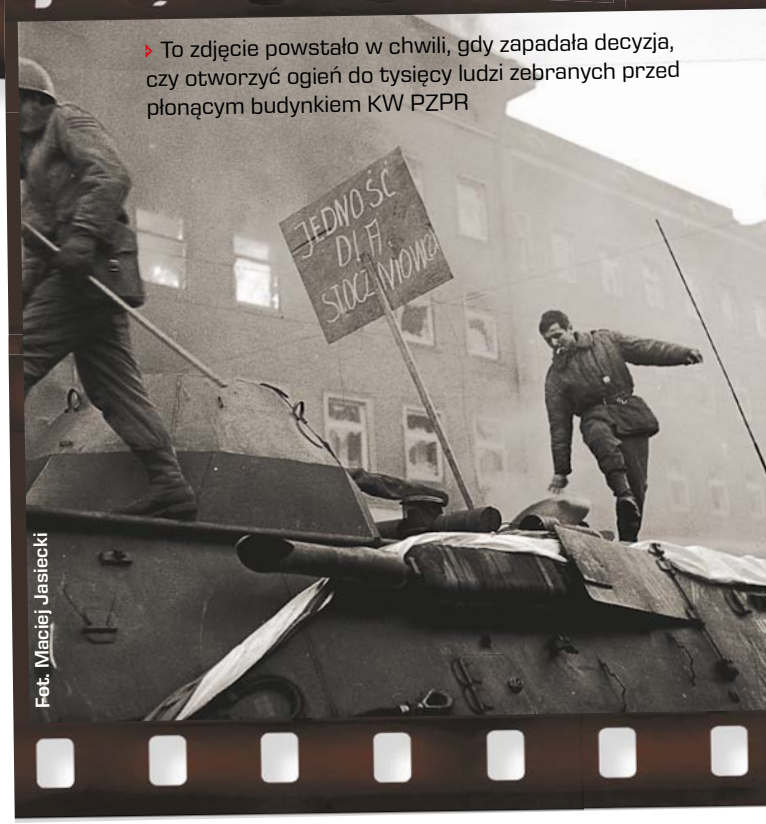
Gdy ciężar wydarzeń przeniósł się do śródmieścia, fotoreporterzy znaleźli się w nietypowej w tym zawodzie sytuacji. Ponieważ wszystkie lokalne redakcje mieściły się w gmachu sąsiadującym z domem partii, nie musieli opuszczać biura, by być w samym centrum wydarzeń. Tam też do dokumentowania walk włączył się Marek Czasnojć, młody fotoreporter „Głosu Szczecińskiego", oficjalnego organu prasowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Czasnojć, Cieślak i Wituszyński sfotografowali z okien swych redakcji tę samą scenę w bardzo zbliżonym czasie – przyjazd wojska pod gmach KW PZPR. Gdy jeden z nich wychylił się zanadto z okna, w ich stronę poleciał grad kamieni.

Wśród demonstrantów znalazł się Maciej Jasiecki – artysta fotografik, wolny strzelec luźno współpracujący z różnymi periodykami. Wykazywał się wyjątkowym opanowaniem, a jednocześnie fotograficzną wrażliwością. Jedno ze zdjęć Jasieckiego powstało w chwili, gdy zapadała decyzja, czy otworzyć ogień z broni palnej do tysięcy ludzi zebranych przed płonącym już budynkiem KW PZPR.



Zomowiec zasłaniający się przed lecącymi kamieniami uważnie przygląda się fotografującemu go esbekowi o numerze identyfikacyjnym 160 z Wydziału „B"; w tle wieżowiec, z którego fotografował Andrzej Wituszyński

Fot. AIPN



To zdjęcie powstało w chwili, gdy zapadała decyzja, czy otworzyć ogień do tysięcy ludzi zebranych przed płonącym budynkiem KW PZPR

Fot. Maciej Jasiecki



W chwili ataku milicji Jasiecki fotografował płonący komitet PZPR na tle panoramy miasta; w tle dojrzeć można walki, gaz i sylwetkę Wituszyńskiego na dachu redakcji za neonem „Głos Szczeciński"

Jasieckiemu sprzyjał wielki chaos, jaki wówczas panował. O postępującej fraternizacji wojska z demonstrantami świadczą transparenty, które długo tkwiły zatknięte za burty transporterów opancerzonych. W tle fotografii widzimy redakcje gazet – w tym „Głosu Szczecińskiego" – w których przebywali oficjalni fotoreporterzy. Niedługo później Wituszyński wyszedł na dach redakcji, z którego miał doskonały widok na kolejny cel grudniowej rewolty – Komendę Wojewódzką Milicji Obywatelskiej. Nieudolna próba odblokowania płonącego gmachu przez kompanię MO była bezpośrednią przyczyną kontrataku demonstrantów, którzy z marszu rozpoczęli szturm na siedzibę milicji, a także sąsiednie gmachy – biurowce SB.

Walki pod gmachem KW MO uwieczniał również Zbigniew Wróblewski, instruktor fotografii i filmu z Wojewódzkiego Domu Kultury. Zajęcia, które prowadził, odbywały się w Zamku Książąt Pomorskich, kilkaset metrów od płonących gmachów. Wróblewski był przerażony, ale waga wydarzeń kazała mu fotografować. Zdjęcia wykonywał „na oko", wschodnioniemiecką werrą schowaną pod płaszczem. Nawet nie przypuszczał, że otarł się o śmierć. Kilkanaście minut po wykonaniu tych zdjęć z okien gmachu KW MO padły bowiem strzały. Tego dnia w mieście zginęło dwanaście osób. Wiele zostało rannych. Jedną z zabitych była dziewczynka zastrzelona kilkadziesiąt metrów od miejsca, z którego fotografował Wróblewski.

Niewiele brakowało, by to zdjęcie kosztowało Zbigniewa Wróblewskiego życie



Żołnierze oraz czołg T-54 i transporter opancerzony SKOT na placu Żołnierza Polskiego



17 grudnia 1970 roku każdy z fotoreporterów został pozostawiony samemu sobie. Fotografowali wedle własnego uznania, sumienia, odwagi. Następnego dnia „wolność" fotografowania się skończyła. Redakcje wydały polecenie, by dokumentować zniszczenia, jakie niósł ze sobą społeczny bunt. I tylko te obrazy trafiły później na łamy prasy. Stąd też od rana 18 grudnia redakcyjni fotoreporterzy chodzili po mieście, uwieczniając splądrowane sklepy i wybite witryny. Zdjęcia wypalonych gmachów naturalnie nie kwalifikowały się do publikacji.

Operator telewizyjny Lechosław Trzęsowski wraz ze swoim asystentem Januszem Piszczatowskim w trakcie przygotowywania oficjalnego reportażu również fotografowali. Miasto wyglądało upiornie. Wszędzie znajdowali się żołnierze z bronią gotową do strzału.

Jasiecki dzięki swym kontaktom mógł się przebić do „jaskini lwa". Fotografował wnętrze tak niedawno obleganego gmachu KW MO, m.in. wyższych funkcjonariuszy jedzących na stojąco grochówkę w wypalonej stołówce. Fotografował też, jak wojsko z milicją pacyfikują miasto.

Fotoreporterem wojennym zostaje się z wyboru. Szczecińscy fotoreporterzy takiego wyboru musieli dokonać w mgnieniu oka. Ich zdjęcia mówią same za siebie i wystawiają im znakomite świadectwo. Niektórzy zapłacili za to wysoką cenę. Wituszyński ciężko się rozchorował i nie wrócił już do zdrowia. Zmarł w 1979 roku. Trzęsowski i Wróblewski byli inwigilowani. Pierwszy – nawet po swojej ucieczce na Zachód; drugi chwycił ponownie za aparat, gdy wprowadzano stan wojenny. Jasiecki odwrócił się całkowicie od fotoreportażu, by zająć się studyjną fotografią portretową. Wszyscy oni w grudniu 1970 roku zdawali sobie sprawę z konsekwencji, jakie ponieśliby w momencie wpadki. A jednak fotografowali. Ich zdjęcia – choć często technicznie niedoskonałe – oddają stan ducha szczecinian w momencie największej próby.

Paweł Miedziński – pracownik OBEP IPN w Szczecinie



Jeden z 612 zatrzymanych; na lewo od Jasieckiego stał operator Polskiej Kroniki Filmowej, kręcący scenę prowadzenia zatrzymanego do budynku KW MO; gdy patrol wszedł do gmachu, w kadrze na sekundę pojawił się Jasiecki ze swoim aparatem (fragment tego materiału filmowego wykorzystał Andrzej Wajda w *Człowieku z żelaza*)



„Odra-Nysa granicą pokoju" – hasło symbolizujące sukces polityki zagranicznej Władysława Gomułki kontrastuje z widokiem wojska na ulicach

Rok więzienia za żłóbek

Radosław Morawski

Wywrócony żłóbek, obok w zwojach drutu kolczastego figurka Dzieciątka Jezus przepasana czarnym kirem. Z lewej strony przewróconego żłóbka – biała płyta ze śladami gąsienic transportera. Tak w 1981 roku wyglądała szopka bożonarodzeniowa w kościele Jezuitów w Kaliszu.

Fot. AIPN

Tłem opisywanej szopki była plansza z postaciami ośmiu robotników. Pośród nich jawiła się wielka plama krwi w formie nieregularnego krzyża, która od podstawy planszy przechodziła w czerwień tkaniny ułożonej na ołtarzu i dalej na jego stopniach. Ponad postaciami robotników zawieszona była tablica z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej przytulającej syna do twarzy, po której policzku spływała wielka czerwona łza. Wizerunek ten wpleciony został w dwie różnobarwne gwiazdy.

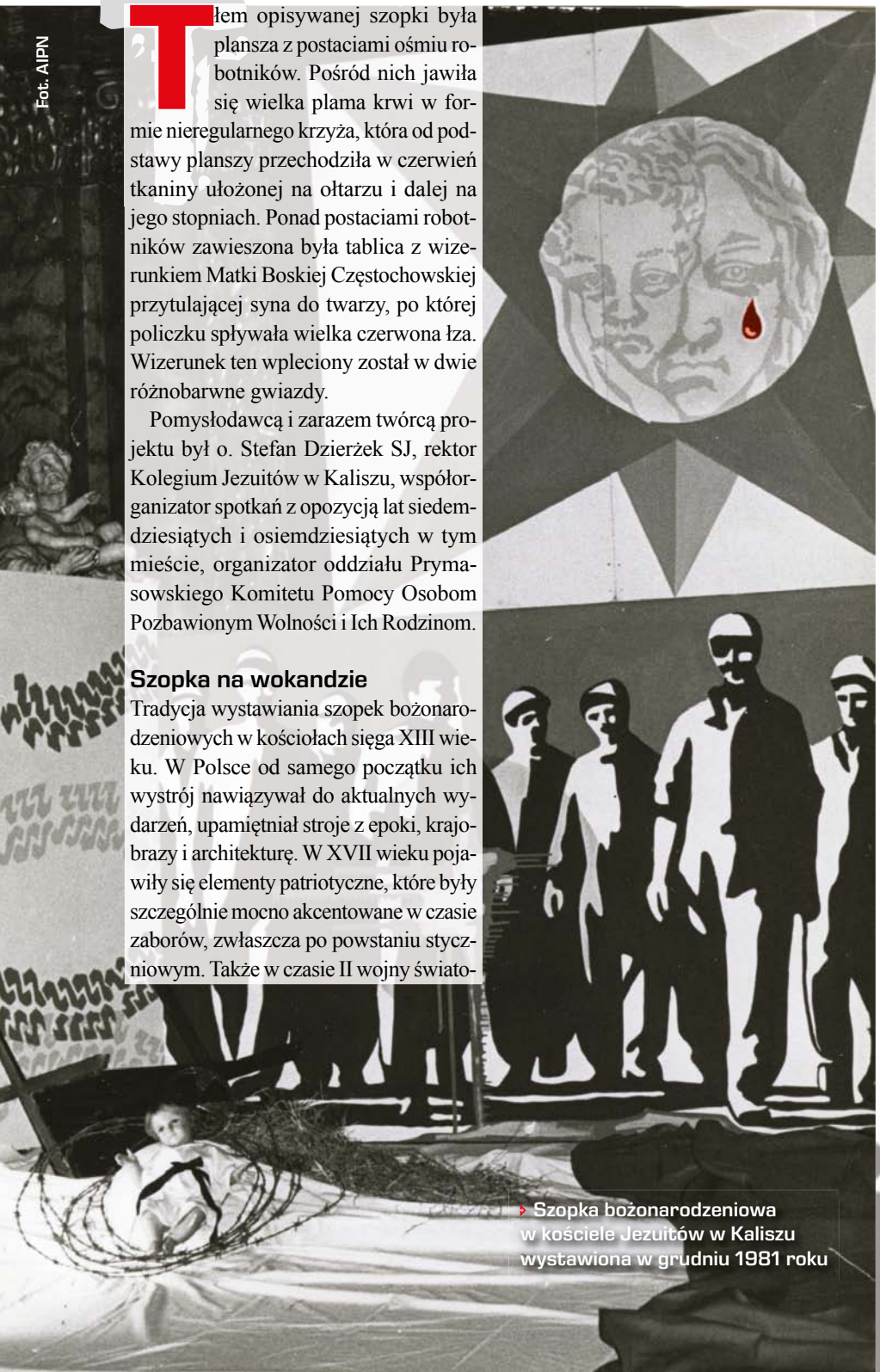
Pomysłodawcą i zarazem twórcą projektu był o. Stefan Dzierżek SJ, rektor Kolegium Jezuitów w Kaliszu, współorganizator spotkań z opozycją lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w tym mieście, organizator oddziału Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom.

Szopka na wokandzie

Tradycja wystawiania szopek bożonarodzeniowych w kościołach sięga XIII wieku. W Polsce od samego początku ich wystrój nawiązywał do aktualnych wydarzeń, upamiętniał stroje z epoki, krajobrazy i architekturę. W XVII wieku pojawiły się elementy patriotyczne, które były szczególnie mocno akcentowane w czasie zaborów, zwłaszcza po powstaniu styczniowym. Także w czasie II wojny światowej szopki niosły otuchę zniewolonemu narodowi. Wprowadzenie stanu wojennego tuż przed świętami Bożego Narodzenia spowodowało, że w 1981 roku w wielu kościołach wystrój żłóbków nawiązywał do skutków decyzji gen. Jaruzelskiego. Twórców szopek odnoszących się do smutnej sytuacji w kraju władze PRL niejednokrotnie prześladowały.

Historia taka miała miejsce w przypadku szopki u kaliskich jezuitów. Jej wystrój nie pozostawiał wątpliwości co do związku z rzeczywistością stanu wojennego. Sam jej twórca otwarcie mówił o znaczeniu poszczególnych przedstawień, odczytując w czasie pasterki oraz późniejszych świątecznych mszy opis treści umieszczonych w niej symboli: plansza z sylwetkami górników przedstawia tragedię kopalni „Wujek"; Matka Boża płacze nad tragedią górników i wszystkimi poszkodowanymi przez ówczesne wydarzenia. Przewrócony żłóbek zaś i Dzieciątko Jezus w zwojach kolczastego drutu „to symbol narodu, który został wyrwany ze swoich marzeń i rzucony w twardą rzeczywistość stanu wojennego". Takie ujęcie tematu nie mogło podobać się władzom. Prezydent Kalisza 29 grudnia 1981 roku wydał decyzję administracyjną nakazującą „nadanie szopce […] charakteru religijnego", niewykonanie nakazu miało skutkować zaskarżeniem sprawy do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Szopka została jednak rozebrana dopiero 6 stycznia 1982 roku, po powrocie o. Dzierżka z rekolekcji w Warszawie.

Niestety, nie uniknął on procesu. Oskarżono go z art. 194 Kodeksu karnego, który brzmiał: „Kto przy wykonywaniu obrzędów lub innych funkcji religijnych nadużywa wolności sumienia i wyznania na szkodę interesu PRL, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat dziesięciu". Początkowo data rozpoczęcia procesu zo-



Szopka bożonarodzeniowa w kościele Jezuitów w Kaliszu wystawiona w grudniu 1981 roku



Fot. AIPN

Szopka bożonarodzeniowa w kościele Jezuitów w Kaliszu wystawiona w grudniu 1982 roku

stała wyznaczona na Wielką Środę przed Wielkanocą 1982 roku, jednak szybko ją zmieniono, by uniknąć nawiązań do procesu Chrystusa. Postępowanie rozpoczęło się 28 kwietnia 1982 roku przed Sądem Wojewódzkim w Kaliszu. Zjawiło się tyle osób wspierających oskarżonego, że rozprawa zaczęła się z opóźnieniem. Prokurator w akcie oskarżenia stwierdził, że żłóbek miał charakter symboliki politycznej, a nawiązywanie do stanu wojennego godziło w porządek i ład publiczny.

Łzy Matki Boskiej, łzy Jaruzelskiego

Ojciec Stefan Dzierżek bronił się argumentami teologicznymi, mówiącymi o narodzeniu Chrystusa jako wydarzeniu wiecznie żywym. Chrześcijanie bowiem wierzą – wyjaśniał – że Zbawiciel narodził się dla wszystkich pokoleń ludzi, dlatego sztuka sakralna oprócz swojego nurtu historycznego ma także nurt ahistoryczny, objawiający się w umieszczaniu postaci biblijnych w dzisiejszych realiach. Przekonywał również, że pomysły na elementy szopki wziął z oficjalnych środków masowego przekazu. Do ukazania Matki Boskiej Płaczącej zainspirował go sam generał Jaruzelski, który o tragedii w kopalni „Wujek" powiedział w telewizji, że „wyciska mu ona łzy z oczu". Sąd, na wniosek obrony, powołał do oceny wystroju szopki biegłych z dziedziny teologii i sztuki kościelnej: o. prof. Jana Charytańskiego SJ i ks. prof. Janusza Pasierba, oraz odroczył rozprawę. Ponieważ w Kaliszu proces zyskał wielki rozgłos, przeniesiono go do Sądu Rejonowego w Łodzi. Zanim jednak odbyła się tam rozprawa, płk Józef Skoczek, komendant wojewódzki Milicji Obywatelskiej w Kaliszu, wysłał ostrzegawcze pismo do o. Dzierżka. W piśmie tym wypomniał mu tolerowanie wywieszania antykomunistycznych i popierających opozycję haseł na drzwiach kościoła oraz celebrowanie mszy z okazji urodzin Lecha Wałęsy i za ojczyznę, podczas których miał krytykować wprowadzenie stanu wojennego oraz podawać w wątpliwość intencje władz.

Proces został wznowiony 29 listopada 1982 roku. Mimo przeniesienia rozprawy do Łodzi w sądzie pojawiło się wielu widzów wspierających oskarżonego. Z uwagi na głośne śpiewy i gesty solidarności z kapłanem, który przybył do sądu w sutannie, rozprawa się nie odbyła. Na następny termin – 11 grudnia 1982 roku – milicja zdążyła się już przygotować. Po drodze wielokrotnie zatrzymywano samochód współbraci zakonnych o. Dzierżka spieszących na proces, a na miejscu budynek sądu otoczyli funkcjonariusze, wpuszczając tylko osoby, które okazały urzędowe wezwanie. Pozostałych pakowano do milicyjnych radiowozów, odstawiano na komendę i żądano składania wyjaśnień. Również ta rozprawa nie przyniosła rozstrzygnięcia, proces odroczono do 8 stycznia 1983 roku.

Święty Józef w kolejce

Tymczasem w grudniu 1982 roku w kościele Jezuitów w Kaliszu pojawiła się kolejna szopka autorstwa o. Dzierżka zawierająca elementy ówczesnych realiów. Tym razem figura Dzieciątka Jezus leżała otoczona atrapami artykułów reglamentowanych, tło zaś stanowiły plansze z kartkami żywnościowymi, pomiędzy którymi przedstawione były zasmucone twarze dzieci. Brak postaci Matki Boskiej i Świętego Józefa zrodził miejscową anegdotę, jakoby ich nieobecność spowodowana była faktem, że stoją w kolejce, aby wykupić kartkowy przydział.

Zapewne wystawienie kolejnej „kontrowersyjnej" szopki miało ostateczny wpływ na wyrok, który o. Stefan Dzierżek usłyszał 8 stycznia 1983 roku. Sędzia S. Olejniczak – mimo opinii biegłych, którzy stwierdzili, że treści w wystawionej ponad rok wcześniej bożonarodzeniowej szopce są zgodne z wymową teologiczną i liturgiczną sztuki sakralnej – wydał wyrok roku więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Obciążył również oskarżonego kosztami procesu. W uzasadnieniu stwierdził, że na niekorzyść kapłana zadziałała, oprócz wystawienia szopki godzącej w ład i porządek publiczny, także „zła opinia w miejscu wykonywania swych funkcji". Sąd wytknął więc działalność opozycyjną jezuity. Ojciec Stefan Dzierżek w swoim ostatnim słowie ogłosił, że żaden wyrok nie zmusi go do zaniechania troski o lud, z którego sam się wywodzi.

Rozbrojenie niepolityczne

Odważny kapłan został uniewinniony dopiero wyrokiem Sądu Najwyższego z 10 lipca 1991 roku. W uzasadnieniu napisano, że „wykonana kompozycja dekoracji żłóbka była swoistą katechezą święta Bożego Narodzenia, podkreśliła aktualność historycznego wydarzenia na tle wydarzeń grudnia 1981 roku i nie stanowiła wykroczenia przeciwko kościelnym normom duszpasterstwa, zwłaszcza głoszenia Słowa Bożego".

Począwszy od procesu o dekorację żłóbka, o. Stefanem Dzierżkiem interesowała się Służba Bezpieczeństwa, najpierw w ramach sprawy operacyjnego rozpracowania krypt. „Nowa", później krypt. „Aktywny". W maju 1983 roku został skazany na dwa miesiące aresztu przez Kolegium ds. Wykroczeń w Kaliszu, m.in. za pomoc udzielaną represjonowanym opozycjonistom. W grudniu 1983 roku wystawił żłóbek, który został ukazany na tle ruin miasta zniszczonego przez bomby. Miał to być głos w dyskusji dotyczącej rozbrojenia. Tym razem jednak tajni współpracownicy SB donieśli, że wystrój szopki nie ma akcentów „wrogich politycznie".

Ojciec Stefan Dzierżek zmarł 3 sierpnia 2005 roku w Kaliszu, w wieku niespełna 92 lat.

Radosław Morawski – historyk i archiwista, pracownik Sekcji Opracowywania Dokumentacji Audiowizualnej Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

80 milionów

W normalnych warunkach nie ma nic prostszego niż – mając upoważnienie – wypłacić pieniądze z banku. Jednak w przypadku NSZZ „Solidarność”, tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego, podjęcie z konta 80 milionów złotych wymagało nie lada sprytu i odwagi. Dzięki spektakularnej akcji czterech działaczy wrocławskiej Solidarności udało się ukryć pieniądze, które umożliwiły „podziemiu” sprawne funkcjonowanie przez kilka miesięcy.

Na początku grudnia 1981 roku coraz powszechniejsze było przekonanie, że komunistyczne władze będą dążyć do konfrontacji z opozycją. Obawiano się m.in. zablokowania kont bankowych dolnośląskiego NSZZ „Solidarność” – zdeponowana w banku suma składek członkowskich i pomocy zagranicznej wynosiła 80 mln zł. Próba podjęcia takiej kwoty bez wątpienia zwróciłaby uwagę Służby Bezpieczeństwa. Czterej młodzi działacze wrocławskiej Solidarności: Józef Pinior, Piotr Bednarz, Stanisław Huskowski i Tomasz Surowiec, postanowili podjąć całą sumę należącą do związku i przewieźć w bezpieczne miejsce. Aby przechytrzyć esbeków i zmylić trop, w czasie jazdy m.in. przemalowywali tablice rejestracyjne na samochodzie. Ta spektakularna akcja – pokazana w filmie *80 milionów* Waldemara Krzystka – miała miejsce 3 grudnia 1981 roku.

„Uwolnioną” z banku gotówkę trzeba było oddać na przechowanie w bezpieczne miejsce. Zazwyczaj solidarnościowe pieniądze przekazywano zaufanym duchownym. Na przykład w Rzeszowie ks. Stanisławowi Macowi wręczono 3 mln zł jako „darowiznę” na budowę kościoła, a w Przemyślu 2 mln zł ukryto w siedzibie Kurii Biskupiej. W tym drugim przypadku, ponieważ bezpieka skutecznie zastraszyła działaczy groźbą kilkuletniego więzienia, pieniądze te zostały przejęte przez władze.

Wrocław miał zdecydowanie więcej szczęścia. Co prawda, esbecy szybko ustalili, że pieniądze wrocławskiej Solidarności zostały zdeponowane u abp. Henryka Gulbinowicza, ale komuniści nie zdecydowali się na przeprowadzenie rewizji w jego rezydencji. Nie chcieli wywoływać konfliktu z Kościołem, który przecież po wprowadzeniu stanu wojennego nawoływał do spokoju i niepodejmowania walki z władzą.

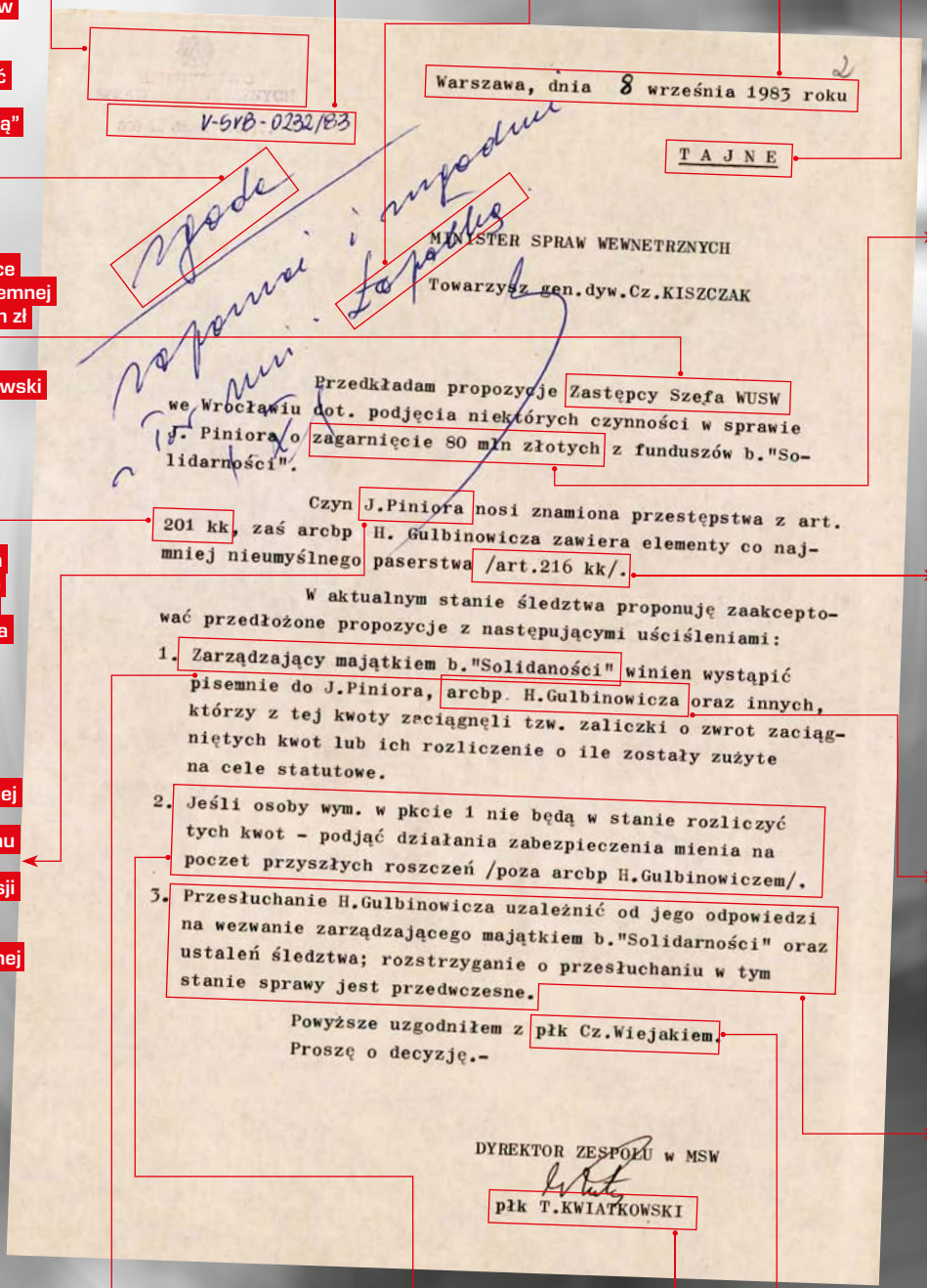
Ukryte u arcybiskupa pieniądze okazały się bardzo pomocne w tworzeniu podziemnych struktur Solidarności. To dzięki nim możliwa była działalność dolnośląskiego Regionalnego Komitetu Strajkowego. Odpowiedzialne za finanse tamtejszej Solidarności były wówczas dwie osoby: Józef Pinior (po aresztowaniu w październiku 1982 roku Władysława Frasyniuka został on przewodniczącym RKS Dolny Śląsk, a tym samym wszedł w skład Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej – ogólnopolskiej struktury konspiracyjnej zrzeszającej największe regiony Solidarności) oraz Kazimierz Jerie „Kajetan”, który rozwoził środki przyznane przez Piniora.

Fundusze trafiały również do innych regionów podziemnej Solidarności. Wiosną 1982 roku 5 mln zł powędrowało do Regionu Gdańskiego, a 2 mln zł – do Małopolski. Największą sumę (10 mln zł) dostał Region Mazowsze. Gdy jednak w kwietniu 1983 roku aresztowano Józefa Piniora, podziemie utraciło dostęp do pieniędzy. Dolnośląski RKS zmuszony był znaleźć inne źródło finansowania. Pieniądze pozyskiwano ze składek członkowskich, sprzedaży pism podziemnych i od TKK.

Nietrudno się domyślić, że SB bardzo zależało na przejęciu tej sumy oraz ukaraniu osób ją ukrywających. Prezentowany dokument powstał w czasie, gdy Pinior przebywał w areszcie, a władze zastanawiały się nad zarzutami, jakie mają mu postawić, oraz nad wysokością wyroku. Rozważano również postawienie przed sądem abp. Henryka Gulbinowicza. Ostatecznie z tego pomysłu zrezygnowano. Natomiast Pinior w maju 1984 roku został skazany na cztery lata więzienia. Wyrok dotyczył jego działalności po wprowadzeniu stanu wojennego, kiedy był ścigany listem gończym. Pokłosiem procesu cywilnego dotyczącego owych 80 mln zł było zaś zajęcie przez komornika całego majątku osobistego Piniora. Wyszedł z więzienia na mocy amnestii z lipca 1984 roku. W późniejszych latach jeszcze dwukrotnie skazywano go na kilkumiesięczne wyroki za prowadzoną działalność opozycyjną.

Dla osób znających historię PRL dyspozycyjność sędziów wobec PZPR i SB jest czymś oczywistym, ale dokumentów potwierdzających ten fakt jest niestety bardzo mało. Naciski wywierane na sędziów prowadzących sprawy polityczne często nie pozostawiały śladów. Sprawę załatwiano często przez telefon z dyspozycjami dla sędziego (z Biura Politycznego KC PZPR lub kierownictwa MSW), co żartobliwie określano jako *ius telefonicum*. Prezentowana notatka płk. Tadeusza Kwiatkowskiego jest jednym z nielicznych dowodów na to zjawisko.

Grzegorz Wołk – historyk, politolog, pracownik BEP IPN, doktorant w Instytucie Historii UJ



Warszawa, dnia 8 września 1983 roku

V-5rB-0232/83

TAJNE

MINISTER SPRAW WEWNETRZNYCH

Towarzysz gen.dyw.Cz.KISZCZAK

Przedkładam propozycje Zastępcy Szefa WUSW we Wrocławiu dot. podjęcia niektórych czynności w sprawie J. Piniora o zagarnięcie 80 mln złotych z funduszów b."Solidarności".

Czyn J.Piniora nosi znamiona przestępstwa z art. 201 kk, zaś arcbp H. Gulbinowicza zawiera elementy co najmniej nieumyślnego paserstwa /art.216 kk/.

W aktualnym stanie śledztwa proponuję zaakceptować przedłożone propozycje z następującymi uściśleniami:

1. Zarządzający majątkiem b."Solidaności" winien wystąpić pisemnie do J.Piniora, arcbp. H.Gulbinowicza oraz innych, którzy z tej kwoty zaciągnęli tzw. zaliczki o zwrot zaciągniętych kwot lub ich rozliczenie o ile zostały zużyte na cele statutowe.
2. Jeśli osoby wym. w pkcie 1 nie będą w stanie rozliczyć tych kwot - podjąć działania zabezpieczenia mienia na poczet przyszłych roszczeń /poza arcbp H.Gulbinowiczem/.
3. Przesłuchanie H.Gulbinowicza uzależnić od jego odpowiedzi na wezwanie zarządzającego majątkiem b."Solidarności" oraz ustaleń śledztwa; rozstrzyganie o przesłuchaniu w tym stanie sprawy jest przedwczesne.

Powyższe uzgodniłem z płk Cz.Wiejakiem. Proszę o decyzję.-

DYREKTOR ZESPOŁU w MSW

płk T.KWIATKOWSKI

Pieczęć kancelaryjna MSW

Numer kancelaryjny, pod jakim zarejestrowano pismo

Adam Łopatka – członek Komitetu Centralnego PZPR, minister – szef Urzędu ds. Wyznań

Data i miejsce wytworzenia dokumentu

Klauzula tajności dokumentu

Odręczna adnotacja jednego z zastępców gen. Czesława Kiszczaka: „Zgoda. Zapoznać i uzgodnić z Tow[arzyszem] min[istrem] Łopatką”

Nawet w wewnętrznej korespondencji SB manipulowała faktami: podjęcie pieniędzy przez uprawnione osoby z konta związku w dokumencie nazywane jest „zagarnięciem”, czyli przestępstwem polegającym na kradzieży, wyłudzeniu lub oszustwie

Bezpośrednie działania zmierzające do odebrania podziemnej Solidarności 80 mln zł nadzorował szef wrocławskiej SB płk Czesław Błażejewski

Art. 216 kk: „Kto rzecz, o której [...] może przypuszczać, że została uzyskana za pomocą czynu zabronionego, nabywa lub pomaga do jej zbycia albo w celu osiągnięcia korzyści majątkowej tę rzecz przyjmuje lub pomaga do jej ukrycia, podlega karze pozbawienia wolności do lat 2, ograniczenia wolności albo grzywny”

Zarzut „zagarnięcia mienia społecznego znacznej wartości” groził karą więzienia od 5 do 25 lat

Józef Pinior – działacz dolnośląskiej Solidarności, a po wprowadzeniu stanu wojennego członek Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej – ogólnopolskiej struktury podziemnej Solidarności

Abp Henryk Gulbinowicz – metropolita wrocławski, jeden z biskupów najmocniej wspierających opozycję w PRL

Władze z uwagi na wysoką pozycję abp. Gulbinowicza unikały bezpośredniej z nim konfrontacji, ewentualna decyzja o ostrzejszych formach działania (np. rewizja budynków Kurii Biskupiej) mogła zostać podjęta tylko przez najważniejsze osoby w państwie, z gen. Wojciechem Jaruzelskim włącznie

Po wprowadzeniu stanu wojennego majątek NSZZ „Solidarność” przejęło państwo, pozbawiając tym samym powstające ogniwa podziemne zaplecza logistycznego; próby (udaremnione) odzyskiwania przez związkowców sprzętu Solidarności kończyły się zarzutami o kradzież

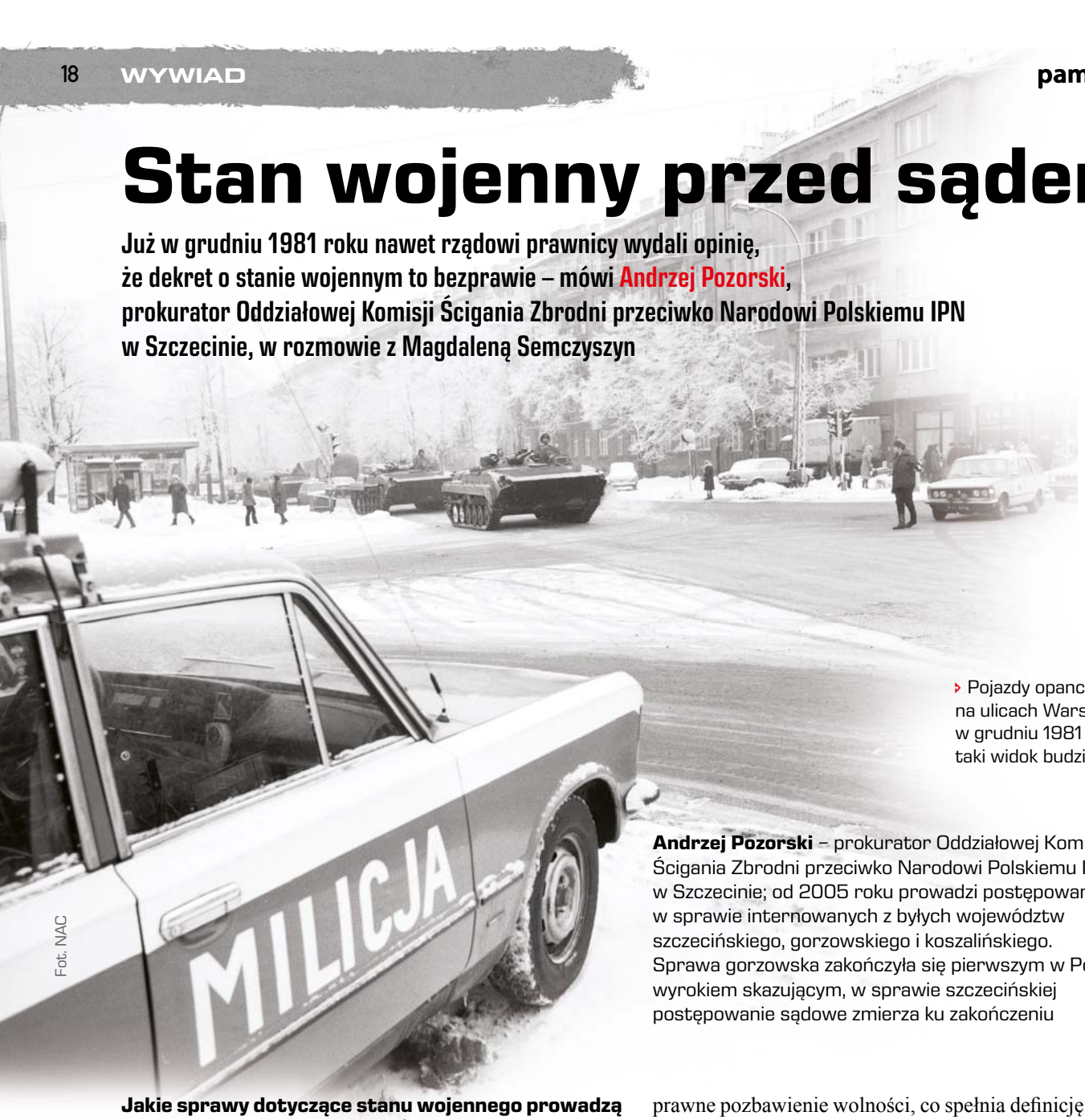
Nękanie finansowe było często stosowaną formą zwalczania podziemia, rezygnacja z takiej szykany wobec abpa Gulbinowicza wynikała z obawy władz przed reakcją Kościoła katolickiego

Płk Tadeusz Kwiatkowski – dyrektor Biura Śledczego MSW od maja 1971 roku do września 1981 roku, jeden z bliskich doradców gen. Czesława Kiszczaka

Płk Czesław Wiejak – zastępca szefa SB

Stan wojenny przed sądem

Już w grudniu 1981 roku nawet rządowi prawnicy wydali opinię, że dekret o stanie wojennym to bezprawie – mówi Andrzej Pozorski, prokurator Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Szczecinie, w rozmowie z Magdaleną Semczyszyn



Fot. NAC

Pojazdy opancerzone na ulicach Warszawy w grudniu 1981 roku; taki widok budził grozę

Andrzej Pozorski – prokurator Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Szczecinie; od 2005 roku prowadzi postępowanie w sprawie internowanych z byłych województw szczecińskiego, gorzowskiego i koszalińskiego. Sprawa gorzowska zakończyła się pierwszym w Polsce wyrokiem skazującym, w sprawie szczecińskiej postępowanie sądowe zmierza ku zakończeniu

Jakie sprawy dotyczące stanu wojennego prowadzą teraz prokuratorzy Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu?

W Instytucie Pamięci Narodowej w Katowicach podjęto śledztwo przeciwko osobom odpowiedzialnym za przygotowanie i nielegalne wprowadzenie stanu wojennego. Sprawa zakończyła się skierowaniem do sądu aktu oskarżenia przeciwko gen. Wojciechowi Jaruzelskiemu, Stanisławowi Kani, gen. Czesławowi Kiszczakowi i innym wysokim funkcjonariuszom państwa komunistycznego. W styczniu 2012 roku sąd skazał Czesława Kiszczaka na dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu na pięć lat. Wyrok nie jest jednak prawomocny. Dalsze postępowanie utrudnia m.in. stan zdrowia oskarżonych, który wpływa na częste odraczanie rozpraw.
Ponadto – w każdym oddziale IPN w Polsce – oddziałowe komisje prowadzą postępowania w sprawach internowania w ośrodkach odosobnienia kilku tysięcy osób. Było to bezprawne pozbawienie wolności, co spełnia definicję zbrodni komunistycznej.
W oddzielnych śledztwach prokuratorzy zajęli się także sprawami innych zbrodni z okresu stanu wojennego, takich choćby jak przypadki pobić internowanych w zakładach karnych i ośrodkach odosobnienia, pacyfikacje demonstracji majowych w roku 1982, bezprawne aresztowania, zwolnienia z pracy itp.

W październiku 2012 roku zapadł pierwszy w Polsce wyrok w sprawie dotyczącej odpowiedzialności kierownictwa lokalnych struktur aparatu bezpieczeństwa w związku z wykonywaniem przepisów dekretu o stanie wojennym. Jest Pan autorem aktu oskarżenia w tej sprawie.

Wyrok – dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu na pięć lat oraz karę grzywny – usłyszał były zastępca komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej w Gorzowie

Wielkopolskim, któremu udowodniono bezprawne pozbawienie wolności osób internowanych. Jest to o tyle istotne, że sąd zgodził się z kwalifikacją prawną, w myśl której zarzucono oskarżonemu popełnienie zbrodni komunistycznej będącej jednocześnie zbrodnią przeciwko ludzkości. Czyny te nie ulegają przedawnieniu, a sam wyrok – choć na razie nieprawomocny – jest precedensem i udowadnia, że postępowania tego typu nie są bezprzedmiotowe.

Punktem wyjścia dla prawników zajmujących się stanem wojennym jest nielegalność jego wprowadzenia. Dodajmy, że w 2011 roku Trybunał Konstytucyjny uznał decyzję WRON i Rady Państwa za sprzeczną z konstytucją PRL i prawem międzynarodowym.

Rada Państwa, wydając 12 grudnia 1981 roku dekret o stanie wojennym, postąpiła niezgodnie z ówcześnie obowiązującą konstytucją. Według ustawy zasadniczej Rada nie mogła wydawać dekretów z mocą ustawy podczas trwania sesji sejmu. Już choćby z tego punktu widzenia dekret ten był aktem bezprawia. To ustalenie jest podstawą w postępowaniach przeciwko autorom stanu wojennego.

Drugi powszechnie znany zarzut to sprawa tzw. antydatowania, czyli wydania dekretu z wcześniejszą datą.

W PRL nie istniały żadne przepisy regulujące wprowadzenie stanu wojennego. Rolę taką miał spełniać dekret, który na podstawie polecenia gen. Jaruzelskiego formalnie nosił datę 14 grudnia. Jak jednak wiadomo, wydrukowano go w Dzienniku Ustaw dopiero w nocy z 16 na 17 grudnia. Tymczasem pierwsze internowania miały miejsce jeszcze 12 grudnia. W tym czasie komendy wojewódzkie MO odpowiedzialne za aresztowania dysponowały jedynie przesłanymi wcześniej projektami ustaw na wypadek wprowadzenia stanu wojennego (m.in. projektem samego dekretu), z punktu widzenia obowiązującego wówczas prawa działały więc *de facto* nielegalnie, nie posiadając konkretnych przepisów wykonawczych. Nawiasem mówiąc, w decyzjach o internowaniu jako podstawa prawna znalazł się kolejny martwy przepis: Dekret z 12 grudnia 1981 roku o ochronie bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego. Dekret ten nigdy nie wszedł w życie.
Warto dodać, że z bałaganu prawnego zdawano sobie już wówczas doskonale sprawę. Radcowie prawni Biura Prawnego Urzędu Rady Ministrów od razu orzekli, że tryb uchwalenia dekretu o stanie wojennym jest niezgodny z obowiązującym porządkiem prawnym. Niedawno były dyrektor Biura Śledczego MSW i były zastępca prokuratora generalnego Hipolit Starszak zeznał, że sprawa datowania dekretu i okoliczności jego wprowadzenia były wielkim błędem ekipy rządzącej.

Przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego trwały ponad rok. W jakim stopniu w toku śledztw udało się prokuratorom IPN odtworzyć przebieg podejmowania kolejnych decyzji w tej sprawie?

Genezy stanu wojennego można się doszukiwać już w wydarzeniach sierpnia 1980 roku, kiedy to w odpowiedzi na strajki i organizujący się masowy ruch społeczny powstał sztab do kierowania operacją kryptonim „Lato-80" i jego odpowiedniki terenowe przy komendach wojewódzkich MO. W następnych miesiącach, w zależności od rozwoju sytuacji wewnątrz Solidarności, uciekano się co jakiś czas do mobilizacji jednostek SB w całym kraju w ramach tzw. podwyższonego stanu gotowości. Pierwsze dane o osobach typowanych do internowania, które wykorzystywałem w rekonstrukcji dowodowej, pochodzą z października 1980 roku. Pod koniec tego samego roku pojawiły się także pierwsze zestawienia liczbowe dotyczące internowanych. W lutym 1981 roku wytypowano zakłady karne, ➤


Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

Trybuna Ludu

ORGAN KOMITETU CENTRALNEGO POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

WOJCIECH JARUZELSKI: Zwracam się do wszystkich obywateli – nadeszła godzina ciężkiej próby. Próbie tej musimy sprostać, dowieść, że Polski jesteśmy warci!

Ukonstytuowała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego

Rada Państwa wprowadziła stan wojenny na obszarze całego kraju

Przemówienie gen. armii W. Jaruzelskiego

Proklamacja Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego

Obwieszczenie Rady Państwa

Fot. AIPN

Wydanie „Trybuny Ludu", w którym ogłoszono stan wojenny

w których mieli zostać osadzeni internowani działacze opozycji, a w marcu wydano pierwsze, niezrealizowane decyzje o internowaniu. W czerwcu 1981 roku opracowano szczegółowy plan na wypadek wprowadzenia stanu wojennego. Komendy wojewódzkie miały wówczas napisać sprawozdanie na temat lokalnych przygotowań w ramach mobilizacji.

Przeczy to pojawiającym się w postępowaniu sądowym argumentom obrony kierowników struktur terenowych SB, że wydarzenia 12 grudnia 1981 roku były dla nich zaskoczeniem.

Plan wprowadzenia stanu wojennego sięga co najmniej marca 1981 roku. Mobilizacja na wypadek stanu wojennego trwała przez następne miesiące. W połowie października 1981 roku, w ramach tajnej operacji „Sasanka", komendanci KW MO otrzymali projekty aktów prawnych, w tym dekret o stanie wojennym. To właśnie te projekty były podstawą podjęcia działań przez komendantów. 12 grudnia 1981 roku na hasło „Brzoza-81" w placówkach wojewódzkich przystąpiono do wykonywania opracowanych wcześniej planów internowania.

Poza kwestiami prawnymi osądzenie stanu wojennego ma przede wszystkim wymiar moralny. Wojna „polsko-jaruzelska" to przecież setki ofiar represji i wiele złamanych życiorysów.

To prawda. Represje dotknęły różnych ludzi. Dla przykładu wśród internowanych znajdowali się zarówno działacze z krwi i kości, zaprawieni w aktywności opozycyjnej, jak również szeregowi członkowie Solidarności. Brutalność aresztowań wywoływała różne reakcje. Znam przypadek kobiety, która po dwóch dniach pobytu w areszcie stała się wrakiem człowieka i do dziś ma z tego powodu poważne problemy zdrowotne. Kolejny znany mi przypadek – internowano kobietę, która samotnie wychowywała małoletnie dziecko. W ośrodku odosobnienia straszono ją, że dziecko trafi do domu dziecka. Internowani mężczyźni byli często jedynymi żywicielami rodzin. Niektórzy porównywali internowanie z wywózką na Sybir. Pokrzywdzeni w jednej ze spraw, które prowadzę, zeznają, że podczas transportu do Zakładu Karnego w Goleniowie konwój zatrzymał się nagle w środku lasu. Wśród aresztowanych wybuchła panika, ponieważ sądzili, że przywieziono ich na tzw. rozwałkę. Nie tylko jednak internowani ucierpieli podczas stanu wojennego. Nie zapominajmy o ofiarach śmiertelnych tamtego okresu: górnikach z kopalni „Wujek" czy uczestnikach pokojowych demonstracji, krwawo tłumionych przez jednostki LWP i ZOMO. Dla wielu ludzi stan wojenny był wielkim szokiem, w pełni ukazującym brutalizację władzy, która w walce z opozycją nie zawahała się sięgnąć do zbrodniczych metod.

Łódź, milicja przed siedzibą Solidarności



Fot. AIPN



Bohaterowie *Czasu honoru*: Władek Konarski (Jan Wieczorkowski), Janek Markiewicz (Antoni Pawlicki), Michał Konarski (Jakub Wesołowski), Bronek Woyciechowski (Maciej Zakościelny)

Fot. Monika Zielska

Odtrutka na Klossa

Z Jarosławem Sokołem, współscenarzystą serialu i autorem książek z cyklu *Czas honoru*, rozmawia Maciej Foks

Pana dotychczasowe scenariusze filmowe to przede wszystkim komedie. Skąd zainteresowanie historią?

Od dawna fascynowali mnie cichociemni. Postanowiłem w formie epopei ukazać ich los od szkolenia, przez zrzut, okupację, aż po okres tuż po zakończeniu wojny. Na początku poprzedniej dekady, kiedy zainteresowanie historią było znacznie mniejsze i trudno było kogokolwiek przekonać, że serial historyczny może odnieść sukces, myślałem, by opowieść przybrała formę książkową. Po paru latach poprawiła się jednak atmosfera sprzyjająca popularyzowaniu przeszłości w kinie czy telewizji. Dostałem zamówienie na serial, którego scenariusz tworzyłem wspólnie z Ewą Wencel w latach 2007––2011, dlatego pisanie książki musiałem odłożyć na później.

Dwie z Pańskich książek można już przeczytać. Jakie są różnice między nimi a serialem?

Czas honoru w formie drukowanej jest bardziej realistyczny, bliższy historycznym szczegółom. Bohaterowie uczestniczą w codziennych kłopotach mieszkańców Warszawy, z brakiem wody, żywności, prądu. W serialu natomiast wszyscy są piękni, czyści i najedzeni. Trzeba pamiętać, że książka i film to zupełnie inne formy wypowiedzi. Serial jest próbą wprowadzenia ważnego tematu w sferę popkultury. Myślę, że to się nam udało, bo zaistniał on w świadomości odbiorców i zachęcił rzesze młodych ludzi do zainteresowania historią. Nie chcę sobie przypisywać wielkich zasług, bo zbiegło się to w czasie z rozmaitymi czynnikami, ale mniej więcej od połowy pierwszej dekady XXI wieku, równolegle do naszego serialu, temat, który poruszamy, stał się popularny, *trendy*. Wznowiono klasyczne dzieła, np. *Cichociemnych* Jędrzeja Tucholskiego, zaczęto pisać nowe. Myślę, że nazwa formacji i wszystko, co się z nią wiąże, zostało inkorporowane przez kulturę masową, w dużej mierze dzięki serialowi.

Mimo to w filmie nie pojawia się określenie „cichociemni". Dlaczego?

Ze względu na spór między producentami serialu a środowiskiem cichociemnych. Nie dziwi mnie to o tyle, że serial nie przekazuje prawdy historycznej odnośnie do reguł konspiracji, której oczekiwaliby kombatanci. Zdaję sobie na przykład sprawę z tego, że w rzeczywistości konspiracyjnej kontakty między członkami poszczególnych zrzutów były sporadyczne, że nie było nigdy sytuacji, aby w jednym zrzucie uczestniczyło aż trzech członków jednej rodziny, oraz z setek innych uwarunkowań. Serial to pewna destylacja rzeczywistości, z którą nie każdy uczestnik tych wydarzeń musi się zgadzać. Proszę zwrócić uwagę, że serial o pogotowiu górskim w Tatrach również nie używał nazwy TOPR, bo ratownicy uważali, że to nie jest o nich.


Fot. M. Foks

dr Jarosław Sokół – prozaik, scenarzysta filmów fabularnych (m.in. *Pieniądze to nie wszystko*, *Statyści*) i seriali telewizyjnych (m.in. *Bulionerzy*, *Mamuśki*, *Czas honoru*), autor zbioru opowiadań oraz dwóch powieści: *Czas honoru* oraz *Czas honoru. Przed burzą*. W przygotowaniu trzecia część cyklu – *Czas honoru. Powstanie*.

Z jakich źródeł korzystał Pan przy pisaniu książki i scenariusza?

Jako pisarz tyle wiem o II wojnie światowej, ile Zofia Kossak o pierwszej wyprawie krzyżowej. Czytałem to, co jest publikowane we wspomnieniach i opracowaniach, ale nie chcę udawać, że badałem archiwa. Myślę, że to przede wszystkim wspomnienia są nieocenionym źródłem informacji dla scenarzysty i pisarza. Każdy z nas znajduje w nich co innego. Szukamy konkretów, czasem emocjonalnych, czasem mało istotnych dla wielkiej historii, ale za to poruszających, ważnych w życiu codziennym i relacjach międzyludzkich.

Czy główni bohaterowie *Czasu honoru* mają swoje pierwowzory w rzeczywistości?

Bohaterowie serialu są zlepkiem różnych postaci. Trudno nam określić, skąd się to wzięło. Janek, ponieważ zajmuje się fałszowaniem dokumentów, jest w pewnym sensie kuzynem Agatona z książki *Z fałszywym Ausweisem w prawdziwej Warszawie*. Jednak nie tylko Agaton fałszował dokumenty i nie tylko on zostawił po sobie świadectwa na ten temat. Doskonały, bo bardzo dramatyczny opis zrzutu znajduje się na przykład we wspomnieniach Marka Celta *Koncert*. Barwny opis tułaczki powrześniowej przyszłych cichociemnych oraz ich szkolenia w Anglii można natomiast znaleźć w książce Stefana Bałuka *Byłem cichociemnym*.

Które z wydarzeń – zarówno z filmu, jak i z książki – miały swój odpowiednik w rzeczywistości?

Z drugiego tomu książki zatytułowanego *Przed burzą* przypominam sobie co najmniej trzy sprawy. Pierwszą jest historia Hotelu Kristal. Nawiązuje do Hotelu Polskiego, czyli zasadzki gestapo urządzonej na niedobitki Żydów z getta warszawskiego. Nie jest zresztą do końca wyjaśnione, czy to była zasadzka od samego początku czy stała się nią po pewnym czasie – inaczej mówiąc, czy Niemcy rzeczywiście mieli zamiar przerzucać Żydów do Palestyny za pieniądze czy też cała akcja była od początku częścią „ostatecznego rozwiązania". Drugą sprawą jest wątek napadu na Reichsbank. Inspirowany jest autentyczną akcją „Góral", w której oddział AK zrabował z Banku Emisyjnego ponad 100 mln złotych. Różnica jest taka, że prawdziwy napad był perfekcyjnie przeprowadzony, co sprawiło, że trwał tylko około dwóch minut i w zasadzie przebiegł bez poważniejszych trudności. Na potrzeby scenariusza i książki musiałem go zatem bardziej skomplikować. Trzecią sprawą jest kontrybucja nałożona na Warszawę przez gubernatora Ludwiga Fischera. W rzeczywistości nakładano ją trzykrotnie, w różnej, coraz większej wysokości.

Obraz Sowietów i komunistów jest w serialu jednoznaczny.

Zrezygnowaliśmy z pokazywania rozterek moralnych po stronie komunistów, ponieważ robiono to w serialach kręconych w czasach PRL. Przykładem są *Polskie drogi*, które – biorąc pod uwagę tempo i reżyserię – były fantastycznym obrazem, lecz wyraźnie nacechowanym sympatią do opcji promoskiewskiej, co widać choćby w postaci Władka Niwińskiego, podchorążego z inteligenckiej rodziny, który po namyśle przyłącza się do komunistów i ginie razem z nimi gdzieś na cmentarzu.

Jaki obraz żołnierza podziemia chcieli Państwo pokazać?

Rozmawiamy o szczególnej formacji ludzi. Ci, którzy dostali się na szkolenie cichociemnych i zostali przerzuceni do kraju, nie byli całkowitym odzwierciedleniem polskiego społeczeństwa. Jako ludzie ideowi potrafili porzucić bezpieczną w owym czasie Anglię, by zmierzyć się z niebezpieczeństwami w okupowanej Polsce. Wśród nich nie było zbyt wielu, których można by było oskarżyć o oportunizm lub przejście na drugą stronę. Jedna trzecia tych ludzi zginęła.

W serialu bywają czasem kilkakrotnie aresztowani i brutalnie przesłuchiwani, mimo to wychodzą z życiem z najgorszych opresji.

W serialach z reguły postaci przerastają rzeczywistość. W książce pozwalam sobie na wstawienie wątpliwości, ale proszę mi wierzyć, nie jest to dobrze odbierane przez moich czytelników.

Dlaczego?

Czytelnik pragnie, by to byli niezłomni chłopcy, pozbawieni rozterek natury moralnej. Nie zgadzam się z tym do końca, ale takie są oczekiwania. Po latach dorabiania tym ludziom

czarnej legendy następuje pewna naturalna potrzeba pokazania ich w jasnym świetle, jako czystych bohaterów. Myślę, że kiedyś przyjdzie czas na pokazanie większej liczby niuansów.

Który z bohaterów najbardziej według Pana odzwierciedla żołnierza polskiego podziemia?

Myślę, że Władek jest najbliższy profilowi prawdziwego cichociemnego: młodego, zawodowego żołnierza, który znalazł się w sytuacji powrześniowej w Londynie i zdecydował się powrócić do Polski. Władek jest sportowcem i urodzonym przywódcą.

A spośród aktorów – kto najlepiej oddaje charakter granej przez siebie postaci?
Zdaniem Ewy Wencel i moim są to Piotr Adamczyk oraz Mariusz Kilian jako drobny kolaborant Woźniak.

Piotr Adamczyk rzeczywiście gra świetnie, ale czy nie odnosi Pan wrażenia, że dzięki temu postać Larsa Rainera, oficera gestapo, może czasem wzbudzać sympatię?

O to chodziło. Miała to być postać, która stoi po przeciwnej stronie, ale mimo to śledzimy jej losy w napięciu; jest przeciwwagą dla naszych bohaterów. To zresztą chyba jedyny nasz pomysł dotyczący obsady, który został zrealizowany. Nie było to oczywiste, bo Piotr Adamczyk dostał od nas propozycję tuż po roli papieża. Miał opory, nie chciał wtedy grać gestapowca. Obawiam się, że teraz już cały czas będzie grał takie role. Ostatnio zagrał Brunnera w *Klossie*.

Oficer Abwehry w polskim podziemiu...

…to postać całkowicie fikcyjna. Prawdopodobnie nie było agenta o tak dużym znaczeniu, jak serialowy Tadeusz, ale pomyślałem sobie, że mógłby być. Zadaniem każdej fikcji jest przecież pokazywać ewentualne możliwości. Abwehra rzeczywiście miała spore sukcesy w zwalczaniu podziemia. Niektórzy akowcy twierdzili, że wywiad niemiecki dysponował mapą AK, znał dokładnie powiązania między poszczególnymi komórkami oraz strukturę organizacyjną. Nie podejmowano działań, ponieważ Niemcy zaczęli tracić przewagę w wojnie i wierzyli, że będą mogli zamienić tę wiedzę na kartę przetargową w przyszłych negocjacjach z aliantami. Nie wiem, czy to jest prawda czy nie, ale wskazuje to na opinię panującą wśród naszego wywiadu, że Abwehra rzeczywiście była bardzo skuteczna.

W książce Bronek jest świadkiem rzezi na Wołyniu. To bardzo ważny wątek naszej historii, ale zabrakło go w scenariuszu. Dlaczego?

Wątek ten dodałem już po produkcji serialu, choć i tak nie miałby szans na realizację. Z dwóch powodów. Pierwszy jest natury technicznej – nie da się tego kręcić pod Warszawą i za dużo by to kosztowało. Po drugie nie ma dziś zielonego światła dla tego tematu, gdyż możemy sobie popsuć stosunki z Ukraińcami. Do tej pory nie potępili oni UPA ani tego, co się na stało na Wołyniu. Nie wzięli za to odpowiedzialności, nie przyznali się do zbrodni tak, jak to zrobili Rosjanie w sprawie Katynia. To sprawa nadal nabrzmiała między naszymi krajami.

W serialu jest bardzo dużo scen kaskaderskich, wykorzystuje się historyczne kostiumy, broń, sprzęt... to kosztuje.

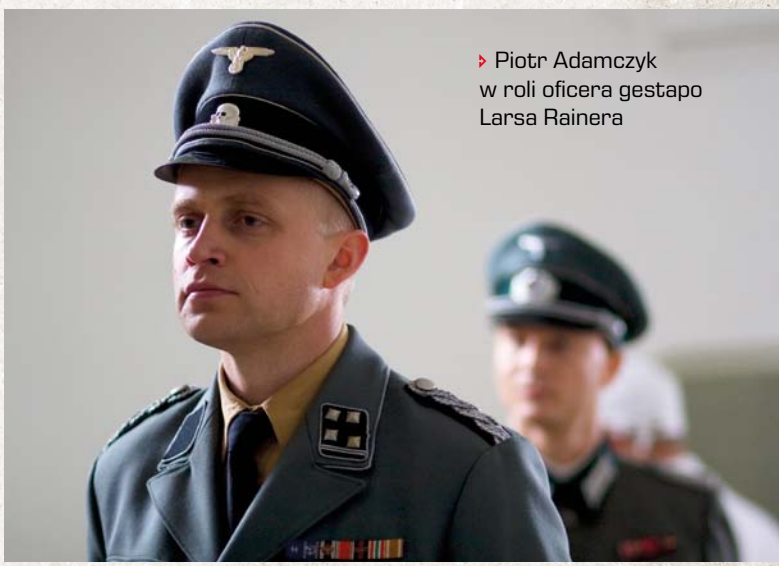
Chylę czoła przed producentem za to, że mu się chciało tak zaangażować. Mógłby zająć się czymś innym, co wymaga mniej wysiłku inscenizacyjnego. Być może zaskoczę Czytelników, ale budżet jednego odcinka *Czasu honoru* jest taki jak *Ojca Mateusza*. Serial jest robiony za zupełnie niewielkie pieniądze.

Czy także z tego powodu pominięto wątek powstania w getcie i Powstania Warszawskiego?

Wyłącznie. Między fabułą książki i filmu jest różnica jednego roku. Serial zaczyna się na samym początku 1941 roku, a książka – o rok później. Dodam, że w powieści w kilku miejscach umieściłem akcję podczas powstania w getcie. Realizatorom serialu należy zapisać na plus, że wątek getta został ukazany.

Młody widz, rozpoczynający swoje zainteresowanie historią, dowie się z serialu o Żydowskim Związku Wojskowym, którego zebranie pokazano, nie pozna jednak Żydowskiej Organizacji Bojowej...

Chodziło o pokazanie oporu w getcie w ogóle. Poza tym wiedza o ŻOB jest powszechna. Wszystkie źródła dotyczące powstania mówią na jej temat. W serialu chcieliśmy pokazać również inne organizacje.



Piotr Adamczyk w roli oficera gestapo Larsa Rainera

Fot. Ola Grochowska

Książka *Czas honoru. Przed burzą* koreluje z trzecią częścią serialu. Ile książek Pan jeszcze przewiduje?

Jedną. Chcę uzupełnić lukę, której serial prawdopodobnie już nie wypełni. Trzeci tom zakończy losy moich bohaterów na kapitulacji Powstania Warszawskiego. W serialu jesteśmy już w 1945 roku. Co ciekawe piątą serię ogląda znacznie więcej osób niż czwartą. Dzieje się tak moim zdaniem dlatego, że ukazana rzeczywistość dla wielu jest pewnym odkryciem. Jest w niej ferment, chaos pociągający młodego widza. Być może identyfikujemy się z bohaterami, którzy starają się zdefiniować siebie na nowo. Nie potrafię odpowiedzieć, czy dotrę w książce do spraw żołnierzy wyklętych. Ale uważam, że warto opowiedzieć o czasach powojennych.

Do którego roku rozpisany jest scenariusz serialu?

Serial został tak dobrze przyjęty, że będziemy pisać dalszą część. Będzie obejmowała pierwsze lata po wojnie. Myślę, że akcja szóstej serii będzie się rozgrywać do 1947 roku.

Jak serial był odbierany za granicą?

Byłem kilka razy w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Tam serial jest odbierany doskonale, żywo komentowany, także przez młodych polonusów. Film zdobył kilka nagród telewizyjnych na festiwalach w Nowym Jorku i Houston. Widać, że nie jest to historia tylko lokalna, że porusza też ludzi, którzy żyją cały czas w naszym kontekście kulturowym i politycznym. Spotkałem również obcokrajowców, którzy widzieli serial z napisami angielskimi. Trzeba jednak pamiętać, że wydarzenia historyczne, które są udziałem małych narodów, takich jak Polacy czy Rumuni, zawsze będą trafiały do węższego grona odbiorców niż historie wielkich mocarstw.

Korzysta Pan z nowoczesnych technologii. W książce umieszcza Pan linki do YouTube...

…dzięki temu można dowiedzieć się, jak brzmią konkretne piosenki, do których się odwołuję. Większość tytułów komuś takiemu jak moja dwudziestopięcioletnia córka do tej pory nic nie mówiła.

Czy planuje Pan powrócić do II wojny światowej w następnych książkach po *Czasie honoru*?

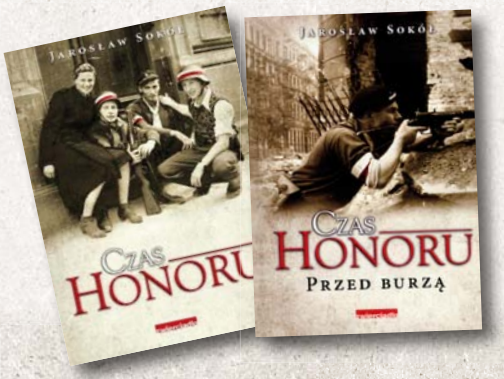
Piszę książkę na temat polskich lotników. Będzie to epopeja, która zaczyna się wraz z początkiem eskadry kościuszkowskiej, a kończy w latach sześćdziesiątych w… Republice Konga. Chcę też wrócić na jakiś czas do komedii, żeby się nieco odświeżyć. Mam też pomysł na książkę, który łączy się z czasami powojennymi. Odnalazłem pewne wspomnienia z ziem zachodnich. Pochodzę ze Świnoujścia, dlatego tematykę tych terenów chciałbym poruszyć.

Wspominał Pan, że *Czas honoru* to rodzaj odreagowania propagandy z peerelowskich seriali. Czy mimo ich wad uważa Pan, że obrazy takie jak *Stawka większa niż życie* można uznać pod jakimś względem za wartościowe?

Stawkę trzeba oceniać z dwóch punktów widzenia. Po pierwsze jako serial, po drugie jako projekt propagandowy. Jako serial jest znakomita. Mamy Bohatera, który jest prawdziwym bohaterem przez duże „B". Jest i jego przeciwnik, szwarccharakter Brunner. Rywalizacja między nimi utrzymuje nas w napięciu z odcinka na odcinek. To jest fantastyczne. Oczywiście, okazuje się na samym początku, o czym często zapominamy, że ów Bohater jest agentem NKWD. Nie działa w imieniu naszym, tylko obcego mocarstwa. W tym sensie jest to czysta propaganda, którą nam w PRL serwowano. Z mojego punktu widzenia niektóre ówczesne seriale miały pozytywne walory edukacyjne, np. *Czterej pancerni i pies*. Przymykałem oko na indoktrynację, za to – zainteresowany naszym czynem zbrojnym – sięgałem do książek na ten temat, wspomnień z tego okresu, które niekoniecznie były przesiąknięte propagandą. Pamiętam, że jako dziecko pytałem nauczycieli, dlaczego Janek znalazł się w ZSRR. Zawsze odpowiadali pokrętnie, aż w końcu zjawił się rusycysta, który był wywieziony w głąb Związku Radzieckiego, i wyjawił mi całą prawdę. Paradoksalnie, jest to pośrednio zasługa Janusza Przymanowskiego, autora *Czterech pancernych*.

***Złoto dezerterów*, *Jak rozpętałem II wojnę światową* to przykłady komedii osadzonych w czasach okupacji. Ta ostatnia z naleciałościami ideologicznymi. Czy mogą powstać kolejne?**

Do dobrego tonu wśród inteligentów polskich należy twierdzenie, że najlepsza komedia wojenna to *Allo, allo*. Odpowiedzią na to był polski *sitcom* (*Halo Hans*, reż. Wojciech Adamczyk – przyp. red.) emitowany w Polsacie. Nie odniósł sukcesu. Komedie na temat II wojny światowej mogą w Polsce powstawać, ale trzeba pamiętać, że nie spodobają się każdemu. Pisanie powieści o wojnie uświadomiło mi, że ten temat wciąż jest żywy. Mamy z nim związek poprzez nasze rodziny, wspólnotę wspomnień. To również dowód na to, że badania historyczne nad II wojną są wciąż potrzebne.



Grzechy endecji

Andrzej Friszke

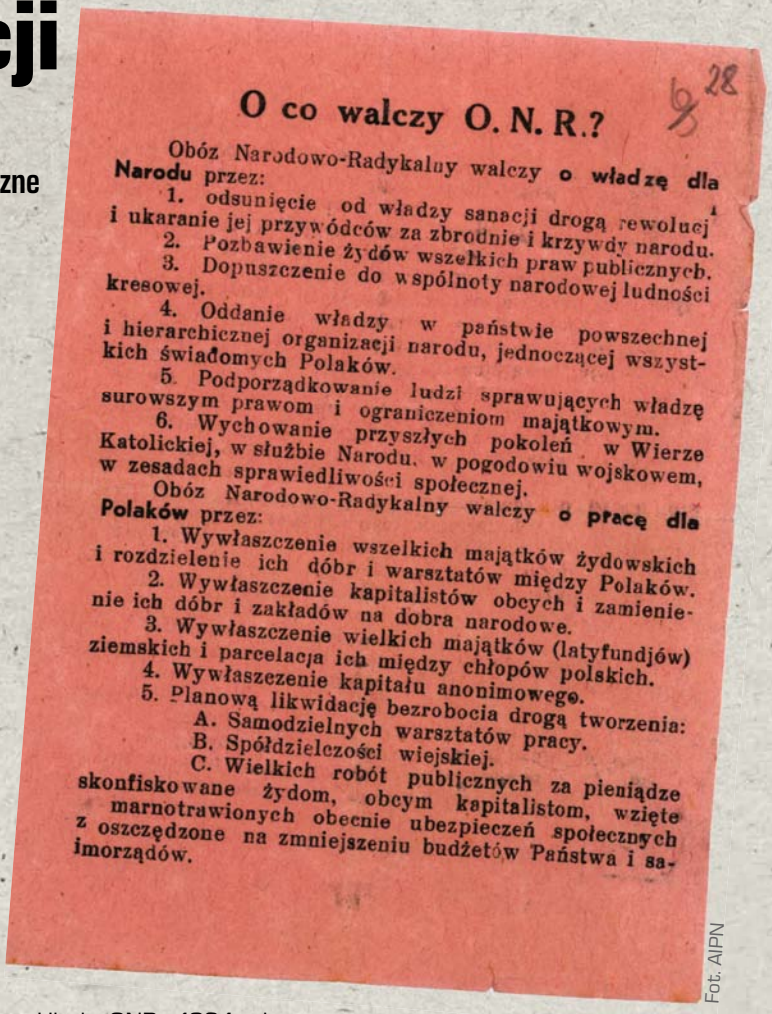
Antysemityzm, getto ławkowe, dążenia antydemokratyczne – Narodowa Demokracja nigdy nie była formacją z mojej bajki. Ale pewnych autentycznych zasług tego ruchu nie można zakwestionować.

Przed I wojną światową polityka polska układała się według scenariuszy dwóch wielkich obozów polityczno-ideologicznych. Jeden z nich to Polska Partia Socjalistyczna i Józef Piłsudski, a drugi to Narodowa Demokracja, Liga Narodowa. Działały one w opozycji wobec siebie, ale do pewnego czasu w jakiejś mierze również komplementarnie – socjaliści głównie wśród robotników, a Liga Narodowa głównie wśród chłopów. Oba ugrupowania przyczyniły się do ożywienia świadomości narodowej niższych warstw oraz do upolitycznienia młodej inteligencji. PPS głosiła klasowy model społeczeństwa, endecja – lekceważyła klasowe podziały i traktowała naród jako organizm, stąd przeciwstawiała się wszelkim pomysłom rewolucyjnym. Do ostrego starcia tych obozów doszło w czasie rewolucji 1905 roku.

Roman Dmowski – główny ideolog endecji – patrzył przez pryzmat darwinizmu, czyli walki narodów o wpływy, język i ziemię. Zakładał, że nierealna jest pokojowa koegzystencja narodów – one zawsze walczą. Uznawał, że silniejszym organizmem są Niemcy – mają dobrze zorganizowane państwo, sprawną gospodarkę, słaba cywilizacyjnie jest natomiast Rosja. Polacy muszą więc szukać oparcia w słabym aliancie, żeby przeciwstawić się mocarnym Niemcom. Stąd Dmowski poszedł na ugodę z Rosją, co w 1908 roku wyraził w książce *Niemcy, Rosja i kwestia polska*.

Piłsudski nie podzielał ani darwinizmu narodowego, ani wizji walki między narodami i stawiał hasła niepodległościowe. Najpierw w podziemnej walce PPS, w 1905 także przez działalność bojową, zbrojną. Po upadku rewolucji organizował w zaborze austriackim oddziały paramilitarne do przyszłej walki z Rosją. Z tego powstały Legiony, pierwsza od dziesięcioleci polska formacja wojskowa, która u boku Austro-Węgier wystąpiła w 1914 roku do walki z Rosją. Piłsudski rozumiał, że dla Rosji niepodległa Polska oznacza wycofanie się z centralnej Europy. Zatem tylko przez odepchnięcie Rosji na wschód i rozbicie jej po szwach narodowych jest możliwe odzyskanie przez Polskę niepodległości i jej utrwalenie. Piłsudski zakładał przy tym, że na wschód od Polski może powstać państwo ukraińskie, co odsunie groźbę imperializmu rosyjskiego. Taką politykę próbował realizować jako Naczelnik Państwa po 1918 roku.

Dmowski negował sens rozbijania Rosji po szwach narodowych. Uważał, że Rosja ma wyraźną przewagę nad Ukrainą



O co walczy O. N. R.?

Obóz Narodowo-Radykalny walczy o władzę dla Narodu przez:

1. odsunięcie od władzy sanacji drogą rewolucji i ukaranie jej przywódców za zbrodnie i krzywdy narodu.
2. Pozbawienie żydów wszelkich praw publicznych.
3. Dopuszczenie do wspólnoty narodowej ludności kresowej.
4. Oddanie władzy w państwie powszechnej i hierarchicznej organizacji narodu, jednoczącej wszystkich świadomych Polaków.
5. Podporządkowanie ludzi sprawujących władzę surowszym prawom i ograniczeniom majątkowym.
6. Wychowanie przyszłych pokoleń w Wierze Katolickiej, w służbie Narodu, w pogodowiu wojskowem, w zesadach sprawiedliwości społecznej.

Obóz Narodowo-Radykalny walczy o pracę dla Polaków przez:

1. Wywłaszczenie wszelkich majątków żydowskich i rozdzielenie ich dóbr i warsztatów między Polaków.
2. Wywłaszczenie kapitalistów obcych i zamienienie ich dóbr i zakładów na dobra narodowe.
3. Wywłaszczenie wielkich majątków (latyfundjów) ziemskich i parcelacja ich między chłopów polskich.
4. Wywłaszczenie kapitału anonimowego.
5. Planową likwidację bezrobocia drogą tworzenia:
   A. Samodzielnych warsztatów pracy.
   B. Spółdzielczości wiejskiej.
   C. Wielkich robót publicznych za pieniądze skonfiskowane żydom, obcym kapitalistom, wzięte marnotrawionych obecnie ubezpieczeń społecznych z oszczędzone na zmniejszeniu budżetów Państwa i samorządów.

Fot. AIPN

Ulotka ONR z 1934 roku

czy Białorusią – kulturową, organizacyjną, językową – a więc ten silniejszy rosyjski wilk pożre ukraińską czy białoruską owcę. Poza tym dążenia narodowe Ukrainy były – zdaniem Dmowskiego – inspirowane przez Niemcy, więc Ukraina musiałaby stać się ich wasalem, co z kolei oznaczałoby wzięcie Polski w kleszcze. Należy więc – mówił Dmowski – dokonać podziału Ukrainy: część strawią Polacy, a część Rosjanie i po stronie polskiej będzie dominował żywioł polski, a po drugiej stronie granicy – żywioł rosyjski.

Paradoksalnie polska granica wschodnia, jaką ustanowił pokój ryski z 1921 roku, była znacznie bliższa koncepcji Dmowskiego niż Piłsudskiego.

Niepodległość: zasługa Piłsudskiego

Odzyskanie przez Polskę niepodległości po I wojnie światowej to jednak przede wszystkim zasługa Piłsudskiego. Narodowa Demokracja w 1918 roku właściwie nie odgrywała większej roli. Wszyscy jej najważniejsi działacze przebywali w Paryżu i orędowali w stolicach ententy za odbudowaniem Polski, ale nie uczestniczyli w kraju w grze prowadzącej do odzyskania niepodległości, a w listopadzie w tworzeniu zrębów państwa.



Dzisiejsze ABC z dodatkiem (razem 12 str.) kosztuje 10 gr.

ABC
NOWINY CODZIENNE
Nr. 377 A Rok XIII
WARSZAWA NIEDZIELA 18 grudnia 1938 R.
Cena 10 Gr.

„WIELKIE PRZEMIANY SPOŁECZNE, USTRZESAJĄCE PODSTAWAMI CAŁEGO DZISIEJSZEGO ŚWIATA, WYMAGAJĄ NOWYCH METOD, NOWYCH HASEŁ I NOWYCH LUDZI".
Deklaracja „Obozu Narodowo - Radykalnego"

Już zwycięstwa dzień nadchodzi
Od Marymontu po Służewiec,
od Woli aż po Pelcowiznę
wszyscy głosują na listy
Narodowo-Radykalne

Kto nie chce w samorządzie żydów wyznawców Mordochaja Marksa złotej i czerwonej międzynarodówki głosuje na Narodowy Komitet Radykalny

Przemów Warszawo!

Kto chce aby Warszawa była pierwszym etapem do Polski Narodowej Katolickiej Sprawiedliwej głosuje na Narodowy Komitet Radykalny

Polska bez żydów — to Polska Nowego Ładu

Zaczynamy od Warszawy
Głosujemy na kandydatów
Narodowego Komitetu Radykalnego
Odżydzenia Warszawy

Fot. ze zbiorów W. Muszyńskiego

Nieoficjalny organ ONR-OP, grudzień 1938 roku, okres wyborów do Rady Warszawy

Rola Dmowskiego i jego współpracowników okazała się istotna w 1919 roku w Wersalu – w wywalczeniu takiej granicy zachodniej, jaka była w tamtym czasie optymalnie możliwa. To niekwestionowana zasługa Dmowskiego. Ale jego wpływ na to, co się działo jesienią 1918 roku w kraju, był niewielki.

W sejmie, owszem, endecja zdobyła w 1919 i 1922 roku silną pozycję. Dużym poparciem cieszyła się szczególnie na ziemiach dawnego zaboru pruskiego. Miała wpływ na rządy, na kształt ustawodawstwa, także ustroju politycznego. W wielkim stopniu realizowała tu swoje przekonania, czyli wizję państwa narodowego, m.in. opowiadała się za polonizacją ziem wschodnich – a więc przeciwko równouprawnieniu Białorusinów czy Ukraińców, przeciwko ich własnemu szkolnictwu, przeciwko pełnym prawom obywatelskim. Zwalczała także Żydów. Polska miała być w myśl tej koncepcji państwem narodowym, tzn. tylko Polacy mieli w niej decydować. Oznaczało to, że endecy chcą pozbawić jedną trzecią obywateli państwa – bo tak liczne były wówczas mniejszości narodowe – wpływu na sprawy kraju. Było to *de facto* zakwestionowanie zasady obywatelskości.

Takim argumentem endecja posługiwała się w 1922 roku w czasie wyborów pierwszego prezydenta RP, wybranego dzięki głosom posłów i senatorów reprezentujących mniejszości. I rozpętała kampanię, która miała zmusić Gabriela Narutowicza do ustąpienia. Chodziło o to, żeby pod presją brutalnych ataków prasy i ulicznych demonstracji złożył rezygnację. Ta zbrodnia położyła się cieniem na stosunkach w państwie, endecję jej przeciwnicy obciążali moralną odpowiedzialnością za zabójstwo prezydenta.

Grzech główny: antysemityzm

Dmowski od początku wyrażał niechęć wobec Żydów, co w jakimś sensie wynikało z wyznawanego przez niego darwinizmu. Endecy przekonywali, że w wewnętrznym życiu społeczeństwa toczy się walka o wpływy. Polacy walczą o miejsce w handlu i przemyśle z Żydami, którzy dominują w dużej części mieszczańskich zawodów – trzeba więc dążyć do eliminacji Żydów z handlu i zbudować polskie drobnomieszczaństwo. Znalazło to wyraz w organizowaniu bojkotu żydowskich sklepów, co narastało stopniowo, osiągnęło kulminację po 1930 roku. Od czasu rewolucji 1917 roku doszło do tego przekonanie, że Żydzi wspierają komunizm. Są – jednym słowem – wrogami cywilizacyjnymi, zmierzają do zniszczenia tradycyjnych wartości. Są promotorami komunizmu, socjalizmu, liberalizmu, masonerii, ale też świadomego macierzyństwa czy rozwodów – wszystkiego, co dla prawicy najgorsze.

W prasie endeckiej z okresu międzywojennego temat żydowski był tematem numer jeden. Pisano, że Żydzi są obcy, nie ulegają asymilacji, nawet jeśli mówimy o ludziach wysokiej kultury i znakomicie posługujących się polszczyzną. Takie postaci świata literackiego jak Julian Tuwim czy Bolesław Leśmian to dla endeków nie byli żadni polscy poeci. To byli Żydzi piszący po polsku.

Ten antysemityzm narastał od początku lat dwudziestych w postaci konkretnych żądań *numerus clausus* – czyli ograniczenia Żydom dostępu na studia. W końcu lat trzydziestych doszedł do tego postulat *numerus nullus*, czyli całkowitego zamknięcia uczelni przed Żydami.

Od lat dwudziestych organizacje młodzieży akademickiej były zdominowane przez endeków. Pod ich wpływem rektorzy wielu uczelni zdecydowali się na wprowadzenie getta ławkowego, czyli wyznaczenia studentom Żydom osobnych miejsc w salach wykładowych. Dochodziło przy tym do haniebnych scen.

Żydzi stali się dla endeków głównym wrogiem, „wewnętrznym okupantem". Pojawiały się całe analizy będące wytłumaczeniem dziejów za pomocą żydowskich spisków przeciwko cywilizacji chrześcijańskiej – od Chrystusa aż po dzień współczesny – na przykład gruba książka *Zmierzch Izraela* Tadeusza Gluzińskiego. Do tego endecki Obóz Wielkiej Polski wprowadził element czynnej walki z Żydami – nie tylko w propagandzie i drukach, ale również w formie ulicznego bojkotu żydowskich sklepów. Wtedy też nasiliły się walki na uczelniach.

I takie hasła znajdowały zwolenników. Nie da się tego do końca wyjaśnić, jeśli się nie powie o wielkim kryzysie gospodarczym tamtych lat, który niezwykle radykalizował postawy

młodzieży i w Niemczech doprowadził do władzy Adolfa Hitlera. W kraju biednym, jakim była II Rzeczpospolita, kraju, który zmagał się z kryzysem – bardzo poważnym w latach 1929–1935 – radykalne pomysły, radykalne ideologie przemawiały nawet do ludzi o wysokim poziomie wykształcenia.

„Starzy" i „młodzi"

Endecja w okresie międzywojennym to tak naprawdę coraz wyraźniej dwie formacje intelektualne. W latach trzydziestych silny był już podział na starych i młodych narodowców. „Starzy" to ludzie, którzy zaczęli działalność przed rokiem 1914 w Lidze Narodowej, w formułowaniu pomysłów na politykę wschodnią i zachodnią – i weszli z tym bagażem do II Rzeczypospolitej.

Były wśród nich wielkie nazwiska – Stanisław Grabski, Roman Rybarski, Marian Seyda. Należałoby ich określić jako konserwatystów o narodowej barwie. Myśleli w kategoriach stabilizacji państwa. Popierali własność prywatną, wolność prasy, współistnienie różnych partii, demokratyczne wybory – nawet jeżeli dostrzegali kryzys demokracji. Oni właśnie byli twórcami pojęcia państwa narodowego: system parlamentarny tak, ale w państwie mają decydować tylko Polacy.

Natomiast „młodzi" to ludzie urodzeni około 1900 roku. Uformowały ich wojsko i wojna z bolszewikami. Po wyborze Narutowicza uczestniczyli często w ulicznych manifestacjach przeciwko prezydentowi. Łączyły ich zdecydowana krytyka demokracji i w ogóle pluralizmu, przekonanie, że światem rządzą silne idee, a nie kompromisy, i niechęć do elementów typowych dla demokracji parlamentarnej, takich jak wolne wybory. Na ogół z zachwytem przyjęli pucz Mussoliniego we Włoszech. „Młodzi" nie mieli zahamowań. Bardzo radykalne zachowania, w tym posługiwanie się przemocą, nie były dla nich problemem w walce czy agitacji politycznej. Oceniali, że liberalna demokracja parlamentarna ma się ku końcowi, a elita narodowa – bo tak się określali – ma prawo narzucić swą wolę i kształtować rzeczywistość państwa.

Takie myślenie dojrzewało na początku lat trzydziestych w Obozie Wielkiej Polski: my jesteśmy elitą narodu i mamy prawo prowadzić naród tam, gdzie uważamy za stosowne. Byli przekonani, że demokracja liberalna się zdegeneruje, upadnie i przyjdzie albo komunizm, albo rządy elit narodowych. We Włoszech przesądził tę sprawę Mussolini – przekonywali – ale ten bój czeka także inne kraje. Będziemy budować siłę narodu, a wcześniej siłę organizacyjną. Zmierzali do rządów narodowych, czyli dyktatury jednej orientacji polityczno-ideologicznej.

Fascynacja faszyzmem

W 1933 roku władzę w Niemczech przejął Adolf Hitler. W tym samym roku władze polskie rozwiązały OWP, a wówczas jego wychowankowie poszli albo do Stronnictwa Narodowego, albo stworzyli w 1934 roku Obóz Narodowo-Radykalny, zdelegalizowany przez władze, ale potem działający jako ONR-ABC i ONR „Falanga".

ONR „Falanga" Bolesława Piaseckiego była w gruncie rzeczy zafascynowana nazistowskim modelem dyktatury. Propagowała ideę wodza – dziś partii, jutro narodu – któremu wszyscy mają się podporządkować. Akceptowała przemoc fizyczną, rozniecała bezwzględną nienawiść do Żydów. Nawet naramienne opaski „Falangi" z ręką i mieczem były ewidentnie wzorowane na symbolice hitlerowskiej NSDAP. Niektórzy przyznawali, że dla Polski hitleryzm jest zagrożeniem, bo buduje niezwykłą siłę państwa, skupia



Blokada Uniwersytetu Warszawskiego, 23–25 listopada 1936 roku

Fot. NAC

w jednej woli całą energię. Chcieli odpowiedzieć w podobny sposób – zbudowaniem *de facto* ustroju totalitarnego, który w ich przekonaniu miał pomóc zmobilizować potencjał kraju.

Inne środowiska endeckie nie poszły tak daleko. Ale i one były przekonane, że Hitler jednoczy naród i buduje silne, nowoczesne państwo.

Antysemityzm hitlerowców nie budził zasadniczej krytyki. Ten endecki był jednak inny. Nazizm opierał się na zasadzie rasy, krwi. Endecy takiego biologicznego antysemityzmu nie wyznawali, ale za to formułowali tezy o niezmienności żydowskiej natury, o sile wpływu kultury żydowskiej. Twierdzili, że nawet jeżeli ktoś jest dzieckiem ochrzczonych już rodziców i wychował się w polskiej kulturze, to siła żydowskiej odziedziczonej po przodkach tożsamości jest tak potężna, że określa go w bardzo poważnym stopniu. I w konsekwencji czyni obcym.

Endecy byli jednak katolikami, w przeciwieństwie do nazistów. Katolicyzm nie pozwalał akceptować zbrodni. To był niewątpliwie hamulec, który uniemożliwiał polskim narodowcom zaakceptowanie Holokaustu Żydów.



Fot. ze zbiorów W. Muszyńskiego

Członkowie OWP witają się tzw. rzymskim salutem

Ruch oporu: konkurencja dla AK

Po wybuchu II wojny światowej endecka prasa przez długi czas przekonywała, że Żydzi w gettach mają się całkiem dobrze, są wyróżniani przez Niemców kosztem Polaków. Nadal postrzegano Żydów jako „wewnętrznego okupanta" polskiej gospodarki, obcego cywilizacyjnie, sprzymierzonego z Sowietami, a w każdym razie chętnie spoglądającego na komunizm. Jedni narodowcy byli w tych ocenach bardziej radykalni, inni mniej. Ale nie bez przyczyny w Radzie Pomocy Żydom, która powstała w 1942 roku, nie było przedstawiciela Stronnictwa Narodowego. Kiedy przyszedł szczytowy moment Holokaustu, zabrakło w prasie endeckiej współczucia czy sympatii. Potem natomiast pojawiały się artykuły o dalszym żydowskim niebezpieczeństwie: albo w postaci żydowsko-komunistycznej, albo w postaci bandytów – zbiegów z gett, którzy terroryzują polskie wsie. Ponieważ jednak w 1943/1944 roku Żydów było już coraz mniej, to ten temat stopniowo zanikał.

II wojna światowa postawiła polski ruch narodowy w zupełnie nowej sytuacji. Od samego początku endecy należeli do organizatorów konspiracji. Marian Seyda wszedł do emigracyjnego rządu Sikorskiego. Wspomniany Roman Rybarski podjął pracę w Delegaturze Rządu. Część narodowców, zwłaszcza „starych", szybko weszła do centralnych ośrodków cywilnej konspiracji. Natomiast podziemne Stronnictwo Narodowe – z Mieczysławem Trajdosem i potem Stefanem Sachą na czele – zajęło postawę „trochę tu, trochę tam", to znaczy weszło do międzypartyjnego porozumienia czterech stronnictw, a zarazem budowało własną formację zbrojną – Narodową Organizację Wojskową (NOW) – znajdującą się poza oficjalnymi strukturami Związku Walki Zbrojnej.

Uważali – tak samo zresztą jak ludowcy – że ZWZ, a potem Armia Krajowa są zdominowane przez sanacyjnych oficerów, którym nie należy ufać. Narodowcy budowali więc NOW, która w razie potrzeby miała być czynnikiem siły ich stronnictwa. Niektórzy twierdzili wprost: dzięki własnej organizacji wojskowej przejmiemy po wojnie władzę i zdecydujemy, jaka będzie odrodzona Polska. Podobnie mówili ludowcy i tworzyli Bataliony Chłopskie. To była droga do sytuacji, w której pierwszy dzień wolności byłby pierwszym dniem wojny domowej w Polsce.

Polityka gen. Władysława Sikorskiego – i również Stefana Roweckiego – zmierzała do tego, żeby tego uniknąć i doprowadzić do scalenia wszystkich sił zbrojnych w jednym ręku, podporządkowanym prawu i władzom politycznym. Endecy różnie się w tej sytuacji zachowywali. W roku 1942 Stefan Sacha uznał, że trzeba budować jedność zbrojną – i zdecydował się na podpisanie umów scaleniowych NOW z AK. Podstawowa część NOW weszła do Armii Krajowej. Ale część endeków nadal chciała walczyć o ustrój narodowy, czyli dyktaturę jednego nurtu ideologicznego. Odeszli, połączyli się ze Związkiem Jaszczurczym, czyli dawnym ONR-ABC, i stworzyli Narodowe Siły Zbrojne, konkurencyjne wobec AK i Delegatury Rządu i – wystarczy otworzyć ich pisemka z tamtego okresu – dążące do przewrotu narodowego. W momencie zakończenia wojny zamierzali przejąć władzę i ustanowić ustrój narodowy, w którym nie będzie miejsca dla Żydów, masonów, komunistów, socjalistów czy ludowców. Rządzić będzie elita narodowa, czyli narodowcy.

Skazani na klęskę

Dla komunistów, którzy przejęli władzę w Polsce po II wojnie światowej, endecja była ideologicznym i politycznym wrogiem. Dążyli do wyniszczenia tego nurtu politycznego, który traktowali jako polską odmianę faszyzmu. Narodowcy byli więc tępieni, ci bardziej aktywni przeszli przez więzienia. Włodzimierz Marszewski został skazany na śmierć i stracony, chociaż nie był to żaden radykał, lecz raczej człowiek z kręgu „starych" endeków, związany jeszcze z Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu. Dawny lider „Falangi" Bolesław Piasecki zawarł układ ze zwycięskim obozem. Z pomocą dotychczasowych współpracowników stworzył Stowarzyszenie PAX, skupiające katolików gotowych do współdziałania z komunistami. To jednak wyjątek.



Fot. ze zbiorów W. Muszyńskiego

Satyra ONR z 1938 roku na domniemaną masońską przynależność profesorów Adama Czyżewicza, Mieczysława Michałowicza i Tadeusza Kotarbińskiego

Narodowcy na emigracji przyjęli postawę jawnie opozycyjną, odrzucając Jałtę i sowiecką okupację Polski. Bardzo długo liczyli na to, że przyjdzie III wojna światowa, która to wszystko zmieni. Podobną nadzieję mieli działacze w kraju. Tylko nieliczni podjęli próbę wejścia w rzeczywistość powojenną. Wychodzili z założenia, że skoro w okresie zaborów można było legalnie działać, to i teraz trzeba próbować. Powstał komitet legalizacyjny Stronnictwa Narodowego, który – śladem ludowców Mikołajczyka – próbował zalegalizować swoją działalność. Wnioski o legalizację zostały odrzucone. Większość i tak nie widziała żadnych możliwości legalizacji w warunkach „rządów żydokomuny" i rządów sowieckich w Polsce, bo tak oceniali tę sytuację. Budowali więc struktury konspiracyjne i liczyli na to, że wkrótce wybuchnie nowa wojna, przyjdą Amerykanie i zmieni się świat.

O legalnym zaistnieniu narodowców można mówić co najwyżej w przypadku Instytutu Zachodniego w Poznaniu. Marian Wojciechowski – i szereg osób związanych z endecją – podjął tam współpracę z państwem, takim jakie ono było, w imię budowania polskiej obecności na ziemiach zachodnich, czyli powrotu do programu Dmowskiego sprzed I wojny światowej.

Natomiast podziemne narodowe organizacje zbrojne po wojnie, czyli Narodowy Związek Wojskowy i Narodowe Siły Zbrojne, szybko się zdecentralizowały. O jakiejś próbie koordynacji działań można było mówić do końca 1945 roku. Komenda NZW istniała jeszcze parę miesięcy, paru ludzi zbierało się i radzili, co można zrobić. Nie był to sztab w ścisłym tego słowa znaczeniu. Trzeba też powiedzieć, że to środowisko stanowiło zdecydowaną opozycję wobec Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość". WiN to sanacyjni oficerowie, piłsudczycy, lewica – przez endeków uważani za obcych. Dochodziło nawet do bratobójczych walk.

Lepszy Jaruzelski niż Michnik

PRL paradoksalnie zrealizowała pewne sztandarowe postulaty endeków: Polska stała się jednolita narodowościowo i kulturowo, została bardzo mocno wsparta o ziemie zachodnie. To był fundament, na którym – zdaniem endeków – można było budować nadzieje na przyszłość, gdyby komunizm miał się kiedyś skończyć lub osłabnąć ideologicznie.

Byłoby jednak niesprawiedliwe mówienie – jak w wierszu Miłosza – że „jest spadkobiercą ONR-u Partia". Marksizm, rządy komunistów, ateistyczny charakter państwa, to była dla endeków rzeczywistość całkowicie wroga.

Po II wojnie światowej narodowcy bardzo szybko zostali zepchnięci w niebyt. Ale komuniści wierzyli, że świadomość Polaków jest endecka, antysemicka i można na tych hasłach zbudować poparcie dla władz. Z tej kalkulacji wzięła się antysemicka nagonka 1968 roku.

Działacze obozu narodowego w kraju byli zmęczeni powojennymi więzieniami i nie mieli szans na legalne istnienie. Koncentrowali się na tym, by stworzyć mikrośrodowiska – przetrwalniki narodowych idei, które w przyszłości być może w jakiś sposób zaistnieją. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych endekom zależało na stabilizacji, obronie tego, co jest – bo może być tylko gorzej. Polska Gierka czy nawet Jaruzelskiego jawiła się większości z nich jako element porządku i stabilności. Za większe zagrożenie uważali lewicową opozycję.

Emigracyjna endecka „Myśl Polska" była wroga KOR-owi i nieufna wobec NSZZ „Solidarność". Uważała te ruchy za rewolucyjne, a rewolucja w jej mniemaniu mogła tylko osłabić naród. Zamiast tego narodowcy woleliby stopniową ewolucję systemu PRL i poszerzenie wpływu elementów narodowych. Nadzieje wiązali natomiast tradycyjnie z Kościołem i jego rosnącą pozycją.

Demokratyczna opozycja to dla wielu endeków byli albo Żydzi, albo postkomuniści, albo liberałowie czy socjaliści, względnie masoni. Endecy byli więc przeciwnikami opozycji, której symbolem są: Jacek Kuroń czy Adam Michnik lub Jan Józef Lipski, ale też Bronisław Geremek czy Tadeusz Mazowiecki. Niechętni byli wobec Leszka Moczulskiego, odwołującego się do tradycji piłsudczykowskich. Próbą rewizji takich ocen, odrzucenia obciążeń antysemickich, odczytania Dmowskiego na nowo jako realisty politycznego, podjęła grupa Aleksandra Halla, czyli Ruch Młodej Polski. Jego działacze byli ważnym czynnikiem w opozycji i Solidarności, ale nie zdobyli zaufania tradycyjnych endeków.

W środowisku endeckim odnoszono się bez zaufania do Zachodu, liberalnej demokracji, Ameryki i „wpływów żydowskich w świecie". KOR i Solidarność postrzegano jako agenturę Zachodu – dążącą do rozsadzenia systemu, na czym Polska mogła jakoby tylko stracić. Opozycja może tylko naruszyć stabilizację i wywołać w społeczeństwie niepotrzebny ferment – mówili narodowcy. Zauważmy, że podobne tezy głosiła wówczas oficjalna propaganda PRL.

Wysłuchali Filip Gańczak i Jan Olaszek

prof. dr hab. Andrzej Friszke – historyk, wykładowca Instytutu Studiów Politycznych PAN i Collegium Civitas, wiceprzewodniczący Rady IPN; w latach osiemdziesiątych był związany z opozycją demokratyczną; w ubiegłym roku został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski; ostatnio opublikował książki *Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności* (2011) oraz *Adam Ciołkosz – portret polskiego socjalisty* (2011)

Endecja – cenne dziedzictwo

Jan Żaryn

Z dorobku obozu narodowego należy czerpać wszystko to, co pozytywne – a jest tego bardzo dużo – odrzucając jednocześnie to, co z dzisiejszej perspektywy nie wydaje się warte naśladowania.

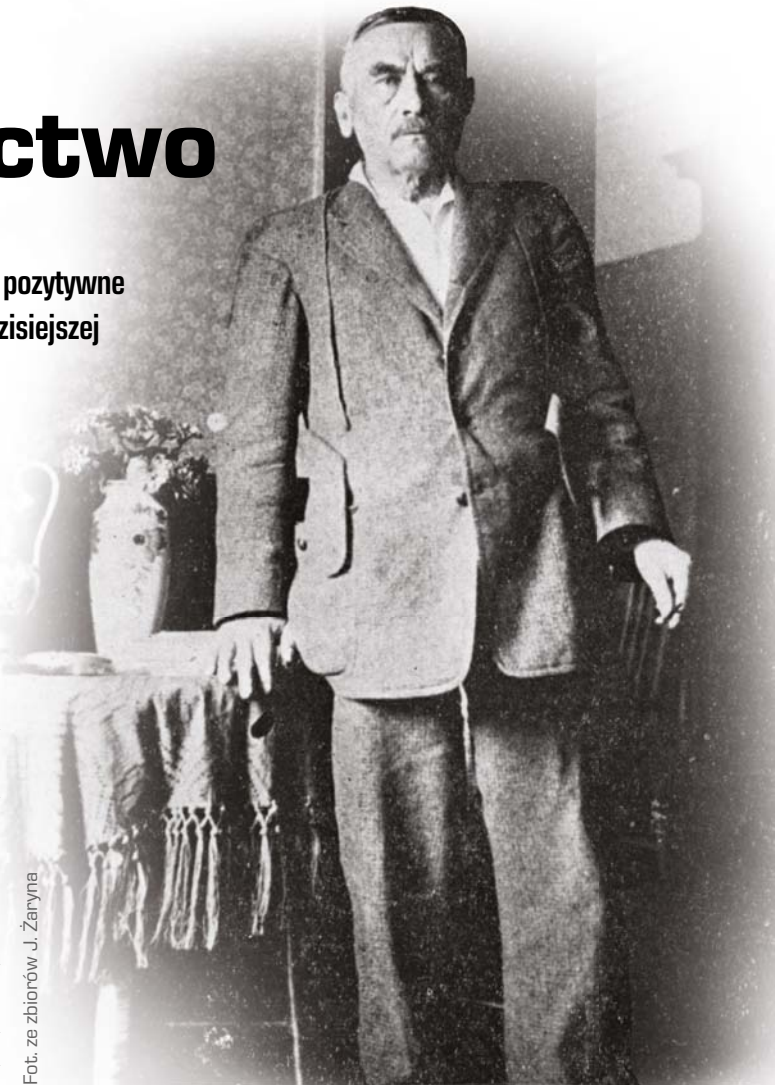
Narodziny ruchu narodowego miały miejsce pod koniec XIX wieku, pod zaborami – w momencie bardzo trudnym dla dziejów Polski. Po przegranym powstaniu styczniowym wydawało się, że sprawa niepodległości Polski na długie dziesięciolecia przestanie być dyskutowana na arenie międzynarodowej. Konserwatyści i pozytywiści doszli więc do wniosku, że największe szanse na uzyskanie jakichś profitów dla sprawy polskiej daje lojalizm wobec zaborców. Towarzyszyła tej postawie ostra krytyka romantycznej tradycji powstańczej.

Równocześnie koniec wieku XIX to okres – w dziejach Europy – kształtowania się nowoczesnych narodów. Bardzo ważną funkcję w tym procesie pełniło państwo – czy to niemieckie, czy to francuskie, czy to zjednoczone włoskie.

W odpowiedzi na te dwa wyzwania zaistniała na ziemiach polskich Liga Polska, od 1893 roku funkcjonująca jako Liga Narodowa. Celem polskiej polityki – mówili narodowcy – ma być walka o niepodległą Polskę, ale już niekoniecznie walka powstańcza z bronią w ręku. Bieżące zadanie zaś to walka – wbrew interesom zaborców – o nowoczesny naród polski. Liga Narodowa głosiła hasła wszechpolskości i wszechstanowości. Wszechpolskość to uznanie, że politykę polską trzeba prowadzić ponad granicami trzech zaborów. Wszechstanowość zaś to założenie, że nie ma warstwy społecznej, której interesy są nadrzędne wobec interesu całego narodu, ten zaś każe szczególnie reprezentować interesy „warstw ludowych". Liga Narodowa wytworzyła więc struktury trójzaborowe, otwarte dla wszystkich grup społecznych, oraz tytuły prasowe skierowane np. do inteligencji („Przegląd Wszechpolski"), włościan („Polak") czy młodzieży („Teka") i inne.

Niepodległość: zasługa Dmowskiego

W 1908 roku Roman Dmowski – przywódca i główny teoretyk obozu narodowego – opublikował głośną książkę *Niemcy, Rosja i kwestia polska*. Wyłożył w niej swoje poglądy na sprawy międzynarodowe. Był wyraźnie zafascynowany Wielką Brytanią jako państwem, które prowadząc egoistyczną politykę wobec świata zewnętrznego, jednocześnie potrafiło mocno zadbać o potrzeby własnego społeczeństwa. Dmowski oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że warunki geopolityczne są inne dla Wielkiej Brytanii – mocarstwa kolonialnego – a inne dla Polski, która w tamtym czasie w ogóle nie istniała jako państwo. Zakładał jednak, że w niedługim czasie dojdzie do konfliktu między Niemcami a Rosją – i stanie się on dla Polski błogosławieństwem. Będzie to owa wymodlona wojna, która spowoduje, że zaborcy nie będą już złączeni wspólnym interesem.



Fot. ze zbiorów J. Żaryna

Roman Dmowski, lider endecji

Za największe zagrożenie dla Polski Dmowski uznawał Niemcy. Są od nas bogatsze cywilizacyjnie – rozumował – a ich parcie na wschód jest nieodzownym elementem budowania niemieckiej tożsamości. Są zainteresowane tymi terytoriami, które z kolei są warunkiem faktycznej niepodległości Polski. Zdaniem Dmowskiego, Polska bez Śląska i dostępu do morza byłaby bowiem tak osłabionym tworem, że jej suwerenność byłaby tylko papierowa. O Rosji z kolei wypowiadał się z poczuciem wyższości: jest to cywilizacja słabsza od polskiej, niemająca nic, co przewyższyłoby polską ofertę cywilizacyjną nagromadzoną od średniowiecza. Socjalizm różnych odcieni, który wypływał z Rosji, Dmowski nazywał „syfilisem politycznym", azjatycką antykulturą. A zatem, paradoksalnie, ponieważ Rosjanie są słabsi, w przyszłym

konflikcie należy się opowiedzieć po ich stronie – przekonywał. Zjednoczenie ziem polskich pod berłem Rosji stanie się dla niej kulą nie do udźwignięcia.

Jeszcze przed I wojną światową endecja – jak przyjęło się nazywać obóz narodowy – zdecydowała się wejść w sojusz z rosyjską opozycją antycarską w Dumie. W Polsce spowodowało to daleko idące zarzuty wobec Ligi Narodowej, wciąż bowiem silne było tradycyjne przekonanie, że nie będzie niepodległej Polski bez powstania antyrosyjskiego i pokonania Rosji. Dmowski to jednak nie tylko opcja prorosyjska, ale i prozachodnia. Za najważniejsze uważał pokonanie Niemiec. Szukał więc sojuszników w entencie: Francji, Wielkiej Brytanii i sprzymierzonej z nimi Rosji, a od 1917 roku także w Stanach Zjednoczonych, które włączyły się do wojny. Wysiłki dyplomatyczne Dmowskiego rzeczywiście przyniosły efekt. Założony przez niego Komitet Narodowy Polski stał się faktyczną reprezentacją interesów polskich, a powstające państwo polskie w 1919 roku znalazło się wśród zwycięzców. Dzięki temu w Wersalu Dmowski mógł negocjować dla Polski jej przyszłe granice.

Legiony Józefa Piłsudskiego – walczące u boku Niemiec i Austro-Węgier – wobec wielomilionowych armii niemieckich, rosyjskich, brytyjskich czy francuskich były znikomą siłą. Najlepiej uzbrojoną armią czasów I wojny światowej, jaką stworzyła strona polska, była armia gen. Józefa Hallera – powołana we Francji dzięki zabiegom Dmowskiego. On zresztą jako prezes KNP był jej Naczelnym Wodzem, o czym na ogół zapominamy.

Demokracja i samorządność

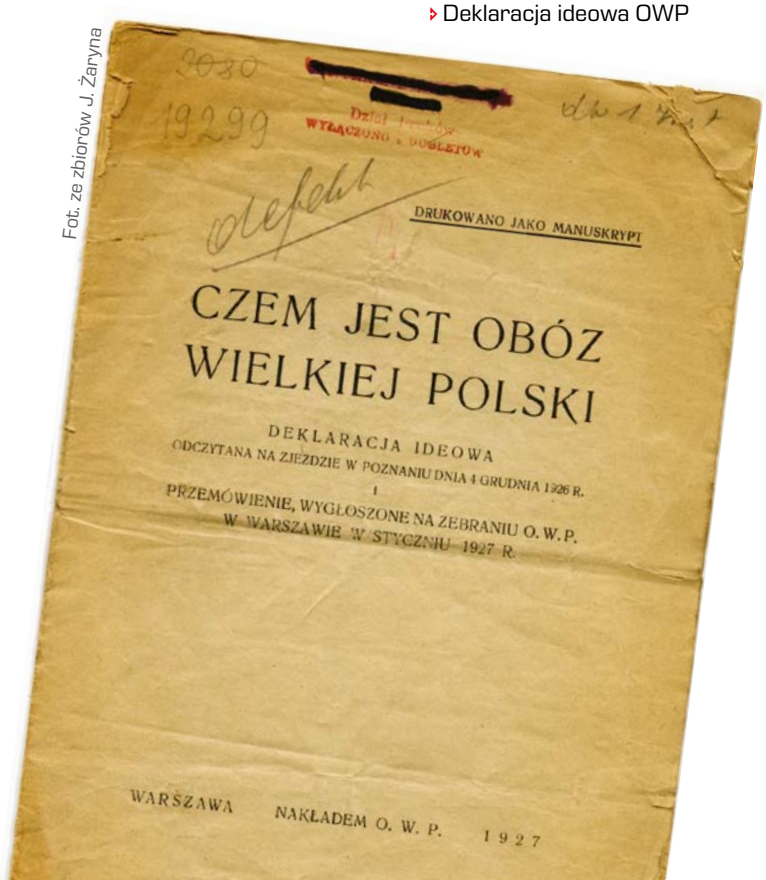
W roku 1919, u progu niepodległej Polski, Związek Ludowo-Narodowy – nowe wcielenie endecji – przedstawił bardzo ciekawy program budowania Rzeczypospolitej samorządnej. Obóz belwederski skupiony wokół Józefa Piłsudskiego postulował coś dokładnie odwrotnego – to państwo powinno przejmować jak najwięcej zadań, zastępując tym samym naród. Piłsudski, mówiąc delikatnie, lekceważył Polaków, uważał większość społeczeństwa za niedorosłych do dźwigania odpowiedzialności za dobro wspólne, chciał omnipotencji państwa, które wypełniłoby przestrzeń publiczną.

Obóz narodowy głosił, że państwo, owszem, ma być w silne w relacjach zewnętrznych, ale „słabe" wobec oddolnej aktywności społecznej – aktywności wobec wspólnoty sąsiedzkiej, parafialnej, miejskiej, branżowo-korporacyjnej – czy wobec szeroko pojętej małej ojczyzny. Można oczywiście dyskutować długo i namiętnie, czy po I wojnie światowej i 123 latach rozbiorów byliśmy gotowi, żeby takie wyzwanie dźwignąć – czy nie byliśmy wówczas jako naród zbyt zdezintegrowani, a ziemie zbyt rozbite. Dodatkowym problemem stawały się silne mniejszości narodowe, z których co najmniej dwie (w swej warstwie politycznej), niemiecka i ukraińska, były zainteresowane likwidacją państwa i miały ku temu wypracowane narzędzia. Z kolei mniejszość żydowska – zamknięta wobec potrzeb rozwojowych warstw ludowych narodu polskiego – stawała się konkurencyjna i antymodernizacyjna dla Polaków, co w warunkach kryzysu ekonomicznego rodziło konflikty. Ale dziś, w roku 2012, to właśnie endecka wizja samorządności wydaje mi się szczególnie godną akceptacji częścią dziedzictwa tej formacji.

Pierwsze pokolenie narodowców – Roman Dmowski, Zygmunt Balicki, Jan Ludwik Popławski – miało też niewątpliwie wrażliwość demokratyczną. Pierwsza partia reprezentująca obóz narodowy, jaka powstała w 1897 roku, nie przypadkiem nazwana została Stronnictwem Demokratyczno-Narodowym. Ten demokratyzm wyrastał z potrzeby budowania nowoczesnego narodu, obejmującego także szeroko pojęte warstwy ludowe. Do tego należy dodać zachłyśnięcie się przez Dmowskiego i jego współpracowników Zachodem – i doświadczenie kontaktu z demokracją we Francji i Wielkiej Brytanii. Narodowcy nie mieli wątpliwości, że niepodległa Polska ma przyjąć system republikański.

Parlamentaryzm II RP niewątpliwie stał się dla narodowców lekcją pokory. Z jednej strony Związek Ludowo-Narodowy był do 1926 roku najsilniejszym ugrupowaniem, z drugiej – nie był w stanie wypracować w Sejmie trwałej większości. Pozytywna ocena demokracji nie była w obozie narodowym wieczna. Znaki czasu podpowiadały coraz mocniej, że ten system się nie sprawdził, szczególnie jako nośnik systemu kapitalistycznego opartego na liberalnej doktrynie leseferyzmu. Obszary biedy zmuszały do wzięcia odpowiedzialności za słabsze warstwy społeczne poprzez wprowadzenie etyki do rozwiązań gospodarczych. Do głosu dochodziły reżimy autorytarne, co zdaniem narodowców było wynikiem słabości systemu demokratycznego. Szukając odpowiedzi,

Deklaracja ideowa OWP



Fot. ze zbiorów J. Żaryna



Fot. z archiwum redakcji „Glaukopisu"

Sekcja kobieca ONR, na czele defilady Maria Rzętkowska, 3 maja 1934 roku

co powinno powstać na gruzach demokracji parlamentarnej, obóz narodowy zastanawiał się, jak pożenić silną władzę centralną i rozbudowaną samorządność. Owocowało to szczególną dyskusją m.in. dotyczącą korporacjonizmu i wprowadzenia chrześcijańskich zasad do życia publicznego.

Specyficzne podejście wśród środowisk narodowych reprezentowało najmłodsze pokolenie narodowców, w tym Ruch Narodowo-Radykalny „Falanga" Bolesława Piaseckiego, który wywodził się z Obozu Narodowo-Radykalnego. Głoszona przez niego wizja ustroju miała łączyć najlepsze zdobycze państwa sanacyjnego z tradycją obozu narodowego. Oznaczało to państwo narodowe i etatystyczne, zarządzane przez silny ośrodek z silnym przywódcą – wodzem – na czele. Pozostałe nurty narodowe, SN i ONR (Organizacja Polska), przez cały okres II RP pozostawały na pozycjach antysanacyjnych.

Włoski faszyzm i portugalski salazaryzm były uznawane w obozie narodowym nie tyle za modele do kopiowania, ile za inspirację do szukania pomysłów. Skoro demokracja i egoistyczna doktryna liberalna w gospodarce zawiodły – argumentowano – szukajmy innych rozwiązań. O ile jeszcze korporacjonizm portugalski był przez endeków dobrze widziany, o tyle Benito Mussolini nie jawił się polskim narodowcom jako poważna postać.

Po II wojnie Stronnictwo Narodowe – bo taką nazwę nosiła partia endecka od 1928 roku – opowiedziało się ponownie za systemem demokratycznym dla wolnej Polski. W programach emigracyjnych obozu narodowego każdej opcji widoczny był jednoznacznie pozytywny stosunek do przemian zachodzących w Europie Zachodniej, w tym do procesu integracji kierowanego przez główne partie chadeckie. Polska miała być narodowa i chrześcijańska, czyli oparta na trwałym fundamencie etycznym.

Problem z Ukraińcami, problem z Narutowiczem

Nie będę chwalił obozu narodowego za wszystko, co zrobił w II Rzeczypospolitej. Choćby za niespójną politykę w kwestii ukraińskiej. Z jednej bowiem strony narodowcy promowali samorządność, z drugiej – ograniczali prawa samorządowe, gdyż obawiali się wpływów ukraińskich w południowo-wschodniej Polsce. Uważali, że zbyt szerokie prawa samorządowe nie będą służyły polonizacji, tylko utrwalaniu nacjonalizmu ukraińskiego. Dostrzegali, że ukraińskie elity są zdecydowanie antypolskie. A jednocześnie wierzyli, że lud ukraiński może być jeszcze do pozyskania, podobnie jak białoruski, który nie miał jeszcze sprecyzowanej własnej tożsamości. Z Litwinami narodowcy nie widzieli możliwości kompromisu, dlatego byli za przyłączeniem Wileńszczyzny – niemal w stu procentach polskiej – bezpośrednio do Polski, co zresztą ostatecznie się stało w 1923 roku. Koncepcję federacyjną Piłsudskiego uznawali za mrzonkę; siła polskiej kultury, podobnie jak w czasach Jagiellonów atrakcyjność Korony Królestwa Polskiego i rodzimej szlachty, miała promieniować i dobrowolnie bądź środkami dostępnymi przez państwo polonizować „tutejszych" i narodowo mniej okrzepłych.

Endecy nie mogli pogodzić się z faktem, że o wyborze prezydenta Polski w 1922 roku zdecydowały głosy mniejszości narodowych. Nie chcieli zaakceptować werdyktu Zgromadzenia Narodowego, czyli wyboru na prezydenta Gabriela Narutowicza, kandydata PSL „Wyzwolenie" – partii opozycyjnej wobec rodzącego się sojuszu parlamentarnego (od narodowców, przez chadeków, do ludowców Witosa). A to przecież obóz narodowy – najsilniejszy klub w Sejmie Ustawodawczym – był współtwórcą i głównym gwarantem konstytucji marcowej, która umożliwiła Narutowiczowi zwycięstwo.

Zabójstwo prezydenta było podwójną tragedią – jako śmierć głowy państwa i jako przejaw zepsucia systemu demokratycznego, opartego na docieraniu stanowisk. Tymczasem dla części ludzi z elektoratu narodowców Eligiusz Niewiadomski – morderca Narutowicza – stał się bohaterem narodowym. Kryzys związany ze śmiercią prezydenta niewątpliwie obciąża obóz narodowy.

Polak, czyli chrześcijanin

Endecy definiowali naród polski jako wspólnotę tradycji, przeżyć i historii – i nie uważali go za grupę zamkniętą. Mógł, ich zdaniem, wejść do niej każdy – ale oczywiście nie jako piąta kolumna, tylko jako czynnik wspierający polską kulturę i tradycję, niezależnie od wyznania i pochodzenia etnicznego. Narodowcy sprzeciwiali się za to wchodzeniu obcej wrażliwości, obcego sposobu widzenia świata, na teren kultury polskiej. Uważali, że to ją rozkłada od wewnątrz. W endeckiej koncepcji narodu doskonale mieścił się natomiast Polak pochodzenia żydowskiego, niemieckiego czy jakiegokolwiek innego, osadzony wyznaniowo i kulturowo w chrześcijaństwie. Dobrym przykładem jest tu rodzina moich pradziadków Karszo-Siedlewskich, ewangelicka, w części



Fot. z archiwum redakcji „Glaukopisu"

niemiecka i francuska, z której większość sympatyzowała z obozem narodowym. Rodzina Natansonów z kolei nie tylko się zasymilowała i przeszła na katolicyzm, ale byli to ludzie aktywnie zaangażowani w ruch narodowy. Ich żydowskie pochodzenie w ogóle nie miało znaczenia. Siostra prezesa SN wyszła za mąż za jednego z przedstawicieli tego rodu.

Kamieniem węgielnym w dyskusji endeków o narodzie stała się książka Dmowskiego *Kościół, naród i państwo* z 1927 roku. Dmowski niejako wpisał w tradycję polską całą spuściznę chrześcijańską. Nie da się odrzucić chrześcijaństwa (katolicyzmu) i nadal być Polakiem – przekonywał. Katolicyzm nie jest bowiem dodatkiem do polskości, ale samą polskością. Młodsi endecy, którzy urodzili się lub kształcili w odrodzonej Polsce, jeszcze mocniej przejęli chrześcijański system wartości jako swoje i polskie dziedzictwo. Niekoniecznie system katolicki, bo było wśród nich również sporo protestantów, ale właśnie chrześcijański. Państwo – mówili – powinno być chrześcijańskie, jeśli chodzi o budowę prawa i instytucji. Stronnictwo Narodowe – jeden z najważniejszych odłamów obozu narodowego – w latach trzydziestych i w czasie II wojny światowej poszło nawet nieco dalej i wysuwało hasło tworzenia narodowego państwa katolickiego.

Żyd, czyli konkurent

Roman Dmowski jest niewątpliwie autorem zmitologizowanego wizerunku Żydów jako wewnętrznie jednolitej społeczności, której elita prowadzi politykę skierowaną przeciwko powstałej w 1918 roku Polsce. W tym micie stereotyp mieszał się jednak z prawdą; dziś można słowo „Żyd" zastąpić pojęciem skrytego ośrodka władzy. Dmowski udowadniał w swoich tekstach, że naród żydowski ma swoją elitę polityczną, bardzo mocno osadzoną w różnych miejscach świata, m.in. w USA i Wielkiej Brytanii. Uważał, szczególnie w czasie I wojny światowej, że Żydzi opowiadają się za Niemcami, co oznacza rozbieżność interesów polskich i żydowskich. Później z kolei obserwował, jak w czasie kongresu wersalskiego koła żydowskie w Anglii wspierały postanowienia niekorzystne dla Polski.

Rzeczywistość, delikatnie mówiąc, była bardziej skomplikowana – w narodzie żydowskim istniały różne opcje. Żydzi w II RP prowadzili bardzo intensywne życie kulturalne i intelektualne, co było zasługą tego właśnie, że Polska się odrodziła. Realizowali oczywiście – szczególnie syjoniści – własne interesy, związane z możliwością budowania nowoczesnego narodu żydowskiego, z wolą pilnowania, by kondycja gospodarcza tego narodu nie upadała. Obóz narodowy – podobnie jak polityczna warstwa Żydów z drugiej strony – tego nie rozumiał i nie doceniał, bo nie był zainteresowany wgłębianiem się w dylematy i tradycje obcego narodu. Więcej uwagi poświęcał zjawiskom w sferze gospodarczej, bo te rzutowały na kondycję polskich chłopów i robotników. W latach trzydziestych coraz wyraźniej widoczne były zaś sprzeczne interesy ekonomiczne między warstwą żydowskich kupców i polskich wytwórców. To powodowało napięcia, szczególnie w warunkach kryzysu gospodarczego. Obóz narodowy próbował te napięcia łagodzić w programach partii, ale i wyzyskać politycznie, budując sobie poparcie wśród polskich chłopów i rzemieślników. Ta polityka mobilizowała niestety do aktów antyżydowskich, często również z użyciem pięści. Pamiętajmy jednak, że bojówki partyjne organizowali też zarówno Żydzi, jak i polskie ugrupowania lewicowe.

W II Rzeczypospolitej pojawiały się także żądania ograniczenia Żydom dostępu do studiów. Zgodnie z programem narodowym dostęp do wyższej edukacji powinni mieć wszyscy Polacy, którzy wykazują się wiedzą i umiejętnościami. Walka o dostęp do ławek studenckich była więc walką przede wszystkim o to, żeby także warstwa chłopska weszła na teren uniwersytecki. Budowanie elit nie powinno bowiem odbywać się kosztem dyskryminacji warstw ludowych. Ławek studenckich było mało, a państwo polskie biedne, w związku z czym endecy wychodzili z założenia, że – w trosce o interesy narodu polskiego – trzeba ograniczyć dostępność studiów na wybranych kierunkach. Profesor Władysław Konopczyński, poseł Związku Ludowo-Narodowego i wybitny historyk nowożytności, zaproponował ustawę o *numerus clausus*, która przewidywała, że na określonych wydziałach mogą być wprowadzane procentowe limity dostępności – zgodnie z podziałami narodowościowymi i demografią. To znaczy: jeśli jest 10 proc. Żydów – jest dla Żydów 10 proc. miejsc na wydziale. Ta ustawa nie weszła w życie, została skrytykowana przez prawników – od prawa do lewa – jako niezgodna z konstytucją i traktatem mniejszościowym.

W latach trzydziestych pojawiły się dużo bardziej radykalne żądania – aż do *numerus nullus*, czyli zamknięcia



Obchody Święta Narodowego 3 Maja, członkowie ONR defilują w Alejach Ujazdowskich, Warszawa 1934 rok



Fot. ze zbiorów W. Muszyńskiego

Żołnierze i oficerowie Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych

przed studentami żydowskimi niektórych wydziałów uniwersyteckich – adresowane do samorządnych uczelni. Warto pamiętać, że sam prof. Konopczyński był ostrym przeciwnikiem *numerus nullus*. Zostawił swoją katedrę najlepszemu uczniowi – prof. Józefowi Feldmanowi, który był pochodzenia żydowskiego.

Głównym winowajcą tego radykalizmu lat trzydziestych był – moim zdaniem – obóz sanacyjny Piłsudskiego, który po wyborach brzeskich 1930 roku i uwięzieniu polityków opozycyjnych zamknął drogę dialogu politycznego. Efektem były m.in. wielkie strajki robotnicze, chłopskie – ale również radykalne działania obozu narodowego, choćby na uczelniach. Tej tradycji nie powinniśmy uznawać za szczególnie chlubną. Należy jednak sprawiedliwie rozdzielić winy. A przede wszystkim znać kontekst.

Pod wpływem doświadczeń II wojny światowej późniejsze pokolenia narodowców zmieniły stosunek do Żydów. Wśród Polaków ratujących Żydów w czasie okupacji było bardzo wielu przedstawicieli obozu narodowego i ich najbliższe rodziny: Ostromęccy, Kemnitzowie czy ksiądz Jan Stępień, Jerzy Zakulski (tak można długo wymieniać), w końcu moja rodzina: Żarynowie i Olizarowie. Nadal pozostawali narodowcami. To samo odnosi się do pokolenia emigracyjnego. Gdy się czyta na przykład wydawaną w Londynie endecką „Myśl Polską", widać bardzo wyraźnie afirmacyjną wręcz zgodę na powstanie w 1948 roku państwa Izrael. Pojawiły się głosy, że to się Żydom po prostu należało za to, co ich spotkało podczas II wojny światowej. Sprawa żydowska siłą rzeczy przestała być głównym punktem odniesienia obozu narodowego. Ważne stały się inne tematy – przede wszystkim brak niepodległości i obecność w Polsce doktryny ateistycznej. Narodowcy zaczęli zatem wspierać politykę Prymasa Tysiąclecia, znaleźli się na Zachodzie wśród czynnych przedstawicieli laikatu katolickiego. Jak wielu innych byli później dumni z papieża Polaka Jana Pawła II.

Zniszczeni i wymazani z pamięci

Obóz narodowy to niewątpliwie fragment polskiej elity, ludzie z wyższym wykształceniem, często profesorowie. Środowisko to zostało nie tylko fizycznie wymordowane w czasach wojny i stalinizmu, ale również usunięto z publicznej dyskusji jego dziedzictwo. Pohańbiono lawiną kłamstw i oszczerstw biografie narodowców.

Od początku okupacji przedstawiciele Stronnictwa Narodowego byli ze szczególną siłą mordowani za antyniemieckość. Siła zbrojna endeków – Narodowa Organizacja Wojskowa – weszła w 1942 roku w skład Armii Krajowej. Równolegle powstały cywilne i wojskowe struktury narodowe: Służba Cywilna Narodu i Narodowe Siły Zbrojne. Nie były scalone z AK, ale ich działacze uznawali polski rząd na uchodźstwie.

Los wszystkich odłamów obozu narodowego był po wojnie taki sam. Zarówno NSZ, jak i utworzone w 1944 roku SN-owskie Narodowe Zjednoczenie Wojskowe to dwie wielkie formacje żołnierzy wyklętych, którzy nie złożyli broni po wejściu na ziemie polskie Sowietów i zapłacili na to najwyższą cenę. Także wielu polityków obozu narodowego zostało zamordowanych, trafiło do więzień lub znalazło się na emigracji.

Po 1956 roku komunistyczne władze odeszły od szkalowania Armii Krajowej jako „zaplutego karła reakcji". Ludzie związani z AK mogli od tej pory próbować wprowadzać prawdziwe słowo w przestrzeń zniewoloną przez rodzimych komunistów. Społeczna recepcja Armii Krajowej stopniowo stała się dzięki temu zbliżona do rzeczywistości czasu wojny. W przypadku Stronnictwa Narodowego i NSZ nadal – aż do 1989 roku – próbowano zatrzymać świadomość społeczną na poziomie stalinowskim, czyli obrzydliwej i zakłamanej propagandy. Wyzwolenie się z tego dziedzictwa wieloletniego kłamstwa jest dziś dużo trudniejsze. Mam jednak nadzieję, że wciąż możliwe.

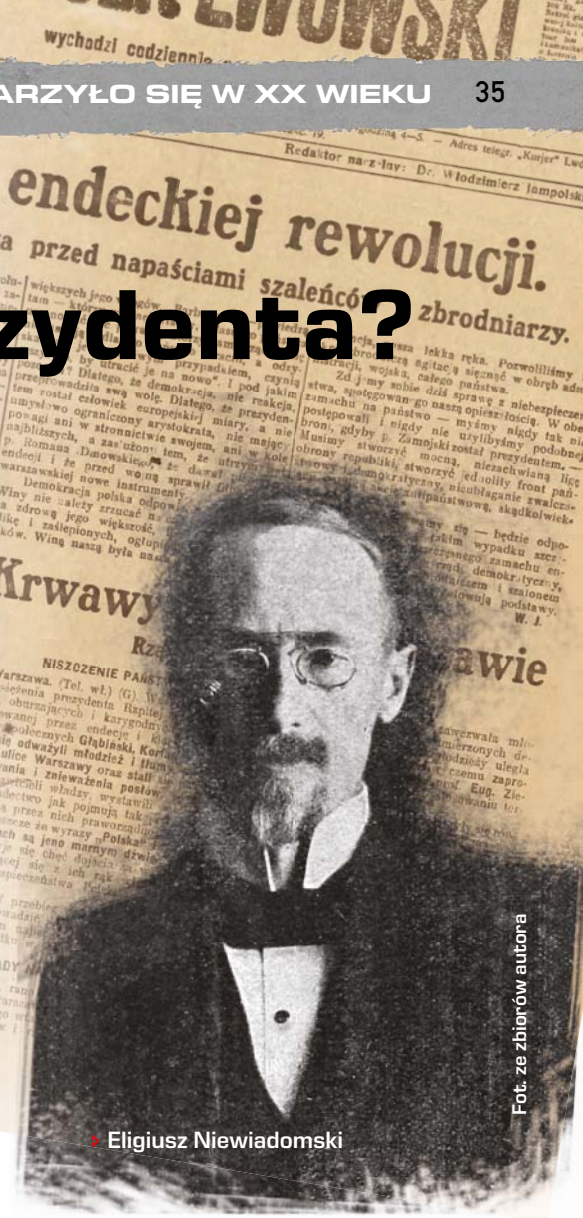
Wysłuchali Jan Olaszek i Filip Gańczak

dr hab. Jan Żaryn – historyk, pracownik BEP IPN, profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, redaktor naczelny czasopisma „Na Poważnie"; w latach 2006–2009 był dyrektorem Biura Edukacji Publicznej IPN; w 2009 roku został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski; jest autorem licznych książek, m.in. *Kościół w PRL* (2004); *„Taniec na linie nad przepaścią"* (2011)

Niewiadomski: dlaczego zabił prezydenta?

Patryk Pleskot

W sali wystawowej Zachęty, tuż po dwunastej 16 grudnia 1922 roku, malarz, radykał i outsider Eligiusz Niewiadomski trzykrotnie strzelił ze swego browninga w plecy prezydenta Gabriela Narutowicza, wybranego zaledwie kilka dni wcześniej przez Zgromadzenie Narodowe. Prezydent, którego strzały zaskoczyły w trakcie podziwiania obrazu *Szron* Teodora Ziomka, zmarł na miejscu. Do dziś tak naprawdę nie wiemy, dlaczego Niewiadomski pociągnął za spust.



Eligiusz Niewiadomski

Fot. ze zbiorów autora

Po bezprecedensowo szybkim procesie zabójca został skazany na śmierć 30 grudnia i rozstrzelany już 31 stycznia 1923 roku przez kompanię szkolną 30. Pułku Strzelców Kaniowskich na stokach Cytadeli. Na okres między zamachem a śmiercią Niewiadomskiego przypadł szczyt zainteresowania społeczeństwa motywami jego czynu. Okazało się, że nie były one oczywiste.

Podczas procesu zabójca przekonywał, że od dawna planował zamach na… Józefa Piłsudskiego, a Narutowicz nic dla niego nie znaczył. Jednocześnie pozował na patriotę, który swym czynem uratował ojczyznę przed „żydowsko-socjalistycznym" spiskiem. Niektórzy Polacy, szczególnie ci sprzyjający endecji, uwierzyli mu: grób Niewiadomskiego stał się obiektem pielgrzymek z całej Polski, a w 1923 roku aż trzysta dzieci otrzymało na chrzcie rzadkie imię Eligiusz. Jednocześnie w Zachęcie inni palili obrazy artysty, środowiska lewicowe uznały zaś go za narzędzie „endecko-paskarskiego" spisku.

Z czasem spory przycichły, a dramat z końca 1922 roku został usunięty w cień przez przewrót majowy. Stopniowo utarło się przekonanie o szaleństwie Niewiadomskiego. Początkowo, w pierwszych dniach po zamachu, tezę tę promowali narodowcy, odcinający się od zabójstwa prezydenta. Było to o tyle łatwe, że fanatyczny Niewiadomski uznawał środowiska endeckie za zbyt mało „narodowe". W miarę upływu lat teza, że był on rzeczywiście człowiekiem szalonym, stała się powszechna i pokutuje do dziś. Dlatego warto przyjrzeć jej się bliżej – zwłaszcza że nie do końca okazuje się trafna.

Arogancki radykał

Nieliczni znajomi zamachowca zgodnie twierdzili, że Eligiusz Niewiadomski, urodzony w 1869 roku w Warszawie w zubożałej rodzinie szlacheckiej, był człowiekiem skrytym i niechętnie ujawniał swoje słabości wobec innych, nawet wobec najbliższych. Na przykład ukrył przed rodziną poważne poparzenia odniesione podczas studiów malarskich w Paryżu. Ponoć – utrzymywał tak literat Antoni Słonimski – nigdy się nie uśmiechał i nie miał poczucia humoru. Nawet szanujący Niewiadomskiego wydawca Władysław Trzaska przyznawał, że był on „bardzo drażliwy i łatwo się denerwował". Stanisław Kijeński, ochotniczy obrońca w procesie zabójcy prezydenta, twierdził, że jego klient „stanowił typ samotnika", „czuł się zdolnym głównie do rozkazywania", a „na uchybienie przeciw honorowi swemu i innych reagował z nadzwyczajną gwałtownością. Wybujała jego indywidualność nie mogła się pomieścić w ramach programu żadnego stronnictwa i dyscypliny partyjnej".

Późniejszy zamachowiec pobił podobno Przemysława Mączyńskiego, redaktora „Gazety Porannej", organu endecji. Nawet malarz Jan Skotnicki, który Niewiadomskiego znał dobrze z pracy, dostrzegał w nim sprzeczne cechy. Zeznając w grudniowym procesie, przekonywał: „Z jednej strony robi wrażenie człowieka bardzo czułostkowego, a w pewnych chwilach sentymentalnego, w innych oschłego i sztywnego. Te sprzeczności starałem się wytłumaczyć w ten sposób, że pan Niewiadomski, jako artysta, chciał w sztuce być czułostkowy, jednakże wychowanie dało mu, poza sztuką, pewną prostolinijność, jaka w stosunku



Gabriel Narutowicz – pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

do ludzi nadawała mu pewną oschłość i ostrość, którą mu zarzucano". Tłumacząc, dlaczego tuż po zabójstwie Narutowicza nazwał Niewiadomskiego „wariatem", Skotnicki mówił: „To dotyczyło pewnej bezwzględności w stosunku do ludzi, co do których miał takie czy inne wątpliwości. To dotyczyło tej egzaltacji, przesady, nadczułości". Nawet sprzymierzeńcy Eligiusza Niewiadomskiego przyznawali, że był on posądzany o „pewne narwanie" i „brak równowagi" w życiu codziennym.

Skotnicki zwrócił uwagę na jeszcze jedną ciekawą cechę osobowości Niewiadomskiego, być może jedną z najważniejszych dla badań motywów jego postępowania: „To był umysł, który […] ogarniał tylko pewne rzeczy, które starał się widzieć, nie widząc zupełnie z boku konsekwencji i niebezpieczeństw, jakimi mogło to grozić […]. To był człowiek nie zawsze o szerokich poglądach, ale ideowy bezwzględnie".

Czy opinie Skotnickiego można uznać za wiarygodne? Na pewno miał on wiele okazji, by wyrobić sobie zdanie o koledze z pracy. We wspomnieniach pisał: „Moje stosunki osobiste z Niewiadomskim trwały parę lat […]. W Ministerstwie Sztuki i Kultury siedziałem z nim przy jednym podwójnym biurku, patrząc mu w oczy przez dwa lata, poznałem go więc dobrze". Skotnicki zwrócił uwagę na pryncypialność kolegi, która „była głównym źródłem jego radykalizmu. Że znalazł się on w obozie narodowym, to przypadek. Chwilowe, taktyczne hasła tego obozu przyjmował jako istotne wyznanie wiary. Niewiadomski w każdej partii byłby krańcowym radykałem. Nie próbował zgłębiać programów, pociągała go raczej ich jaskrawość. Stąd wypływało jego oderwanie od rzeczywistości, a także pozerstwo i deklamatorstwo". Rodzi się jednak wątpliwość: przecież tysiące młodych Polaków przeszło podobną formację i skłaniało się ku radykalizmowi – a jednak nie zostało mordercami.

„Jako zwierzchnik był surowy, często popędliwie złośliwy, jako człowiek – mściwy, bezwzględny, uparty – kontynuował Skotnicki. – Te cechy charakteru nie zjednywały mu sympatii między kolegami i interesantami. Trzeba przyznać, że był również surowy w stosunku do siebie, a w służbie niezwykle punktualny i pedantyczny oraz niebywale, choć nie zawsze celowo, pracowity. Służbowo ze mną nigdy nie miał najmniejszego zatargu, ale nad moim kolegą J. wprost się znęcał, czym uniemożliwiał mu zupełnie pracę". Słowa te oddają aspołeczny charakter Niewiadomskiego, lekceważenie otoczenia, ale też niezwykle intensywne zmaganie się z samym sobą w imię wybujałych ambicji.

Ku autodestrukcji

Być może najciekawszym wątkiem, który poruszył w swych wspomnieniach Skotnicki, jest autodestrukcyjna natura osobowości Niewiadomskiego. Miała się ona w pełni ujawnić w końcu 1921 roku, kiedy został wyrzucony z pracy w Ministerstwie Sztuki i Kultury z powodu kłótni z samym ministrem. Od tej chwili wszedł na drogę wiodącą ku przepaści. Według Skotnickiego rosnąca izolacja bezrobotnego Niewiadomskiego miała wyraźny wpływ na jego życie prywatne i stan psychiki: „Mam wrażenie, że stosunki osobiste i trudności życiowe po otrzymaniu dymisji zrodziły w jego głowie myśli samobójcze. Chciał jednak popełnić samobójstwo, wykorzystując je jednocześnie na wielki, efektowny, historyczny czyn. Tym czynem i jednocześnie samobójstwem stało się zabójstwo Narutowicza".

Jest bardzo prawdopodobne, że to tendencje autodestrukcyjne leżały u podstaw pomysłów i posunięć zamachowca. Należy jednak podkreślić, że nawet jeśli tak było, sam przed sobą nigdy by się do tego nie przyznał. Był zbyt dumny, ambitny i przekonany do

swoich racji, by po prostu popełnić samobójstwo. Morderstwo, którego konsekwencją byłaby kara śmierci – to co innego. Jest niezwykłe, jak desperacko Niewiadomski szukał ofiary: najpierw obierając sobie za cel Piłsudskiego, a potem od razu Narutowicza. Planując zamach, nawet w ogóle nie zastanawiał się nad tym, że tak naprawdę planuje również swoją śmierć. Morderstwo wydawało mu się rozwiązaniem idealnym: nie tylko prowadziło do autodestrukcji (co mogło być podświadomą motywacją jego działań), ale też w pełni realizowało jego poglądy polityczne i ideologiczne, a także czyniło go bohaterem i postacią, która chwalebnie zapisze się na kartach historii. To odpowiadało jego ambicjom i megalomanii.

„Kilkuletnia samohipnoza"

Narastające napięcie w psychice Niewiadomskiego wyczuwał również nieznający go osobiście Leo Belmont, lewicowy pisarz żydowskiego pochodzenia. Autor ten, choć nie miał wykształcenia medycznego, przekonywał, że w chwili popełnienia zbrodni Niewiadomski był „niepoczytalny – wbrew temu, co sam o sobie mówi i wbrew zdawkowym sądom mas, które mówią o nim na mocy złej obserwacji i mylnej informacji, bez zasięgnięcia opinii psychiatrów i psychologów". Morderca posiadał jakoby duszę „czułą wewnętrznie, a oschłą z pozoru, nieskazitelnie prawą na każdym stanowisku, wybuchającą późno a jaskrawo po podrażnieniu. Wulkan pod korą lodową! [...] Sam podsądny – ciągnął Belmont – z uporem symulujący zdrową jaźń, wstydzący się cienia słabości, acz na zgubę sobie, z maniakalną uciechą samobójcy łudził sąd, salę, dzienniki, iż jest człowiekiem absolutnie normalnym, nie tylko o myśli logicznej, lecz i woli, podobnież zdrowej, co i twardej".

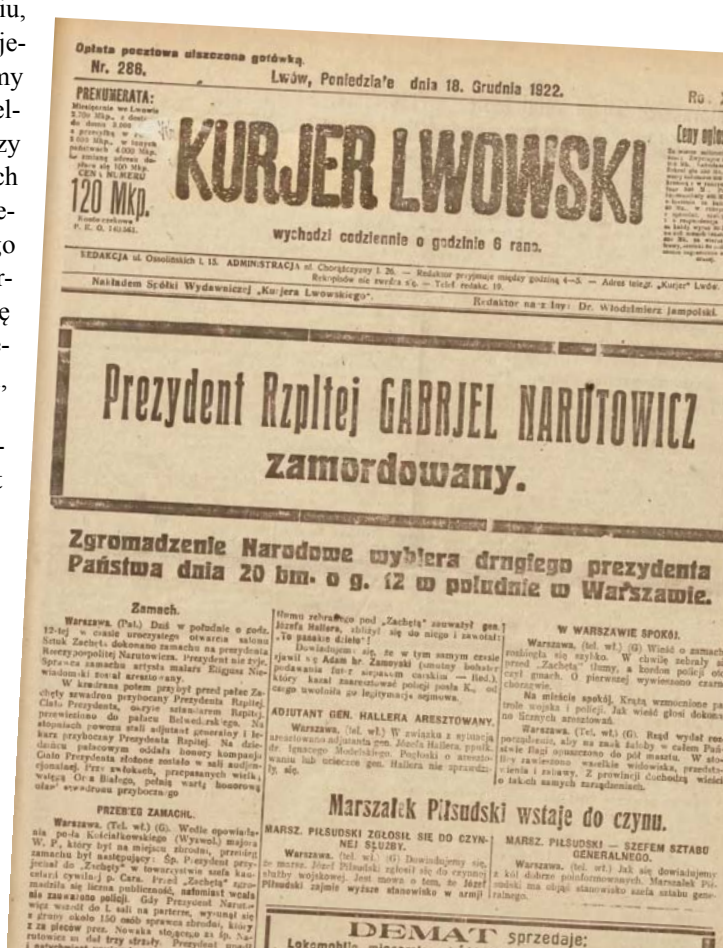
Zauważane przez wielu wewnętrzne napięcie w osobowości Niewiadomskiego i skłonności samobójcze nie budzą chyba wątpliwości. Dalsze quasi-medyczne tezy Belmonta należy jednak traktować z przymrużeniem oka: Niewiadomski „nie pozwolił widzieć nikomu, że to była wola ślepa, działająca pod kilkuletnią samohipnozą, która nie wyczerpała się w akcie zbrodni, a przeszła za zabójcą na ławę podsądnych, aby bronić jego czynu przed sobą i światem! Ale czyż jest człowiekiem normalnym człowiek tak absolutnie pozbawiony instynktu samozachowawczego?" – pytał pisarz i odpowiadał, że zamachowiec to „człowiek chorej, samozahipnotyzowanej na zabójstwo woli".

Katatonik?

Ciekawą, choć kontrowersyjną glosę do charakterystyki osobowości Niewiadomskiego sporządził lekarz psychiatra Maurycy Urstein, który w 1923 roku opublikował broszurę *Eligiusz Niewiadomski w oświetleniu psychiatry*. Urstein dowodził, że Niewiadomski cierpiał na katatonię, która wywoływała u niego napady szału i zamroczenia. Opierając się na analizie manifestów napisanych przez zamachowca już w więzieniu, lekarz stwierdzał: „Doznajemy wrażenia, jak gdybyśmy słyszeli orkiestrę bez kapelmistrza. W gruncie rzeczy to zbiór głośno brzmiących wyrazów bez wewnętrznego związku i logicznego powiązania, przy tym uporczywe zatrzymywanie się przy poszczególnych oderwanych wyobrażeniach, zamęt i chaos".

„Całe życie jego – przekonywał Urstein – jest wyrazem owej ciężkiej choroby, która z żywiołową koniecznością musiała doprowadzić do owego tragicznego rezultatu. W każdym razie nie był on zdolny właściwie pokierować swoim życiem i zdobyć sobie należne stanowisko społeczne".

To prawda – Niewiadomski na żadnym etacie nie potrafił dłużej zagrzać miejsca, poczuć satysfakcji z pracy, jaką wykonywał. „Do tego się dołącza – ciągnął psychiatra – wielka nietrafność, raczej zupełny brak sądu, słaba wola, megalomania w ocenianiu własnej osoby, typowe idee reformatorskie, nieobliczalne postępki, dziwactwa w obejściu i inne cechy charakterystyczne dla katatonii" – wyliczał. Potwierdzał też słowa Skotnickiego, argumentując: „Niewiadomski był wielkim pedantem, pracował dużo, lecz praca jego nie była owocną. Umysł miał ciasny, jednostronny. Nie obchodziło go to, co się dokoła niego działo. Wspólnoty pracy nie uznawał i zdarzało się nieraz, że brał się do rzeczy, którą już dawno siedzący obok kolega wykonał. Zamiłowanie do pracy było u niego mało celowe i przesadne. Nie zapominał uraz. Jeśli go kto dotknął, na razie nie okazywał tego, lecz nie przebaczał i szukał sposobności, aby mu się odpłacić". Dokonując spektakularnego zabójstwa, chciał się odpłacić rzeczywistości, której nie akceptował.



Opłata pocztowa uiszczona gotówką.
Nr. 286. Lwów, Poniedziałe dnia 18. Grudnia 1922.

PRENUMERATA: 120 Mkp.

KURJER LWOWSKI

wychodzi codziennie o godzinie 6 rano.

Prezydent Rzpltej GABRJEL NARUTOWICZ zamordowany.

Zgromadzenie Narodowe wybiera drugiego prezydenta Państwa dnia 20 bm. o g. 12 w południe w Warszawie.

Zamach.

ADJUTANT GEN. HALLERA ARESZTOWANY.

Marszałek Piłsudski wstaje do czynu.

DEMAT



Lwów, Poniedziałek dnia 1. Stycznia 1923. Rok XLI.

KURJER LWOWSKI

wychodzi codziennie o godzinie 6 rano.

Redaktor naczelny: Dr. Włodzimierz Iampolski.

szy sąd nad wrogami Rzpltej

Morderca prezydenta Narutowicza skazany na śmierć.

Niewiadomski planował zamach na marszałka Piłsudskiego.

PRZEBIEG ROZPRAWY.

MOWA PROKURATORA.

Wyrok śmierci.

SENTENCJA WYROKU.

Niewiadomski rozstrzelany.

Warszawa. (Pat.) Wczoraj o godz. 7·19 rano na stokach Cytadeli został rozstrzelany Eligjusz Niewiadomski, zabójca pierwszego prezydenta Rzp tej Narutowicza. Egzekucji dokonano w obecności podprokuratora sądu okręgowego Michałowskiego, zastępcy komendanta policji Charlemagne oraz obrońcy skazanego adwokata Kijeńskiego.

IV. emisja biletów skarbowych na 200 miljardów marek.

Z OBRAD SENATU.

Warszawa. (Pat.) Na X posiedzeniu senatu przyjęto uchwaloną przez Sejm nowelę do u- o obowiązku zarządów gmin miejskich zania pomieszkań.

Socjopata?

Z perspektywy dziewięćdziesięciu lat trudno jest wyrokować o stanie psychiki Eligiusza Niewiadomskiego. Urstein – nie mówiąc już o psychiatrach z *Rewizji nadzwyczajnej* – postawił swą diagnozę jedynie na podstawie zapisanych przez zamachowca słów. Mordercy nie zbadał fachowo żaden specjalista. Zgodnie ze sztuką lekarską nie jest więc możliwe wydanie wiarygodnego orzeczenia. Analizujący przypadek Niewiadomskiego kolejni psychiatrzy i psychoanalitycy mentatorzy kreślą obraz człowieka pełnego skrywanych kompleksów, gwałtownego, aspołecznego, rozchwianego emocjonalnie i charakterologicznie, słabego – ale nie klinicznie szalonego. Co znamienne, przecież sąd nie uznał go za niepoczytalnego i w ogóle nie badał jego psychiki – na co zwrócił uwagę chociażby Leo Belmont.

To, że sąd w ramach procesu nie zdecydował się na przeprowadzenie badań psychiatrycznych oskarżonego, bezwiednie wpisywało się w logikę mordercy, któremu zależało na budowaniu własnej legendy. Ewentualne uznanie go za niepoczytalnego byłoby ciosem w tę legendę. Uznanie Niewiadomskiego za osobę zdrową psychicznie ułatwiło propagowanie jego kultu w środowiskach narodowych.

Zabójca Narutowicza był fanatykiem targanym przez obsesje i uprzedzenia, osobą skłonną do wybuchów i okrucieństwa, pozbawioną empatii, o ciasnej umysłowości i silnym poczuciu misji – ale to jeszcze nie wystarcza, by określić go jako katatonika czy paranoika. Z pewnością był socjopatą. Czy socjopatię można jednak utożsamiać z chorobą?

Czynu Niewiadomskiego na pewno nie sposób interpretować jedynie w kategoriach indywidualnych. Podjęta przez niego decyzja była w pewnej mierze efektem ówczesnej atmosfery społeczno-politycznej, cechującej się wyjątkową brutalnością i rozgorączkowaniem. Tuż przed dramatem, jaki rozegrał się 16 grudnia, wpływowy dziennikarz i polityk endecki Stanisław Stroński nazwał Narutowicza „zawadą". Niewiadomski postanowił tę „zawadę" usunąć. Doszło do sytuacji, w której wewnętrzne predyspozycje idealnie zagrały z atmosferą zewnętrzną.

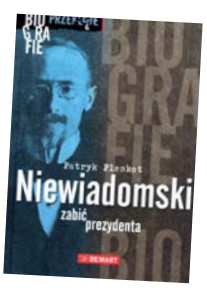
Być może najtrafniejsze wyjaśnienie zamachu na Gabriela Narutowicza sformułował w 2010 roku prof. Jerzy Szacki. Socjolog przypomniał postać Niewiadomskiego przy okazji zabójstwa Marka Rosiaka (pracownika łódzkiego biura poselskiego Prawa i Sprawiedliwości), po czym zauważył: „Jeśli człowiek nie potrafi zdystansować się wobec wydarzeń, nie panuje nad swoimi emocjami lub jest chory, to spirala nienawiści rozkręcona przez polityków może mieć taki finał". Nie ma wątpliwości, że w grudniu 1922 roku, po niespodziewanym wyborze Gabriela Narutowicza na pierwszego prezydenta RP, spirala nienawiści została rozkręcona do granic możliwości.

Obłęd posłannictwa?

W 2000 roku w programie telewizyjnym *Rewizja nadzwyczajna* przeprowadzono intrygujący eksperyment psychiatryczny: dwoje zaproszonych lekarzy przeanalizowało wszystkie zachowane wypowiedzi Niewiadomskiego, starając się opracować na ich podstawie diagnozę psychiatryczną. Ich zdaniem zabójca prezydenta cierpiał na paranoję, a ściślej – tzw. obłęd posłannictwa.

Osoba dotknięta tym schorzeniem ma poczucie misji, którą realizuje bez względu na konsekwencje. Czy jednak taki opis musi cechować wyłącznie ludzi szalonych? Jak napisano w jednej z definicji obłędu posłannictwa, niekie-

dr Patryk Pleskot
– pracownik OBEP IPN w Warszawie, autor kilkunastu książek; ostatnio wydał: *Niewiadomski – zabić prezydenta* (2012)



Zostać czy wyjść?

Sławomir Kalbarczyk

„Jak do Persji wyjedziecie, to już tutaj nie wrócicie” – usłyszał od Stalina gen. Władysław Sikorski. Sprawa ewakuacji Armii Polskiej z ZSRS do Iranu to festiwal błędów i złej woli.



Fot. NAC

Podpisanie układu polsko-sowieckiego o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych, Londyn, 30 lipca 1941 roku; siedzą od lewej: gen. Władysław Sikorski – premier RP i Naczelny Wódz, Anthony Eden – minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Winston Churchill – premier Wielkiej Brytanii, Iwan Majski – ambasador ZSRS w Wielkiej Brytanii

„Jednostka zerem, jednostka niczym” – twierdził bolszewicki poeta Włodzimierz Majakowski. Nie od dziś wiadomo, jak bardzo – zwiedziony złudną potęgą mas – się mylił. Jednostki wywierają wielki wpływ na bieg historii – i nie chodzi tylko o takie przykłady jak Adolf Hitler czy Józef Stalin. Także postaci z drugiego szeregu miały często istotny wpływ na taki, a nie inny bieg ważnych wypadków historycznych. Przekonamy się o tym, poznając kulisy spięcia, do którego doszło 3 grudnia 1941 roku między gen. Władysławem Sikorskim a Józefem Stalinem.

Tego dnia polski premier zaproponował podczas spotkania na Kremlu, by formowaną w ZSRS Armię Polską skierować do Iranu. Ewakuacja, której chciał Sikorski, miała być czasowa. Po uzbrojeniu i wyekwipowaniu przez Anglików polskie wojska miały wrócić i bić się na froncie wschodnim. Zdawałoby się, że propozycja polskiego przywódcy była ze wszech miar rozsądna, bo Sowieci mieli ogromne problemy z dostarczeniem Polakom broni. A jednak Stalin gwałtownie zaoponował, mówiąc, że Polacy do Związku Sowieckiego z Iranu… już nie wrócą, bo na polecenie Anglików będą walczyć albo w Persji, albo w Turcji, albo przeciw Japonii, która wkrótce może włączyć się do wojny.

Skąd wzięło się przypuszczenie, że Brytyjczycy zechcą zatrzymać polskie wojska w Iranie, by użyć ich do własnych celów? Z tradycyjnej niechęci Stalina do Anglosasów? Wszak nie byli oni naturalnymi sprzymierzeńcami – to wojna z Niemcami zmusiła komunistyczny Związek Sowiecki do sojuszu z Wielką Brytanią – kolebką znienawidzonego kapitalizmu i „imperialistyczną” potęgą. A może, jak twierdził jeden z polskich badaczy, Stalin tylko udawał oburzenie propozycją Sikorskiego, bo tak naprawdę wolał się polskiej armii pozbyć? Wszak jej obecność – swoistej „ekspozytury” rządu Sikorskiego, z którym sowieckiego satrapę dzieliły kwestie fundamentalne – krępowała mu tylko swobodę ruchów w sprawach polskich.

Sojusz z wrogiem

Przypomnijmy, jak to się stało, że na ziemi sowieckiej, która po 17 września 1939 roku stała się dla setek tysięcy obywateli polskich „domem niewoli”, doszło do powstania Armii Polskiej. Zdecydowało o tym wydarzenie o przełomowym znaczeniu dla dalszych zmagań wojennych, jak i dla dotychczasowego systemu sojuszy: 22 czerwca 1941 roku III Rzesza uderzyła na Związek Sowiecki.

„A więc stało się to, czego oczekiwaliśmy, lecz czego nie spodziewaliśmy się w tak szybkim czasie. Prysnął związek hitlerowsko-bolszewicki, będący u początku tej straszliwej katastrofy, której ofiarą padła Polska. Od świtu 22 czerwca są ze sobą w wojnie niedawni sprzymierzeńcy” – skomentował niemiecki atak na Sowiety polski premier w przemówieniu radiowym, wygłoszonym następnego dnia po agresji. Istotnie, jeden sojusz „prysnął”, ale natychmiast zrodził się nowy, bo Brytyjczycy z miejsca wystąpili wobec ZSRS z ofertą antyniemieckiego aliansu. Stalin, oczywiście, skwapliwie z niej skorzystał, i tak 12 lipca 1941 roku podpisany został brytyjsko-sowiecki traktat wymierzony przeciwko Niemcom. Polsko-sowieckie pertraktacje trwały dłużej, ale i one doprowadziły do podobnego finału – 30 lipca 1941 roku w Londynie


Fot. NAC

Londyn, 2 września 1941 roku, gen. Władysław Sikorski (z lewej) i min. Stanisław Stroński żegnają ambasadora Stanisława Kota przed odlotem na placówkę

premier Sikorski i Iwan Majski, ambasador ZSRS w Wielkiej Brytanii, podpisali polsko-sowiecki układ sojuszniczy. Przewidywał on m.in. utworzenie na terenie Związku Sowieckiego Armii Polskiej, która w sprawach operacyjnych miała być podporządkowana Naczelnemu Dowództwu ZSRS. Układ nie regulował kwestii użycia tej armii; miało to zostać sprecyzowane w późniejszym porozumieniu. Okazała się nim podpisana 14 sierpnia 1941 roku w Moskwie polsko-sowiecka umowa wojskowa. Stwierdzono w niej, że Armia Polska zostanie przeznaczona do wspólnej walki u boku wojsk Związku Sowieckiego oraz innych państw sojuszniczych przeciwko Niemcom. W dokumencie tym wskazano dwa źródła uzbrojenia i wyekwipowania Armii Polskiej w ZSRS: własne zasoby rządu sowieckiego oraz amerykańskie dostawy na podstawie „Lend and Lease Bill".

Formowanie armii ruszyło w sierpniu 1941 roku. Na Powołże – do Buzułuku, Tocka i Tatiszczewa – zaczęły napływać tysiące ochotników. Przybywali wycieńczeni, obdarci i wygłodzeni – wszak jeszcze wczoraj walczyli o życie w sowieckich łagrach, więzieniach i miejscach deportacji…

Realizacja polsko-sowieckiego sojuszu dość szybko zaczęła kuleć, a to z powodu niemożności uzbrojenia przez ZSRS więcej niż jednej polskiej dywizji. Ponieważ polskie plany zakładały utworzenie w Sowietach nawet stutysięcznej armii, już we wrześniu 1941 roku gen. Sikorski zaczął przemyśliwać o przeniesieniu Armii Polskiej z Powołża na Kaukaz, by przybliżyć ją tym samym do brytyjskich źródeł zaopatrzenia w Iraku. O żadnym wycofywaniu wojsk ze Związku Sowieckiego nie było jednak na razie mowy. Władze polskie były pełne nadziei, że na planowanej na początek października międzyalianckiej konferencji w Moskwie potrzeby wojsk polskich w ZSRS zostaną uwzględnione. Tak się jednak nie stało – cały materiał wojenny z Anglii i Stanów Zjednoczonych zdecydowano przekazać Armii Czerwonej – i polskie nadzieje na szybkie stworzenie wielkiej armii w Sowietach prysły.

Oferta Churchilla

Kiedy możliwości rozwojowe Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS zostały praktycznie przekreślone, pojawiło się światełko w tunelu. Oto 24 października 1941 roku brytyjski premier Winston Churchill zaproponował gen. Sikorskiemu, by wojska polskie zostały ewakuowane ze Związku Sowieckiego do Iranu, skąd po uzbrojeniu przez Brytyjczyków wróciłyby na terytorium sowieckie, by wspólnie z Armią Czerwoną walczyć przeciwko Niemcom. W przypadku sprzeciwu Rosjan Churchill proponował przenieść polskie dywizje przynajmniej w pobliże Astrachania, gdzie Brytyjczycy posłaliby konieczne dostawy.

Propozycja brytyjska nie była wyłącznie gestem dobrej woli skierowanym pod adresem polskiego sojusznika. Miała drugie dno, czego zresztą szef brytyjskiego gabinetu przed Sikorskim nie ukrywał. Otóż polskie wojska miały zastąpić pięć stacjonujących w Iranie dywizji sowieckich, które sprawiały Brytyjczykom rozliczne kłopoty. Był jeszcze jeden motyw, o którym Churchill Sikorskiemu już nie powiedział. Brytyjczycy czuli się w Iranie słabi i w obliczu przewidywanego parcia Niemców ku źródłom ropy naftowej, bez której machina wojenna III Rzeszy mogła stanąć, podejmowali gorączkowe starania o wzmocnienie swych sił na Bliskim Wschodzie.

Sikorski, co zrozumiałe, podchwycił pomysł brytyjskiego premiera. Już w cztery dni potem polecił polskiemu ambasadorowi w Związku Sowieckim, prof. Stanisławowi Kotowi, by przedstawił rządowi sowieckiemu żądanie przesunięcia Armii Polskiej przede wszystkim do Iranu, a w dalszej kolejności – na Kaukaz. Motywował to koniecznością skoncentrowania wojsk polskich tam, gdzie rząd brytyjski mógłby je uzbroić i wyekwipować. Następnego dnia Kot telegraficznie odpowiedział, nie uzasadniając tego zresztą w żaden sposób, że przemieszczenie wojsk polskich na Kaukaz nie może wchodzić w rachubę. Wydawałoby się, że nie rodziło to żadnych specjalnych komplikacji – Sikorski wyraźnie preferował Iran.

W tym samym czasie premier energicznie działał w kierunku zapewnienia sobie dyplomatycznego wsparcia Brytyjczyków i Amerykanów dla tych planów. Sprowadzało się to do prośby, by ambasadorzy Wielkiej Brytanii i USA w Moskwie udzielili inicjatywie polskiej poparcia. Wydawało się zatem, że wszystko jest na dobrej drodze.

Dezinformacje ambasadora

Już wkrótce jednak, głównie z winy ambasadora Kota, prosta teoretycznie sprawa przeniesienia wojsk polskich do Iranu (lub na Kaukaz) znalazła się na manowcach. Pierwszy poważny błąd Kot popełnił 1 listopada 1941 roku, kiedy to w nocie do rządu sowieckiego wystąpił z żądaniem przeniesienia wojsk polskich, ale posłużył się ogólnikową formułą, że winny one zostać przesunięte na tereny umożliwiające dogodne zaopatrywanie armii przez Wielką Brytanię. Nazwy „Iran" i „Kaukaz" w dokumencie tym w ogóle się nie pojawiły. Dlaczego? W końcu listopada 1941 roku Kot tłumaczył się, że Sikorski nie nakazał mu wysunięcia postulatu ewakuacji armii. Jednak w świetle polecenia otrzymanego od premiera, w którym Iran wyraźnie wskazany jest jako najbardziej pożądane miejsce translokacji wojsk, było to absolutnie nieprzekonujące. Nie da się wykluczyć, że z jakichś względów Kot po prostu zignorował polecenie szefa rządu i usiłował przeprowadzić własną koncepcję przesunięcia armii. Gdzie – w zamyśle ambasadora – miała ona zostać przeniesiona? Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – do Uzbekistanu. Odpowiadając bowiem premierowi na jego polecenie, Kot nie tylko odrzucił Kaukaz jako miejsce przesunięcia wojsk, ale poczynił wielce zastanawiającą uwagę, że to Uzbekistan „leży najkorzystniej dla dostaw brytyjskich".

Widzimy, jak koncepcje premiera i ambasadora rozeszły się – i to ewidentnie z winy tego ostatniego. Koncepcja Kota oznaczała całkowitą zmianę planów Sikorskiego: zamiar ewakuacji Armii Polskiej do Iranu został z niej wyrugowany, przesunięcia na Kaukaz – też; pozostawał mglisty postulat przeniesienia wojsk w inne rejony Związku Sowieckiego dogodne z punktu widzenia dostaw brytyjskich. Mglisty, bo nie wynikało z niego nawet to, że armia ma zostać przesunięta na południe! Bo przecież dostawy brytyjskie dla ZSRS szły nie tylko przez Persję (Iran), ale także przez Archangielsk na dalekiej północy.

Kot jako przekaziciel poleceń premiera zawiódł zatem kompletnie i dezinformował władze sowieckie co do intencji szefa polskiego gabinetu. Dobitnym tego potwierdzeniem jest jego rozmowa ze Stalinem, odbyta 14 listopada 1941 roku. I tym razem Kot słowem nie wspomniał ani o Iranie, ani nawet o Kaukazie, popełniając tym samym drugi błąd o podstawowym znaczeniu. Mówił tylko o rozbudowie armii polskiej – na co Stalin się zgodził – i prosił o wyznaczenie miejsc formowania oddziałów. Wtedy nastąpiło coś, czego zapewne ambasador nawet w najczarniejszych snach nie przewidział. Stalin nieoczekiwanie oświadczył kategorycznie, że miejscem tym na pewno nie będzie Uzbekistan, do którego, jak stwierdził, obywatele polscy wyjeżdżają nielegalnie. W tym momencie Kot znalazł się w ślepym zaułku – wcześniej nie zasygnalizował zamiaru przeniesienia wojsk polskich do Iranu lub na Kaukaz, a jego własna koncepcja formowania armii w Uzbekistanie legła właśnie w gruzach.

Kot chwycił się ostatniej deski ratunku i poprosił o odłożenie decyzji do przyjazdu gen. Sikorskiego do Związku Sowieckiego (premier był już wówczas w drodze – w Egipcie). Swego rodzaju ukoronowaniem dezinformacyjnej działalności Kota była jego relacja z rozmowy z sowieckim dyktatorem, jaką 17 listopada 1941 roku zdał Staffordowi Crippsowi, ambasadorowi Wielkiej Brytanii w ZSRS. Powiedział wówczas, że Stalin zaproponował jako miejsce formowania polskich oddziałów…Uzbekistan, ale on poprosił go o wstrzymanie się z decyzją do przybycia gen. Sikorskiego. Trudno powiedzieć, co kierowało ambasadorem, kiedy w ten sposób rozpowszechniał błędne informacje.

Aliancka dyplomacja

Ambasador Kot nie działał w próżni. Pamiętajmy wszak, że zamiar ewakuacji wojsk polskich do Iranu (względnie przeniesienia na Kaukaz) miała wspierać z inspiracji władz polskich aliancka dyplomacja. Istotnie, podjęła ona działania, ale rezultat daleki był od oczekiwanego – i to nie tylko dlatego, że władze sowieckie z winy ambasadora Kota nie wiedziały, że rząd polski chce ewakuować Armię Polską do Iranu. Brytyjska dyplomacja również zupełnie nie zdała egzaminu w tej sprawie. Wspomniany ambasador Cripps 3 listopada 1941 roku przedstawił Andriejowi Wyszyńskiemu, zastępcy ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRS, ogólnikową prośbę o przetransferowanie wojsk polskich „na południe", nie zaś żądanie ich ewakuacji do Iranu.

Lepiej spisała się dyplomacja amerykańska. W piśmie, jakie 7 listopada 1941 roku skierował do Stalina Averell Harriman, pełnomocnik prezydenta Franklina Delano Roosevelta do spraw „Lend-Lease Act", mowa była jednoznacznie o tym, że wojska polskie powinny zostać wysłane do Iranu, gdzie Brytyjczycy i Amerykanie podejmują się szybko je



Fot. NAC

Generał Władysław Sikorski wizytuje żołnierzy Armii Polskiej stacjonujących w Tockoje, 1941 rok; za gen. Sikorskim stoi Stanisław Kot



Fot. NAC/ Cz. Dąbka

Kujbyszew, 30 listopada 1941 roku, wizyta Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego w Armii Polskiej w ZSRS; od prawej: ambasador Stanisław Kot, gen. Zygmunt Bohusz-Szyszko, gen. Władysław Sikorski, gen. Władysław Anders

uzbroić, „aby w perspektywie ich powrotu na front sowiecki jak najszybciej mogły się stać częścią sił walczących", Harriman nie wspomniał jednak, że działa z inicjatywy rządu polskiego. Miało to fatalne konsekwencje. Stalin uznał bowiem, że Anglosasi za plecami rządu Sikorskiego próbują wtrącać się w stosunki polsko-sowieckie i wykorzystać Armię Polską w ZSRS do własnych celów.

W przekonaniu tym utwierdziła go jednoznacznie odbyta tydzień później rozmowa z Kotem. Po spotkaniu tym Stalin z wyraźnym chłodem odpowiedział Harrimanowi (27 listopada), że polski ambasador „nie poruszył kwestii wysłania wojsk polskich z ZSRS do innego kraju". Było to – jak pamiętamy – zgodne z prawdą. Jednocześnie sowiecki dyktator pokazał Amerykanom ich miejsce, pisząc, że Polska i Związek Sowiecki mają wszelkie dane, by same rozwiązać wszelkie interesujące oba państwa kwestie. Potraktowany w ten sposób, nic nierozumiejący Harriman zwrócił się o wyjaśnienia do polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale na jakiekolwiek dalsze działania było już za późno.

Spięcie na Kremlu

30 listopada 1941 roku premier Sikorski wylądował w Kujbyszewie, rozpoczynając oficjalną wizytę w ZSRS. Oczywiście nie wiedział, że wskutek nieudolności czy też samowoli Kota Stalin został źle poinformowany i uważa utraconą właśnie inicjatywę ewakuacji polskiej armii za anglosaski spisek, uknuty za plecami rządu polskiego.

W trzy dni potem polski przywódca spotkał się ze Stalinem na Kremlu. To była długa i burzliwa rozmowa, a jej punkt kulminacyjny stanowiła gwałtowna wymiana zdań na temat ewakuacji Armii Polskiej do Iranu. Sikorski, nieświadom sytuacji, przedstawił wyprowadzenie wojsk do Persji jako remedium na problemy zaopatrzeniowe wojsk polskich w Związku Sowieckim. Na nieszczęście nie omieszkał dodać, że wszystko jest uzgodnione z Churchillem. Ziarno padło na zupełnie nieprzygotowany grunt. Stalin z miejsca uznał, że Anglosasom udało się zrobić z Polaków narzędzie swych planów, innymi słowy – wciągnąć do domniemanego spisku, mającego na celu wyprowadzenie wojsk polskich z ZSRS i rzucenie do walki o brytyjskie interesy. Podrażniony i niezadowolony zaczął wywodzić, że gdy Polacy wyjdą do Iranu, nigdy już nie wrócą, że Anglia „ma dużo do roboty i potrzebuje polskich żołnierzy", że Polacy nie chcą się bić, a skoro tak, to niech idą, nikt ich tu nie będzie zatrzymywać.

Dodał przy tym, łącząc inicjatywę amerykańską z informacją od swego rozmówcy, że to Harriman i Churchill „ustalili", żeby armię polską ewakuować z ZSRS. Widząc, że Stalin traktuje projekt w kategoriach amerykańsko-brytyjsko-polskiej intrygi skierowanej przeciwko Związkowi Sowieckiemu, szef rządu polskiego wyjaśnił, że była to jego własna, a nie brytyjska inicjatywa. Był to przełomowy moment rozmowy, która w dalszym ciągu stopniowo przestała być bez mała kłótnią i przybrała bardziej konstruktywny charakter. A jednak wrażenie, że Stalin postrzegał zamiar ewakuacji armii w kategoriach intrygi, skłoniło Sikorskiego do zmiany planów. Zdecydował nie forsować swego pierwotnego zamiaru i pozostawić armię na terytorium sowieckim, obawiając się, że wywiezienie wojsk uniemożliwi dalszą współpracę z Rosjanami i będzie skutkować fatalnymi następstwami dla polskiej ludności na terytorium ZSRS, pogłębi także domniemaną niechęć Stalina do Anglosasów.

Sikorski do końca pozostał nieświadomy, że winien jego ciężkich przejść na Kremlu i całego zamieszania był ambasador Kot. I był jak najlepszej opinii o jego pracy. Po powrocie do Londynu, 22 grudnia 1941 roku, wysłał mu telegram, który był istnym peanem na cześć Stanisława Kota: „Poświęcenie i samozaparcie Pana Ambasadora i jego twarda a czujna obrona najżywotniejszych interesów naszego państwa będzie wzorem dla wszystkich innych, jak należy spełniać obowiązki wobec narodu i państwa" – pisał premier.

Pięć dni wcześniej, 17 grudnia 1941 roku, Sikorski powiadomił telegraficznie Churchilla, że postanowił pozostawić Armię Polską w Związku Sowieckim. Zapewne nie wątpił w trwałość decyzji, którą podjął na Kremlu. A jednak, jak pokazała przyszłość, w grudniu 1941 roku wyjście Armii Polskiej z ZSRS do Iranu zostało tylko odroczone. Najpierw w marcu, a potem w sierpniu 1942 roku wojska te ewakuowały się do Persji. I to bezpowrotnie.

dr Sławomir Kalbarczyk – historyk, naczelnik Wydziału Badań Naukowych BEP IPN, m.in. redaktor naukowy tomu *Zbrodnia katyńska: w kręgu prawdy i kłamstwa* (2010)

Cicha noc, heilige Nacht

Joanna Hytrek-Hryciuk

Po upadku Powstania Warszawskiego do niewoli trafiło blisko trzy tysiące kobiet. Część z nich spędziła święta Bożego Narodzenia 1944 roku za drutami obozów jenieckich na terenie Niemiec. Grupie dziewięćdziesięciu z nich przypadło świętować Wigilię w transporcie pomiędzy obozami. Kolędy i pastorałki śpiewały... razem z konwojującymi je żołnierzami.



Fot. Archiwum Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu

Kobiety – jeńcy wojenni w Stalagu VI C Oberlangen, krótko po wyzwoleniu obozu

W myśl warunków kapitulacyjnych żołnierze Powstania Warszawskiego mieli być traktowani jak jeńcy wojenni. Oznaczało to m.in., że po opuszczeniu Warszawy trafią do obozów podległych Naczelnemu Dowództwu Wehrmachtu, a nie do zarządzanych przez SS obozów koncentracyjnych.

Madame jeniec

Chociaż zagadką pozostawała kwestia respektowania przez Niemców praw uwięzionych żołnierzy, jeńcy mieli cień poczucia bezpieczeństwa. Było to szczególnie ważne dla dwóch nietypowych grup osób wziętych do niewoli: blisko tysiąca chłopców w wieku od dziesięciu do osiemnastu lat oraz niemal 3000 kobiet służących w szeregach Armii Krajowej. W tej drugiej grupie znajdowały się zarówno kobiety walczące na pierwszej linii frontu – oficerowie i szeregowcy – ale także pracownice sztabów, jednostek zaopatrzenia czy informacji prasowej. Po krótkim pobycie w obozach przejściowych w Ożarowie i Pruszkowie kobiety zostały wysłane do stalagów i oflagów na terenie Niemiec. Kwaterowano je w wydzielonych częściach obozów męskich, co wywoływało konsternację nie tylko wśród innych jeńców, ale przede wszystkim wśród załóg Wehrmachtu zarządzających obozami. W zachodniej Europie okupowanej przez Niemców wcześniej nie było jeńców wojennych – kobiet.

Pod koniec 1944 roku tułaczka kombatantek z Powstania Warszawskiego miała zakończyć się w specjalnie zorganizowanych dla nich miejscach odosobnienia: stalagu VI C Oberlangen w Dolnej Saksonii, Polskim Szpitalu Wojskowym w Zeithain w Saksonii oraz w oflagu IX C Molsdorf w Turyngii. Pomimo mroźnej zimy, alianckich bombardowań i katastroficznej dla Niemców wizji końca wojny pomiędzy obozami zaczęły krążyć bydlęce wagony wypełnione kobietami.

„Święta nie mogą przejść byle jak..."

23 grudnia 1944 roku w podróż miało się udać dziewięćdziesiąt kobiet – jeńców stalagu XI B/Z Bergen-Belsen. Stalag ten zorganizowano przy obozie koncentracyjnym, wśród lasów i bagien Dolnej Saksonii, na skraju poligonu wojskowego. Codziennością uczestniczek powstania stały się trzypiętrowe prycze, pluskwy, zmniejszające się z dnia na dzień racje żywnościowe oraz groza odgłosów płynących z sektorów obozu koncentracyjnego: najczęściej wystrzałów i ujadania psów.

Plotki o mającym nastąpić transporcie „w nieznane" krążyły od dawna. 19 grudnia wywieziono część stalagu. Na pytania: „Dokąd?" Niemcy odpowiadali kpiąco, że „na narty do Tyrolu". Pozostałe w obozie kombatantki uważały jednak, że ich wyjazd nie nastąpi przed Nowym Rokiem. Rozpoczęły więc przygotowania do świąt. „Święta nie mogą przejść byle jak – zanotowała jedna z kobiet – to był nasz punkt hono-



Ranne uczestniczki Powstania Warszawskiego w Stalagu VI C Oberlangen, prawdopodobnie 1945 rok; fot. Archiwum Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu

ru". Po generalnych porządkach w barakach nadszedł czas na obmyślanie i szykowanie drobnych prezentów: maskotek, miniaturowych zabawek, własnoręcznie wydzierganych chusteczek. Choinkę miały zastąpić pojedyncze gałązki jedliny. Nic nie mogło zastąpić chóru pilnie ćwiczącego kolędy i pastorałki. Udało się nawet uzyskać zgodę na spotkanie rodzin w obozowej kaplicy w męskiej części obozu, gdzie osadzono kombatantów kampanii wrześniowej.

23 grudnia kombatantki otrzymały jednak natychmiastowy rozkaz wyjazdu. Niepewność celu podróży, dołączenie do transportu chorych oraz perspektywa Wigilii bez bliskich koleżanek znacznie pogorszyły nastroje.

Przemycony opłatek

Transport zmieścił się w dwóch bydlęcych wagonach. Wydzieloną część zajmowali konwojenci – żołnierze Wehrmachtu. Tylko po ich stronie grzał metalowy piecyk. Kobiety w „powstańczych" ubraniach lub odzieży zorganizowanej w obozie tuliły się do siebie. Pomiędzy dorosłymi dwójka dzieci: pięcioletnia Władzia Darmosz oraz dwutygodniowy, urodzony już w stalagu XI B/Z Andrzejek. Wigilia 1944 roku przypadła na drugi dzień podróży.

Za wigilijny stół posłużył płaski tobołek przystrojony zerwaną na postoju jedliną. Opłatek, jeszcze przed wyjazdem, przemycili koledzy – „wrześniowcy". Odrętwiałe z zimna i zaduchu kobiety nie mogły wstać, kiedy składały sobie życzenia rychłego końca wojny, zwycięstwa i szybkiego spotkania z najbliższymi. Krążący z rąk do rąk opłatek dotarł wreszcie do przegrody, za którą stali Niemcy. Po chwili konsternacji opłatek znalazł się po „ich" stronie. Odłamując mikroskopijne kawałeczki, jeden z żołnierzy życzył kobietom szybkiego powrotu do domu. Inny zapewnił, że w cywilu był organistą i jakby dla potwierdzenia zaintonował „Cichą noc". Nastrój Wigilii wyraźnie udzielił się strażnikom – pozwolili Polkom śpiewać, co chcą; po kolędach i pastorałkach, którym starali się cichutko wtórować po niemiecku, przyszedł czas na pieśni powstańcze i partyzanckie.

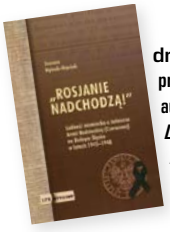
Pierwszy dzień Bożego Narodzenia kobiety przywitały odrętwiałe z zimna i głodu. Wydany na drogę prowiant – paczki Czerwonego Krzyża – nie wystarczył na długo. Wieczorem 25 grudnia pociąg dotarł wreszcie do Molsdorfu w Turyngii. Władze obozowe odmówiły jednak przyjęcia transportu z powodu późnej pory. Perspektywa kolejnej nocy w lodowatym wagonie nie sprzyjała świętowaniu. Nazajutrz czekała obozowa rzeczywistość i życzliwe przyjęcie przez koleżanki. O radosnym obchodzeniu drugiego dnia Bożego Narodzenia nie było jednak mowy: należało przejrzeć i wytrzepać przydziałowe koce – znaleziono w nich bowiem wszy.

Misterne kanapki z marmoladą

Nowy Rok 1945 w oflagu IX C w Turyngii witało blisko czterysta kobiet oficerów i czterdzieści ordynansek. Eleganckie fryzury i makijaże kontrastowały z obozowym ubraniem, co jednak nie odbierało humoru: w jednym z baraków panie zorganizowały nawet bal kostiumowy. Na udekorowanych kocami stołach pojawiły się maleńkie, misternie przygotowane kanapki z zaoszczędzonego na śniadaniu chleba, margaryny i marmolady. Tańce zastąpiły rozmowy o tych, które nie doczekały sylwestra, o tułaczce pomiędzy obozami i marzeniach na nowy rok. Nie zabrakło także życzeń od polskiej komendantki oflagu, mjr Wandy Gertz. O północy kombatantki wzniosły toast przydziałową ersatz-kawą. Zamiast wystrzałów korków od szampana – bicie łyżką o metalowy kubek. Specjalnie na tę okazję Elżbieta Ostrowska napisała wiersz: „Przez kolce drutów obozowych / do baraków / nadzieja się przeciska / By cię powitać Roku Nowy / o wyszczerbiony kubek / blaszana uderza łyżka…".

Pierwszy dzień 1945 roku kobiety rozpoczęły o zwykłej porze. Największym zmartwieniem był brak opału.

Wszystkie cytaty oraz wykorzystany w tekście wiersz pochodzą z książki Elżbiety Ostrowskiej *A wolność była wśród drutów. Oflag IX C Molsdorf*, Warszawa 1991



dr Joanna Hytrek-Hryciuk – pracownik OBEP IPN we Wrocławiu; autorka książki *„Rosjanie nadchodzą!" Ludność niemiecka a żołnierze Armii Radzieckiej (Czerwonej) na Dolnym Śląsku w latach 1945–1948* (2010)

Serce, co nagle zgasło.
Wspomnienie Staszka Sieradzana

Piotr Brzeziński, Daniel Wicenty



Fot. AIPN

Wysoki, przystojny harcerz, zapalony sportowiec – jeździł na nartach, w spływach kajakowych przepłynął ponad tysiąc kilometrów; sternik jachtowy, pasjonat fotografii. W 1971 roku miał zdawać maturę. Staszek Sieradzan to jedna z najmłodszych ofiar grudniowej masakry na Wybrzeżu.

W pamiętny Czarny Czwartek 17 grudnia 1970 roku Staszek wyszedł rankiem do szkoły. Wraz z rodzicami i starszym bratem Zygmuntem mieszkał w Gdyni przy ul. Dzierżyńskiego (obecnie Legionów). Jego szkoła – Technikum Chłodnicze – mieściła się na gdyńskim Grabówku. Z zachowanej dokumentacji wynika, że chłopiec został postrzelony w okolicy Stoczni im. Komuny Paryskiej. Kula przeszyła klatkę piersiową, strzaskała ósme żebro i zmasakrowała wnętrzności. Konającego Staszka przewieziono do szpitala. Zmarł na stole operacyjnym.

Jak zginął Staszek?

Odtworzenie ostatnich godzin i minut życia Staszka jest dziś niezwykle trudne. Oficjalne dokumenty są dość skąpe w informacje i pozostawiają dużo niejasności. Podstawowa wątpliwość dotyczy miejsca śmierci. Jeśli Staszek został postrzelony w okolicy stoczni, to czym tam dojechał? Niedaleko bram stoczniowych położony jest przystanek Gdynia-Stocznia Szybkiej Kolei Miejskiej. Kolejka była pewniejsza, bo rzadziej się spóźniała. Tyle że – jak twierdzi Edmund Gruchała, harcmistrz i nauczyciel Staszka – chłopak nigdy nie jeździł do szkoły kolejką. Zresztą droga do technikum od przystanku trolejbusu jest krótsza. Poza tym od godziny 7.00 na terenie Gdyni całkowicie wstrzymano ruch pociągów, nie jeździły także trolejbusy. Zdezorientowani ludzie poruszali się pieszo. Niewykluczone, że Staszek znalazł się w grupie manifestantów bądź gapiów, która została ostrzelana przez żołnierzy i milicjantów około godziny 9.00, gdy po raz drugi otworzono tego dnia ogień do bezbronnych ludzi.

W oficjalną wersję wątpi Zygmunt Sieradzan, starszy brat Staszka: – Nie ma nawet informacji, że ktoś widział go w tamtym miejscu. Mógł tamtędy przejeżdżać, ale na pewno nie był tam o godzinie 6.00 rano – czy też pomiędzy



Staszek z rodzicami

Fot. z archiwum rodziny Sieradzanów

godziną 6.00 a 7.00, kiedy się rozpoczęła ta strzelanina na wiadukcie w Gdyni-Stoczni. Jakby szedł do szkoły, to na godzinę 8.00 – tłumaczy Zygmunt Sieradzan. Swoją hipotezę przedstawia również Edmund Gruchała: – Mama Staszka pokazała nam jego ubranie. Moją uwagę zwróciło to, że nie było na nim żadnych śladów krwi. Mama, która go przebierała, wskazała na zdartą kostkę. Widać było otwartą kość. Miał również pęknięte dwa żebra. To jest tylko moje przypuszczenie, ale możliwe, że postrzelono go już po śmierci, aby zatuszować fakt, że przeszedł przez »ścieżkę zdrowia« w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej – mówi Gruchała. W jednym z wywiadów rodzice Staszka potwierdzili fakt, że był on tego dnia widziany w okolicy Prezydium.

Walka o godny pogrzeb

Sieradzanowie szybko podjęli poszukiwania zaginionego syna. – Następnego dnia [w piątek 18 grudnia] do szkoły przyszła matka Staszka – wspomina Edmund Gruchała. – Pytała, czy aby nie został na noc w internacie. Robił tak czasem, lecz nie tym razem. Dopiero wtedy zaczęła podejrzewać, że zginął – tłumaczy nauczyciel. Wiktoria i Marceli Sieradzanowie oficjalnie dowiedzieli się o śmierci syna dopiero w sobotę 19 grudnia wieczorem. Tę straszną wiadomość przynieśli im nieznani urzędnicy. – Rodzice byli załamani – opowiada Zygmunt Sieradzan.

– Ojciec nawet zemdlał. Byliśmy pod presją, gdyż ci panowie czekali. Nalegali, żebyśmy jechali. Powiedzieli, że jeśli nie pojedziemy, to oni sami go pochowają. Bez udziału rodziny – wspomina. Pojechali, do końca łudząc się, że to jakaś makabryczna pomyłka. Zawieziono ich na cmentarz Witomiński, największą nekropolię Gdyni. W kaplicy ustawiony był już cały szereg trumien. – Od razu podszedłem do największej trumny – relacjonuje Zygmunt Sieradzan – wiedziałem przecież, że brat mierzył metr osiemdziesiąt. No i rzeczywiście okazało się, że jak otworzyli trumnę, to od razu go poznaliśmy.

W przeciwieństwie do innych zszokowanych i zastraszonych rodzin Sieradzanowie nie zgodzili się na karykaturalną formę pogrzebu, przy udziale kapelana wojskowego z Urzędu ds. Wyznań. Byli praktykującymi katolikami i domagali się mszy świętej. Marceli Sieradzan argumentował, że nawet podczas II wojny światowej godniej obchodzono się ze zwłokami. Zagroził, że w wypadku nocnego pogrzebu sam odkopie ciało syna i dostarczy je do kościoła. Wobec nieugiętej postawy rodziny władze ustąpiły. – Zaczęła się straszna bieganina. Telefony… Wresz-



Rodzice Staszka przy grobie syna

Fot. z archiwum rodziny Sieradzanów

Za serce co nagle tak zgasło
Bez skargi bez słów
We dniu Bożego Narodzenia
I Ojcze Nasz zmow

cie zapewniono nas, że pogrzeb nie odbędzie się teraz, a szczegóły ustali się następnego dnia – wspomina Zygmunt Sieradzan. Ciała Staszka nie oddano jednak rodzinie. Przewieziono je do prosektorium w Gdańsku.

Tymczasem do gdyńskiego klasztoru oo. Franciszkanów udało się dwóch urzędników. O śmierci Staszka poinformowali o. Stanisława Antoniego Frejlicha, proboszcza parafii św. Antoniego, do której należeli Sieradzanowie. Ojciec Frejlich w klasztornej kronice zapisał: „Rodzice i jego brat nie zgodzili się na pogrzeb w sobotę wieczorem na Witominie [...] Chcą się ze mną skontaktować, chcą pogrzebu w naszym kościele, i [to] w dzień. Czy pójdę z nimi porozmawiać? Oczywiście". Tej strasznej nocy o. Frejlich dwukrotnie odwiedził Sieradzanów. Atmosferę towarzyszącą wizycie opisał słowami: „W domu rozpacz, krzyki nieludzkie, rwanie włosów". Rozmawiali kilka godzin. W końcu udało mu się ich uspokoić.

Ceremonia w godzinie milicyjnej

Dramatowi rodziców towarzyszyła kłopotliwa sytuacja o. Frejlicha. Jak każdy duchowny w PRL, był on systematycznie kontrolowany przez Służbę Bezpieczeństwa. W 1966 roku bezpieka wykorzystała zarzuty rzekomego „wyłudzenia mienia społecznego", żeby poprosić zakonnika na rozmowę. Spotkanie odbyło się i choć sprawa owego wyłudzenia wyjaśniła się i umarła śmiercią naturalną, to odręczny dopisek na esbeckiej notatce informował: „W zależności od potrzeb i sytuacji organizacyjnej przeprowadzić dalsze rozmowy z ks. Frejlichem". SB cierpliwie drążyła skałę. Jesienią 1970 roku, niedługo przed fatalnym Czarnym Czwartkiem, duchowny – zgodnie z prośbą bezpieki – usunął napis z umieszczonej w kruchcie kościoła św. Antoniego pamiątkowej płyty poświęconej rozstrzelanemu w 1952 roku komandorowi Zbigniewowi Przybyszewskiemu, obrońcy Helu z 1939 roku. Sformułowanie „stracony niewinnie" (chodziło o fałszywy zarzut szpiegostwa w sprawie tzw. spisku komandorów) zostało zastąpione ogólnikowym „cześć jego pamięci". Dodatkowo w pochodzącej z września 1970 roku notatce ppłk. Stanisława Stawowskiego, ówczesnego szefa Służby Bezpieczeństwa w Gdyni, czytamy, że o. Frejlich poprosił SB o pomoc w uzyskaniu zgody Urzędu ds. Wyznań na jego nominację na stanowisko administratora parafii św. Antoniego (urząd od marca 1969 roku był przeciwny tej nominacji). W listopadzie 1970 roku duchowny został ostatecznie proboszczem.

Czy o. Frejlich, prosząc Służbę Bezpieczeństwa o wsparcie, przekroczył swój Rubikon? Najwyraźniej tak uznała gdyńska SB. Posada proboszcza mogła być więc formą nagrody oraz zachęty do dalszych kontaktów. Stawowski wspomnianą notatkę kończył następująco: „Wystąpić z wnioskiem o zezwolenie pozyskania ks. F[rejlicha] na t[ajnego] w[spółpracownika]". Dotąd duchowny był dla bezpieki potencjalnym informatorem, w grudniu 1970 roku został zaś już określony jako „kontakt operacyjny »S«". Towarzyszyła temu adnotacja, aby ze względu na osobowość księdza nie pobierać pisemnego zobowiązania do współpracy. Szczegóły historii kontaktów ojca Frejlicha z bezpieką pozostają niestety w dużej mierze nieznane (teczka osobowa i teczka pracy nie zachowały się). Wiadomo tylko, że w 1972 roku SB zarejestrowała duchownego jako tajnego współpracownika o pseudonimie „Stanisławski". Ojciec Frejlich nie żyje od 1983 roku.

Zabici w Czarny Czwartek 17 grudnia 1970 roku w Gdyni

Brunon Drywa, 34 lata
Apolinary Formela, 20 lat
Zygmunt Gliniecki, 15 lat
Zbigniew Godlewski, 18 lat
Jan Kałużny, 22 lata
Jerzy Kuchcik, 20 lat
Stanisław Lewandowski, 26 lat
Zbigniew Nastały, 17 lat
Józef Pawłowski, 24 lata
Ludwik Piernicki, 20 lat
Jan Polechoński, 30 lat
Zygmunt Polito, 24 lata
Stanisław Sieradzan, 18 lat
Jerzy Skonieczka, 15 lat
Marian Wójcik, 33 lata
Zbigniew Wycichowski, 20 lat
Waldemar Zajczonko, 20 lat
Janusz Żebrowski, 17 lat



Fot. z archiwum rodziny Sieradzanów

Staszek na nartach

Wiemy za to, co działo się bezpośrednio po rozmowie Sieradzanów z o. Frejlichem. Podporucznik Andrzej Zieliński poinformował w notatce z 21 grudnia 1970 roku, że „kontakt operacyjny »S« po spotkaniu z rodzicami zabitego Stanisława zatelefonował do niego [tj. Zielińskiego – przyp. red.]". Miał być „bardzo przerażony". Mówił, że „uzgodnił datę i sposób przeprowadzenia pogrzebu: odprawienie mszy żałobnej w obecności rodziny i najbliższych, przewiezienie zwłok na cmentarz Witomiński, przewiezienie autokarem rodziny i najbliższych. K[ontakt] o[peracyjny] »S« prosił mnie, by wierzyć mu i zlecić załatwienie tej sprawy do końca. Zapewnił, że on gwarantuje spokój i porządek i nie dopuści do żadnej demonstracji lub w inny sposób zakłócenia porządku".



Fot. AIPN

Gdynia, 17 grudnia 1970 roku; demonstranci niosą na drzwiach zastrzelonego Zbigniewa Godlewskiego (znanego z piosenki jako Janek Wiśniewski), rówieśnika Staszka Sieradzana

Funkcjonariusz SB „wspaniałomyślnie" przystał na to; z punktu widzenia roli o. Frejlicha sytuacja nabrała dość paradoksalnego charakteru „służenia dwóm panom". Z jednej strony duchowny ustalił szczegóły pogrzebu z esbekiem, by następnie przekonać do nich rodziców zabitego Staszka (po wahaniach rodzice zgodzili się na pogrzeb w czasie godziny milicyjnej). Z drugiej strony ceremonia, która odbyła się w poniedziałek 21 grudnia, nie miała precedensu. W porównaniu z innymi grudniowymi pogrzebami pochówek był wręcz uroczysty. Do kościoła przybyła rodzina, znajomi, nauczyciele, wychowawca Staszka, a także koledzy ze szkoły. Kilku z nich służyło do mszy. Na czas nabożeństwa prowadzonego przez o. Frejlicha trumnę odkryto. Kilkanaście osób, które dostały zgodę władz, wzięło udział w pogrzebie. Koledzy ze szkoły zamówili wieniec złożony z osiemnastu białych i czerwonych goździków (Staszek w maju miał osiemnaste urodziny). Kwiaciarki, dowiedziawszy się, że wieniec jest dla zamordowanego chłopca, odmówiły przyjęcia zapłaty.

Nieudana walka z pamięcią

SB razem z partią walczyła z pamięcią o Grudniu '70 przez całe lata siedemdziesiąte, przy czym esbecka akcja „Jesień '70" była z logistycznego punktu widzenia przedsięwzięciem o niespotykanej skali i rozmachu. Zastraszano i inwigilowano rodzinę Staszka. Próbowano wpłynąć na treść epitafium na nagrobku. Z gdyńskich miejsc pamięci usuwano pojedyncze znicze i kwiaty. „Nieznani sprawcy" nocą niszczyli nagrobki ofiar Grudnia. Pamięć o gdyńskiej masakrze przetrwała jednak. Rodzicom Staszka pomogła wiara i prosty patriotyzm dobry na złe czasy (mama Staszka walczyła w Powstaniu Warszawskim, straciła rękę; tata w II wojnie światowej walczył w oddziałach gen. Maczka).

– Klasa Staszka na znak protestu nie zorganizowała w 1971 roku studniówki. Mimo że nie ukończył szkoły, jego zdjęcie – w czarnej ramce – umieszczono też na *tableau* – wspomina Edmund Gruchała. Od 1980 roku w każdą rocznicę Czarnego Czwartku w szkole urządzany jest apel, co pięć lat zamawiana jest msza w intencji Staszka. Na grobie w każdą rocznicę pojawiają się kwiaty i świeczki.

Na budynku dawnej szkoły Staszka (obecnie działa jako Zespół Szkół Chłodniczych i Elektronicznych) wisi pamiątkowa tablica, zawieszona w 35. rocznicę Grudnia, a na korytarzu – zdjęcia Staszka. W szkolnej bibliotece znaleźć można wiele publikacji na temat Grudnia '70. – Absolwent „Chłodniczaka" nie może skończyć tej szkoły nie wiedząc, kim był Staszek Sieradzan – przekonuje Marian Deręgowski, obecny dyrektor. Jak dodaje Mirosława Kądziela, polonistka i bibliotekarka, szkoła jest miejscem spotkań ludzi, którzy przeżyli Grudzień '70. Na kładce kolejowej obok przystanku SKM Gdynia-Stocznia od 2011 roku wisi zaś stała wystawa „Gdyńskie drogi do wolności", dokumentująca Czarny Czwartek oraz gdyński Sierpień '80.



Fot. ze zbiorów autorów

Tablica na szkole Staszka poświęcona jego pamięci

Piotr Brzeziński – historyk, pracownik OBEP IPN w Gdańsku, współautor książki *Zbrodnia bez kary. Grudzień 1970 w Gdyni* (2010)



dr Daniel Wicenty – socjolog, pracownik OBEP IPN w Gdańsku, członek Rady Redakcyjnej „Pamięci.pl"; ostatnio wydał *Załamanie na froncie ideologicznym. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich od Sierpnia '80 do stanu wojennego* (2012)



Fot. Kompania Węglowa S.A./Wojciech Wikarek

Dworzec osobowy w kopalni „Piast”

Wolna Polska zepchnięta pod ziemię

Andrzej Sznajder

W grudniu 1981 roku wydawało się, że kopalnia „Piast” w Bieruniu będzie ostatnią, w której wybuchnie strajk. A jednak... Zorganizowany spontanicznie pod ziemią protest trwał dwa tygodnie. Był najdłuższym strajkiem przeciwko stanowi wojennemu.

Kilkanaście miesięcy „karnawału Solidarności” w „Piaście” nie należało do spokojnych, ale wszystkie sytuacje konfliktowe udawało się w tym czasie skutecznie rozładowywać. Na mocy porozumień z sierpnia i września 1980 roku także tu zaczęły powstawać struktury NSZZ „Solidarność”. Po trzech miesiącach do nowego związku należała już większość załogi – 3950 osób z 7 tys.

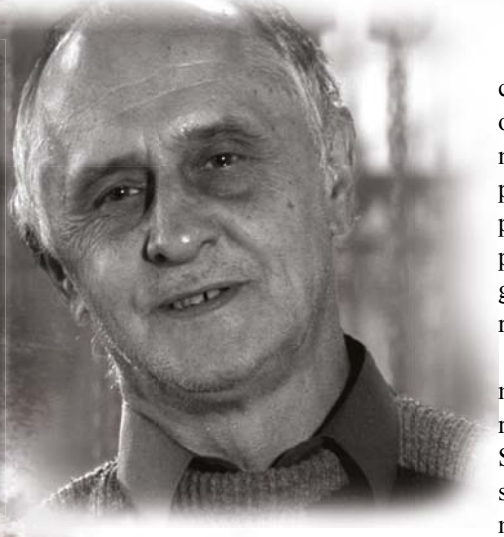
Pokojowe współistnienie

W 1981 roku zakładowa Solidarność pięciokrotnie organizowała załogę do akcji protestacyjnych. Za każdym razem były to akcje o charakterze regionalnym lub ogólnopolskim. Konflikty w samej kopalni rozwiązywano wtedy na drodze dialogu, co później przyznawali zarówno dyrektor kopalni Czesław Gelner, jak i I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR Adam Grylewicz. Ten ostatni tak scharakteryzował swoje relacje z przewodniczącym kopalnianej Solidarności Wiesławem Zawadzkim: „Jakkolwiek […] mieliśmy znaczne różnice w podejściu do wielu spraw, to jednak w wyniku jego postawy nasza kopalnia albo nie strajkowała, albo też strajk był znacznie skracany”. Potwierdzeniem tego może być fakt, że w marcu powołano w kopalni komitet założycielski samorządu pracowniczego. W jego składzie znaleźli się przedstawiciele zarówno dyrekcji

Nadzwyczajne wydanie „Trybuny Ludu” z 13 grudnia 1981 roku



Fot. Kompania Węglowa S.A./Wojciech Wikarek



Fot. Kompania Węglowa S.A./Wojciech Wikarek

Wiesław Zawadzki, przywódca strajku, oskarżony w procesie

kopalni, PZPR, Związku Zawodowego Górników, jak i NSZZ „Solidarność". Statut samorządu zatwierdzono na kilka tygodni przed wprowadzeniem stanu wojennego, w listopadzie 1981 roku.

W obronie kolegów

13 grudnia 1981 roku liderzy kopalnianej Solidarności, dowiedziawszy się o wprowadzeniu stanu wojennego, przyjechali do kopalni, by spotkać się z dyrektorem. Zamiast tego zostali zatrzymani i przesłuchani przez Służbę Bezpieczeństwa. Wiesław Zawadzki podpisał zobowiązanie, że będzie przestrzegał przepisów prawa stanu wojennego. Jego zastępca – Eugeniusz Szelągowski – odmówił i natychmiast został internowany. Jeszcze 14 grudnia przed południem niewiele jednak wskazywało na to, że w „Piaście" dojdzie do strajku. Zawadzki przyszedł normalnie do pracy i wraz z kolegami z Zarządu NSZZ „Solidarność" zdali majątek związkowy. Około trzynastej okazało się jednak, że trzysta osób kończących pierwszą zmianę nie chce wyjechać na powierzchnię z poziomu 650 metrów. Wtedy właśnie do oczekujących na wyjazd zwrócił się z apelem jeden z górników – Stanisław Trybuś. Mówił, że nie można tak po prostu zgodzić się na to, że aresztowano ich kolegów z Solidarności, którzy dotąd stawali w ich obronie. „Zostało to tak błyskawicznie podchwycone, że mnie zaskoczyło" – wspominał po latach Trybuś. Nie mniejsze znaczenie dla wybuchu górniczego gniewu miały informacje o zmilitaryzowaniu kopalni, co rozumiano jako wprowadzenie obowiązku pracy przez siedem dni w tygodniu i być może po dwanaście godzin. Interpretowano to po prostu jako zamach na prawa, które górnicy wywalczyli rok wcześniej w porozumieniach jastrzębskich.

Próby wygaszenia protestu podejmowali zarówno przedstawiciele dyrekcji, jak i nielegalnej już kopalnianej Solidarności. Dyrektor Gelner starał się uspokoić nastroje górników gromadzących się w cechowni, ale został wygwizdany. Delegacja załogi – składająca się z członków Solidarności: przewodniczącego Zawadzkiego, Zbigniewa Bogacza i Andrzeja Machalicy oraz przewodniczącego KZ PZPR Grylewicza – udała się do Komitetu Miejskiego PZPR w Tychach. Od komisarza wojskowego miasta otrzymali jedynie zapewnienie, że Szelągowski jest zdrowy i nic mu się nie stało, a kwestia jego uwolnienia zostanie rozpatrzona dopiero z chwilą, kiedy w kopalni zapanuje spokój. Odczytanie tych informacji górnikom w cechowni wzmogło tylko oburzenie załogi, która delegatów wyśmiała i obrzuciła wyzwiskami. Mimo to podjęli oni jeszcze jedną próbę: o dziewiątej wieczór na polecenie dyrektora zjechali na dół, by przekonać pozostającą tam część załogi do wyjazdu. Efekt był ten sam. Kilka godzin później ostatnią próbę podjął Jeremiasz Sitek – nadsztygar i członek KC PZPR. Zjechał na dół i przekonywał, że protest nie ma sensu, że trzeba się podporządkować stanowi wojennemu. W odpowiedzi usłyszał, że stan wojenny jest na górze, a tu jest inne państwo. W tej sytuacji Zawadzki, Bogacz i Machalica oraz towarzyszący im w tej misji Adam Urbańczyk i Andrzej Oczko postanowili pozostać na dole.

Zdyscyplinowany protest

Strajk, który ostatecznie wcześnie rano 15 grudnia stał się faktem, nie oznaczał jednak bezczynności – zarówno dla dyrekcji, jak i dla załogi. Władze szukały sposobu na jego wygaszenie. Górnicy – ci strajkujący na dole, jak i pozostający na powierzchni – oraz ich bliscy organizowali się, by bezpiecznie przetrwać jak najdłużej. To, że na dole pozostawało około 2 tys. ludzi, było budujące, ale też wymagało rozwagi i determinacji.

Jako zasadę przyjęto od razu, że udział w strajku jest dobrowolny. Oznaczało to, że każdy, kto chciał, mógł wyjechać na



Fot. Kompania Węglowa S.A./Wojciech Wikarek

W 10. rocznicę protestu jego uczestnicy zainscenizowali strajkową Wigilię



Fot. Kompania Węglowa S.A./ Wojciech Wikarek

Wyryta na taśmie przenośnika węglowego data strajku była widoczna jeszcze do niedawna

powierzchnię. Strajkujący górnicy przebywali na dole w różnych miejscach – w pobliżu szybu, na tzw. dworcu zbornym, w pompowni, na przodkach lub w bocznych, zamkniętych już chodnikach. Ważne, żeby było sucho i w miarę ciepło. Odległość między poszczególnymi grupami można było mierzyć w kilometrach. Powstał więc problem wzajemnej komunikacji. Rozwiązaniem były funkcjonujące na dole urządzenia głośnomówiące, które elektrycy połączyli szeregowo. Dzięki temu, kiedy ktoś mówił do jednego z nich, słyszany był w wielu miejscach naraz. Pozostały jednak do rozwiązania inne jeszcze kwestie: pilnowanie dyscypliny, rozdział żywności, przekaz informacji i podejmowanie decyzji. Wykorzystano tu istniejący na co dzień podział załogi na oddziały. Każdy oddział wybierał grupowego, który reprezentował swoją część załogi, przekazywał decyzje, dostarczał żywność i przydzielał zadania. Niezależnie od tego część strajkujących zajmowała się zabezpieczeniem kopalni. Trzeba było utrzymywać w ciągłym ruchu urządzenia odwadniające. Gdyby tego zaniechano, już po czterech godzinach wznowienie wydobycia byłoby niemożliwe. Konieczne było także odświeżanie ścian, czyli uruchamianie kombajnów, by zebrać odpowiedniej głębokości pas węgla i uniknąć tzw. zaciskania się przodka i zniszczenia maszyn. Normalnie takimi pracami na dole kierował dozór w liczbie ośmiu, dziesięciu górników na jedną zmianę. W warunkach strajku było ich zaledwie trzech, 24 godziny na dobę. Jeden z nich zeznał w czasie procesu sądowego: „Nie trzeba było wiele mówić, wiele pilnować. Wystarczyło, że powiedziałem, żeby każdy pilnował swoich rejonów, i ludzie sami ustalali sobie dyżury. […] Czuli się odpowiedzialni za robotę, za poziom wydobywczy, za kopalnię".

Wspólna modlitwa i kabaret

Strajkujący na dole górnicy nie przetrwaliby doby, gdyby nie pomoc z zewnątrz. Już 15 grudnia rano dotarła pierwsza żywność – śniadania tych, którzy przyszli do pracy na poranną zmianę, ale nie mogli już zjechać na dół. Tego samego dnia, który był dniem wypłaty, w ciągu półtorej godziny pracownicy „Piasta" zebrali około 1,5 mln zł datków na potrzeby strajkujących (dla porównania: średnia pensja w śląskim przemyśle wynosiła wówczas ok. 10 tys. zł). W akcji pomocy uczestniczyło nawet trzysta rodzin z pobliskiego osiedla. „Ludzie po blokach chodzili, zbierali pieniądze, pod sklepem stały zawsze dwie panie i facet, ale tutaj do kosza wrzucało się towar: ziemniaki, pieczywo, wędlinę. […] A całą tę żywność gotowano zbiorowo, w kopalnianej stołówce. Zresztą każda z nas pomagała, jak mogła" – wspominała żona jednego z górników. Po kilku dniach dyrektor kopalni zabronił korzystania ze stołówki, próbowano więc gotować w domach. Niezależnie od tego przez bramę kopalni znoszono paczki z żywnością i ubraniami. Stamtąd odbierali je pracownicy kopalni, przenosili na nadszybie, wkładali do klatek i spuszczali na dół.



Kopalnia „Piast" tuż po rozpoczęciu strajku

Fot. Kompania Węglowa S.A./Wojciech Wikarek

Nikt nie planował – ani nawet nie mógł przypuszczać – że protest potrwa czternaście dni. Nie byłoby to możliwe bez niezwykłej górniczej samodyscypliny. Niemal od początku strajku utrwalił się rytm dnia. Jego stałymi punktami były poranna toaleta i porządkowanie legowisk, stałe pory trzech posiłków dziennie i praca, która jednak nie wypełniała całego czasu. Dość szybko w tych specyficznych warunkach górnicy przełamali sztuczną nieśmiałość i regularnie każdego dnia wspólnie się modlili. Był też czas na rozrywkę – opowiadanie kawałów, a nawet swego rodzaju kabaret: „Najważniejsze zadania partii na 1981 rok: utrzymać strefę bezmięsną między Odrą a Bugiem; inteligencję zrównać z robotnikami, robotnika z chłopem, a chłopa z ziemią; do godła państwowego dodać kangura, ponieważ ceny skaczą, a my chodzimy z pustymi torbami" – takimi tekstami górnicy starali się wzajemnie rozweselać (cytat za książką Jacka Ciszewskiego *Uparci z Piasta*). Dzięki wspomnianym urządzeniom głośnomówiącym kabaretu mogła słuchać większość strajkujących. Szybko przekazywano sobie także informacje z powierzchni, które w listach lub gazetach dołączonych do paczek docierały do strajkujących.

Telefon od żony, blokada żywności

Tymczasem na powierzchni, w gabinetach władz, nie ustawały wysiłki, by zmusić górników do zakończenia strajku. Pod uwagę brano właściwie wszystkie możliwe rozwiązania: od perswazji, przez zastraszanie – np. użyciem gazu obezwładniającego – po różne formy rozwiązań siłowych. Do działań perswazyjnych próbowano wykorzystać duchownych katolickich. Dwukrotnie pozwolono im zjechać na dół w przekonaniu, że namówią górników do wyjazdu. Pozwalano także żonom strajkujących górników na telefoniczny kontakt z przebywającymi pod ziemią mężami. Część kobiet odpowiednio wcześniej

„inspirowano" – straszono, czym grozi kontynuowanie strajku, i namawiano, by wpłynęły na swoich mężów. Planowano nawet wysłanie żon bezpośrednio na dół. 23 grudnia wprowadzono całkowitą blokadę dostaw żywności. Nie od razu dało to skutek, ale w połączeniu z wcześniejszym uniemożliwieniem wymiany zużytych lamp stwarzało bardzo trudną sytuację. Przełomem była Wigilia Bożego Narodzenia – z pewnością najbardziej pamiętany dzień strajku. Nałożyły się na siebie wizyta pod ziemią bp. Janusza Zimniaka oraz informacje, że spacyfikowano Hutę „Katowice" i że zakończyli podziemny strajk górnicy bliźniaczej kopalni „Ziemowit". Ci, którzy wytrwali do tego dnia (według różnych źródeł było to ok. 1300 osób), byli zdecydowani spędzić święta pod ziemią, ale warunki bytowe stawały się skrajnie trudne.

Słowa: Jan Michał Zazula
Muzyka: Jan Krzysztof Kelus

Ostatnia szychta w KWK „Piast"

Wyjeżdżajcie już chłopcy od „Piasta".
Pora, chłopcy, opuścić tę dziurę.
Baby płaczą, napiekły Wam ciasta,
złota klatka uniesie Was w górę...
Wyjeżdżajcie, już szychta skończona!
Pielęgniarki i lekarze są w szatni.
Porozwożą Was suki po domach.
Mają wszystkich..., Wasz szyb jest ostatni.
Pan pułkownik sam wyciągnie rękę,
gdzieś w kantorku bulgocze już czajnik...
Żona z „Wujka" ma czarną sukienkę...
poza tym – jest wreszcie normalnie!
Śpijcie w domu spokojnie, do rana,
a zapłacą Wam, o cóż targować?
Jutro druga pojedzie w dół zmiana,
trza fedrować, fedrować. Fedrować!
Ze dwunastu nie wróci górników,
czterech zniknie, trzech stanie przed sądem,
trzech oplują wieczorem, w dzienniku,
dwaj są nie stąd... A reszta jest z rządem.
Władza w Wasze przebrana mundury
i bandyci, przebrani za władzę,
znów na placu Defilad, u góry,
na przysięgę żołnierzy prowadzą.
Tylko honor jest Wasz, solidarni,
Bryła węgla za polskie sumienie?
Na Was czas, wyjeżdżajcie z kopalni,
wolna Polsko, zepchnięta pod ziemię!
Ład i spokój, i praca na górze,
pojedyncze są jeszcze przypadki...
Wolny kraj!!! Co Was trzyma w tej dziurze?
Zbierać się, wsiadać do klatki!

Decyzję o zakończeniu strajku górnicy zaczęli rozważać 26 grudnia. Uzależniono ją początkowo od spełnienia przez władze następujących warunków: zapewnienia bezpieczeństwa i opieki lekarskiej wszystkim strajkującym oraz zagwarantowania dalszej pracy. Negocjacje z władzami zakończyły się 28 grudnia o 13.45 ogólnym zapewnieniem, że „nikomu nic nie będzie". W tym czasie na dole wciąż pozostawało ponad tysiąc osób. Podjęcie decyzji nie przyszło łatwo. Mimo niemożliwie trudnych warunków kilkuset górników twardo obstawało przy kontynuowaniu strajku, nawet gdyby większość postanowiła wyjechać. Bogacz, Zawadzki i Machalica przekonywali, że przedłużenie protestu nie ma sensu, że jako załoga i tak zrobili więcej niż ktokolwiek w Polsce. Ostatecznie około osiemnastej zdecydowano o wyjeździe na powierzchnię.

Zemsta władz

Do rozprawy ze strajkującymi władze przystąpiły natychmiast. Najpierw zaczęło się polowanie na przywódców strajku. Jednego z nich, Wiesława Dudzińskiego, zatrzymano już o dwudziestej w autobusie, którym wracał do domu. Godzinę później w areszcie byli już Bogacz i Zawadzki oraz pięciu innych górników. Jako ostatni, 6 stycznia, aresztowany został Adam Urbańczyk. Bezskuteczne okazały się gorączkowe poszukiwania Stanisława Trybusia. W sumie zatrzymano osiemnaście osób, spośród których jedenaście internowano, a siedem postawiono w stan oskarżenia. Zarzucono im zorganizowanie strajku oraz kierowanie nim, zablokowanie szybów i rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji.

W czasie kolejnych rozpraw uczestnicy strajku w większości zmieniali swoje zeznania ze śledztwa i wiarygodność materiału zebranego przez prokuratorów okazała się bardzo wątła. Świadkowie zaprzeczyli, jakoby oskarżeni organizowali strajk i tworzyli komitet strajkowy. Zgodnie stwierdzali, że udział w strajku był dobrowolny i każdy miał swobodę wyjazdu na powierzchnię. Ratując się przed kompromitacją, prokuratorzy złożyli wniosek o zwrot sprawy do prokuratury w celu uzupełnienia dowodów. Sprawa wróciła na wokandę 19 kwietnia. Kolejne rozprawy trwały do 12 maja. Po raz kolejny okazało się, że dowody obciążające oskarżonych są co najmniej wątpliwe. Mimo to prokurator zażądał kar od dziesięciu do piętnastu lat pozbawienia wolności. Ale wyrok ogłoszony 12 maja wbił w osłupienie wszystkich obecnych na sali rozpraw: „W pewnym momencie sąd orzeka: z tego i tego artykułu umarza sprawę, z tego i tego uniewinnia nas. I ja już g… wiem, co się dalej działo, bo byłem już gdzieś z ptaszkami" – wspominał potem Zbigniew Bogacz. Publiczność obecna na sali skwitowała werdykt powstaniem z miejsc i odśpiewaniem hymnu. Zgodnie z postanowieniem sądu oskarżeni jeszcze tego samego dnia zostali zwolnieni z aresztu. *Happy endu* jednak nie było: w ciągu następnej doby cała siódemka została ponownie zatrzymana przez SB i internowana na kolejne miesiące.

„Zapłatę" za strajk otrzymali także szeregowi uczestnicy protestu w „Piaście". Dyscyplinarnie zwolniono około tysiąca górników. Większość z nich przyjęto potem ponownie, ale na gorszych warunkach płacowych, pozbawiając „trzynastek" i „czternastek" oraz wielu innych branżowych przywilejów.

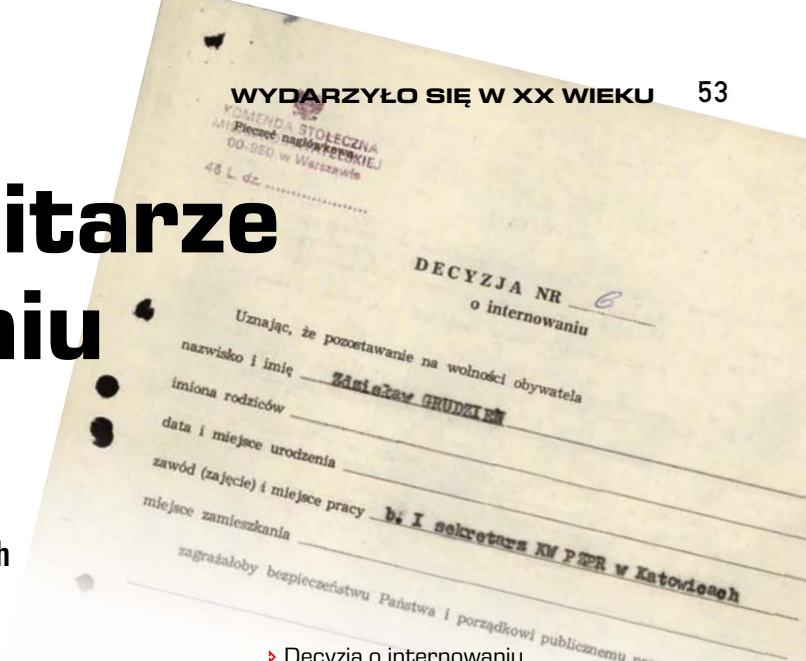
W tle opisywanych tu wydarzeń rozgrywał się dramat katowickiej kopalni „Wujek" i innych miejsc, w których opór przeciwko stanowi wojennemu postanowiono złamać siłą. Abstrahując od oczywistego faktu, że stan wojenny był bezprawiem, historia strajku w „Piaście" pokazuje, że rozlewu krwi można było uniknąć. Nieżyjący już Wiesław Zawadzki za największy „sukces" tego strajku uznał, że w kopalni nie trzeba było stawiać krzyża, który upamiętniałby ofiary śmiertelne.

Andrzej Sznajder – kierownik Referatu Edukacji Historycznej OBEP IPN w Katowicach

Partyjni dygnitarze w odosobnieniu

Maciej Maciejowski

W stanie wojennym internowano prawie 10 tys. działaczy opozycji. Oprócz nich do miejsc odosobnienia trafiło także kilkudziesięciu partyjnych dygnitarzy z ekipy Edwarda Gierka. Jeden z nich – Zdzisław Grudzień – zmarł.



KOMENDA STOŁECZNA MILICJI OBYWATELSKIEJ 00-950 w Warszawie
Pieczęć nagłówkowa
48 L dz. .....

DECYZJA NR 6
o internowaniu

Uznając, że pozostawanie na wolności obywatela
nazwisko i imię Zdzisław GRUDZIEŃ
imiona rodziców
data i miejsce urodzenia
zawód (zajęcie) i miejsce pracy b. I sekretarz KW PZPR w Katowicach
miejsce zamieszkania
zagrażałoby bezpieczeństwu Państwa i porządkowi publicznemu przez to, że

Decyzja o internowaniu Zdzisława Grudnia z 13 grudnia 1981 roku

Dlaczego w grudniu 1981 roku gen. Wojciech Jaruzelski zdecydował się internować byłego I sekretarza KC PZPR i jego najbliższych współpracowników? Profesor Andrzej Paczkowski uważa, że był to chwyt propagandowy. Zamiarem nowych władz – twierdzi – było przekazanie społeczeństwu sygnału, że rządy Jaruzelskiego będą bardziej sprawiedliwe aniżeli Gierka i że nawet ludzie wysoko usytuowani w partyjnej hierarchii nie są bezkarni. Przekaz miał być czytelny: winny kryzysu politycznego i gospodarczego nie był system, lecz konkretni ludzie. Niewykluczone też, że internowanie owych partyjnych prominentów było przejawem porachunków wewnątrz PZPR. Inna sprawa, że część zarzutów o nadużycia władzy, przyjmowanie korzyści majątkowych oraz wyłudzanie mienia znalazła uzasadnienie w postępowaniach prowadzonych przez Najwyższą Izbę Kontroli oraz Okręgowych Zarządach Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej. Mogły one posłużyć jako dowody w przygotowywanym procesie politycznym.

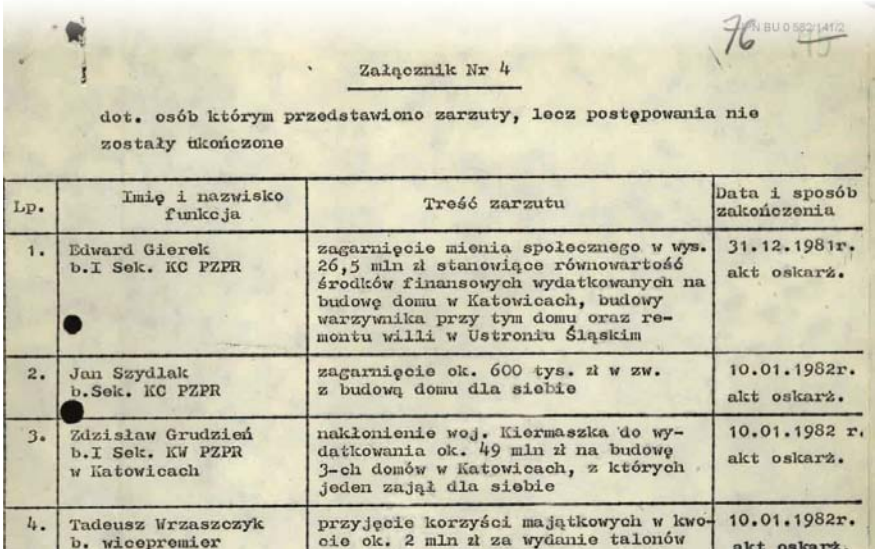
Po wprowadzeniu stanu wojennego najbliższych współpracowników Gierka przetrzymywano w Promniku pod Warszawą, innych – w Juracie. 17 grudnia zaczęto ich przewozić autokarami z lotniska w Mirosławcu do ośrodka w Głębokiem na poligonie drawskim, zaledwie pięć kilometrów od Jaworza, gdzie internowano intelektualistów związanych z Solidarnością.

Wojskowego obiektu w Głębokiem pilnowało piętnastu uzbrojonych milicjantów i zomowców, a także oficerowie Biura Ochrony Rządu. Pomiędzy nimi a milicyjną obsługą obiektu dochodziło w pierwszych dniach internowania do pewnych animozji. BOR-owcy zmuszeni byli tonować nieprzychylne nastroje wśród niektórych osób z personelu, które głośno komentowały: „nareszcie zgarnęli złodziei", „za długo się ckackali ze złodziejami", „nie warto dawać im jeść ani martwić się, że marzną". Należy przypuszczać, że przenikanie się oficerów różnych służb i formacji nie było dziełem przypadku. W tej szczególnej sytuacji chodziło przede wszystkim o zwiększenie wzajemnej kontroli.

Wybite szyby, za mało toalet

W relacjach internowanych byłych dygnitarzy PZPR przebija uczucie głębokiej goryczy, wynikające z upokorzenia, jakiego doznali ze strony dawnych współtowarzyszy. Nie potrafili też pogodzić się z utratą prestiżu i korzyści materialnych, do których przyzwyczaili się w czasach sprawowania władzy.

Umieszczonym w odosobnieniu w skromnych warunkach, z niejasną perspektywą dalszej przyszłości, wmawiano cynicznie, że internowanie jest dla nich dobrodziejstwem, bo chroni ich przed gniewem ludu. W ten sposób dawni dostojnicy partyjni na własnej skórze doświadczali komunistycznej „sprawiedliwości". Było to dla nich tym trudniejsze, że na kozłów ofiarnych winnych kryzysu gospodarczego i politycznego kreowali ich ludzie, z którymi przez wiele lat współtworzyli peerelowską rzeczywistość. W niektórych wspomnieniach, np. Edwarda Gierka czy Wiesława Kiczana, pobrzmiewa ton martyrologiczny. Uznawali się niemal za męczenników ➤

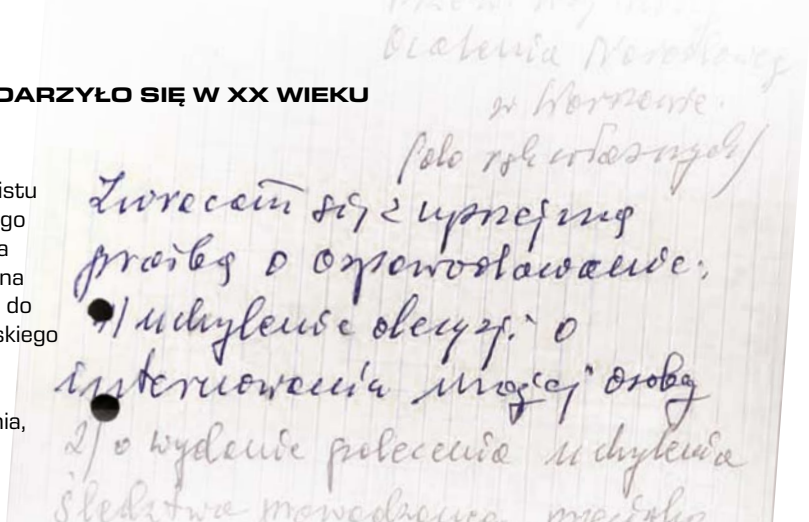


Załącznik Nr 4

dot. osób którym przedstawiono zarzuty, lecz postępowania nie zostały ukończone

Lp.	Imię i nazwisko funkcja	Treść zarzutu	Data i sposób zakończenia
1.	Edward Gierek b.I Sek. KC PZPR	zagarnięcie mienia społecznego w wys. 26,5 mln zł stanowiące równowartość środków finansowych wydatkowanych na budowę domu w Katowicach, budowy warzywnika przy tym domu oraz remontu willi w Ustroniu Śląskim	31.12.1981r. akt oskarż.
2.	Jan Szydlak b.Sek. KC PZPR	zagarnięcie ok. 600 tys. zł w zw. z budową domu dla siebie	10.01.1982r. akt oskarż.
3.	Zdzisław Grudzień b.I Sek. KW PZPR w Katowicach	nakłonienie woj. Kiermaszka do wydatkowania ok. 49 mln zł na budowę 3-ch domów w Katowicach, z których jeden zajął dla siebie	10.01.1982 r. akt oskarż.
4.	Tadeusz Wrzaszczyk b. wicepremier	przyjęcie korzyści majątkowych w kwocie ok. 2 mln zł za wydanie talonów	10.01.1982r. akt oskarż.

Załącznik do komunikatu prokuratury generalnej o wynikach śledztw wobec internowanych dygnitarzy partyjnych, 29 grudnia 1981 roku



Fragment listu internowanego b. prezydenta Zamościa Jana Piskorskiego do gen. Jaruzelskiego z prośbą o zwolnienie z internowania, 3 stycznia 1982 roku

i szczególne ofiary kierowanej przez Jaruzelskiego Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (WRON). Podkreślali, że przetrzymywani byli w gorszych warunkach aniżeli członkowie Solidarności, którzy w dodatku – w przeciwieństwie do nich – mogli liczyć na sympatię społeczeństwa i wsparcie płynące z Zachodu.

Internowani komuniści najgorzej znosili pierwszy okres pobytu. Gierek w swoich wspomnieniach podkreśla, że budynek, w którym mieszkali, był niedogrzany, niektóre szyby były powybijane (a panowała wówczas sroga zima). Można było korzystać z jednej toalety. Osadzeni wiedzieli też, że są podsłuchiwani. Przysługiwał im jedynie piętnastominutowy spacer pod strażą. Byli wyraźnie przygnębieni, a na świadkach z zewnątrz nie sprawiali wrażenia zwartej grupy, wręcz przeciwnie – wyglądali raczej na skłóconych. Wielu z nich, domagając się zwolnienia, skarżyło się, także pisemnie, na zły stan zdrowia oraz podnosiło swoje zasługi wobec ustroju socjalistycznego. Niemal wszystkie relacje potwierdzają psychiczne załamanie byłego premiera Piotra Jaroszewicza, który według jednego z oficerów pełniących służbę w Głębokiem, ppor. Waldemara Kazimierczaka, wykazywał cechy człowieka obłąkanego. Ten sam oficer w notatce wspomina o stanie zdrowia Zdzisława Grudnia, jednego z najbliższych współpracowników Gierka: „Ob. Z. Grudzień miał podwyższone ciśnienie i żalił się, że jest ciężko przeziębiony, co jednak badania i prześwietlenia w szpitalu nie wykazały".

Wzgardził polskimi lekami

Zdzisław Grudzień zmarł 30 stycznia 1982 roku, mając niespełna 58 lat. Była to niewątpliwie najpoważniejsza sytuacja, do jakiej doszło w ośrodku w Głębokiem. Grudzień do września 1980 roku był I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach. We wrześniu 1981 roku został wykluczony z partii. Jego śmierć wywołała gorące dyskusje wśród prominentów przetrzymywanych w Głębokiem i stała się pretekstem do oskarżeń wysuwanych przez nich pod adresem WRON. Gierek i Kiczan wskazują, że pomimo usilnych ponagleń z ich strony, a także samego chorego Grudnia (przed 13 grudnia 1981 roku przeszedł dwa zawały serca), nie przewieziono go do szpitala. Janusz Rolicki, biograf Gierka, zadaje pytanie: „Dlaczego dla Zdzisława Grudnia, z którym gen. Jaruzelski przez dziesięć lat siedział co wtorek przy tym samym stole, składał życzenia imieninowe, odwiedzał go, pisał do niego, nie znalazło się miejsce w szpitalu?".

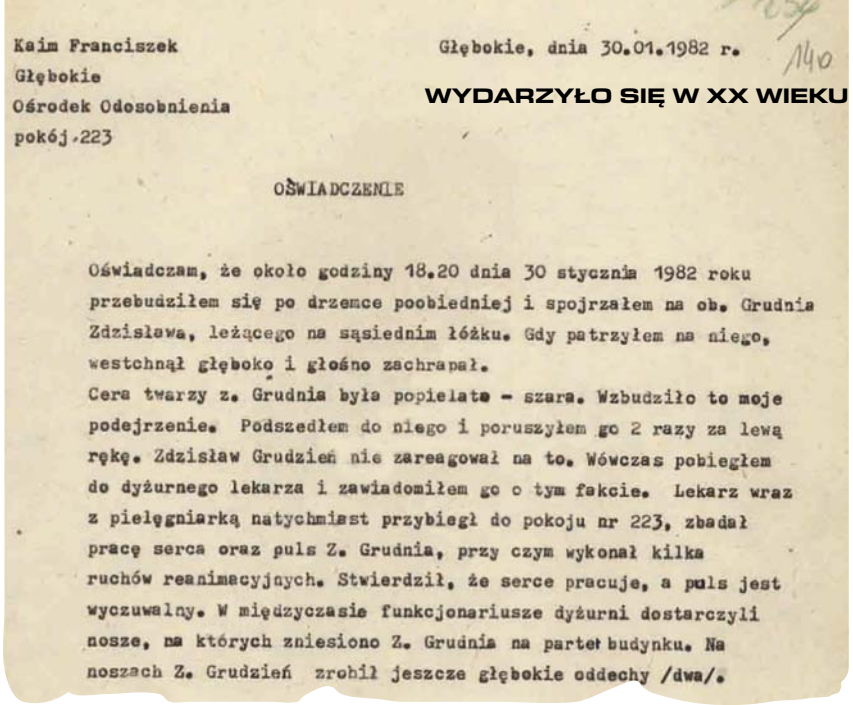
Złe warunki lokalowe, w jakich przebywali internowani (wówczas już tylko jedenastu), potwierdzili, już po śmierci Grudnia, Jadwiga Maria Kurzawińska oraz Stefan Grodziński z sejmowej Komisji Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości, którzy wizytowali ośrodek w Głębokiem 18 marca 1982 roku. Wskazywali oni na niedostatek środków higieny osobistej, pozbawienie osadzonych dostępu do prasy, usunięcie odbiorników radiowych, ograniczoną liczbę książek.

Niepokój komisji wzbudziło to, że korespondencja dochodziła do adresatów ze znacznym – pięciotygodniowym



Jeszcze u władzy... Delegacja PRL pod pomnikiem bitwy pod Lenino w 1976 roku (od prawej): Tadeusz Witold Młyńczak, Stanisław Gucwa, Zdzisław Grudzień, Edward Gierek, Piotr Jaroszewicz, Stefan Olszowski

Fot. PAP/CAF



Kaim Franciszek
Głębokie
Ośrodek Odosobnienia
pokój.223

Głębokie, dnia 30.01.1982 r.

140

OŚWIADCZENIE

Oświadczam, że około godziny 18.20 dnia 30 stycznia 1982 roku przebudziłem się po drzemce poobiedniej i spojrzałem na ob. Grudnia Zdzisława, leżącego na sąsiednim łóżku. Gdy patrzyłem na niego, westchnął głęboko i głośno zachrapał.
Cera twarzy z. Grudnia była popielata - szara. Wzbudziło to moje podejrzenie. Podszedłem do niego i poruszyłem go 2 razy za lewą rękę. Zdzisław Grudzień nie zareagował na to. Wówczas pobiegłem do dyżurnego lekarza i zawiadomiłem go o tym fakcie. Lekarz wraz z pielęgniarką natychmiast przybiegł do pokoju nr 223, zbadał pracę serca oraz puls Z. Grudnia, przy czym wykonał kilka ruchów reanimacyjnych. Stwierdził, że serce pracuje, a puls jest wyczuwalny. W międzyczasie funkcjonariusze dyżurni dostarczyli nosze, na których zniesiono Z. Grudnia na parter budynku. Na noszach Z. Grudzień zrobił jeszcze głębokie oddechy /dwa/.

› Zeznanie Franciszka Kaima dotyczące zasłabnięcia Zdzisława Grudnia

i dłuższym – opóźnieniem. Zwrócono uwagę także na poważne uchybienia prawne: w większości nakazów internowania brakowało podania przyczyn; internowani dowiadywali się od rodzin, że przygotowuje się przeciwko nim akty oskarżenia, a nie mieli żadnej możliwości przygotowania obrony, wyboru adwokata, bardzo często nie znali w ogóle aktów oskarżenia; nawet w przypadku nagłych, trudnych sytuacji w rodzinie nie mieli możliwości korzystania z przepustek.

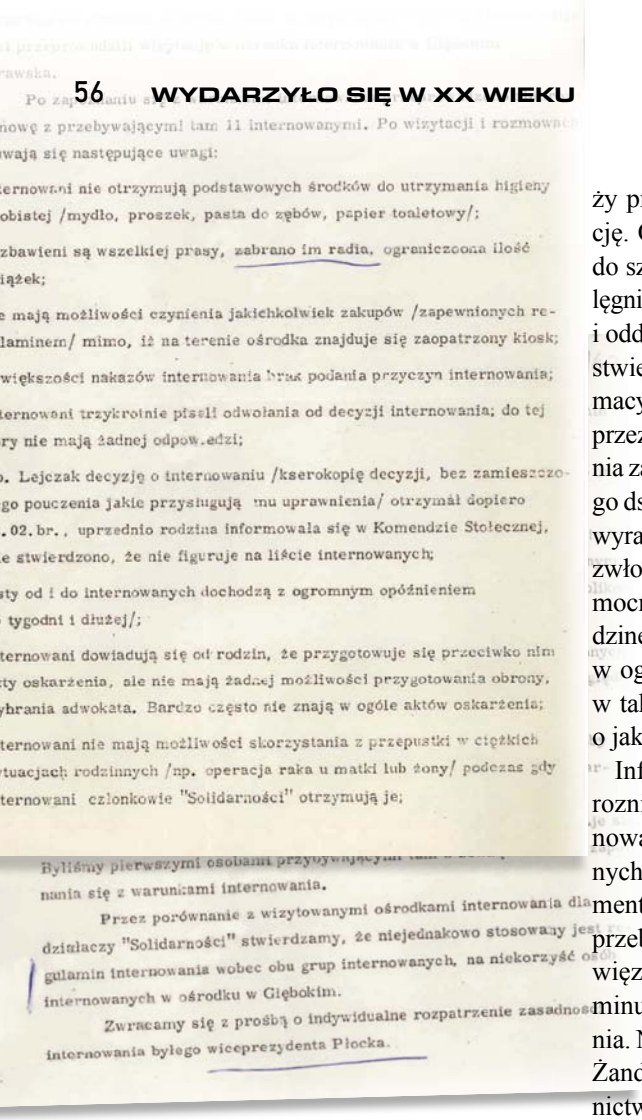
Oskarżenia dotyczące złych warunków panujących w Głębokiem odrzucają zdecydowanie przedstawiciele wojskowej obsługi ośrodka. W kilku relacjach powtarza się informacja, że Grudzień arogancko odmówił przyjęcia leków, które zaproponował mu lekarz por. Stanisław Urbański, i zażądał podania preparatów zagranicznych. Ppłk Henryk Gut pozwolił sobie nawet na uszczypliwy komentarz na temat okoliczności śmierci byłego I sekretarza PZPR w Katowicach: „Prawdą jest, że nie miał takiego zabezpieczenia sanitarnego jak w okresie, gdy był sekretarzem, kiedy na jego skinienie było zabezpieczenie medyczne województwa katowickiego i najlepsze, zagraniczne lekarstwa. Śmierć Grudnia dla ośrodka nie stanowiła sensacji. Złośliwi mówili, że rok skrócił się o miesiąc. […] Być może internowani uważali, że im należy się specjalne zabezpieczenie medyczne. Faktem także jest, że powodów do stresów internowanym nie brakowało. Samo to, że z piedestału spadli tak nisko. Była to przyczyna chorób wielu z nich”. Inny członek personelu wojskowego z Głębokiego, chor. Ryszard Suchanecki, wspomina, że internowani mieli do swojej dyspozycji najlepszego kardiologa ze szpitala w Wałczu, a do chorego Jaroszewicza przywożono lekarza śmigłowcem z Warszawy.

Reanimacja pod nadzorem

Nie wszystkie przekazy poszczególnych funkcjonariuszy dotyczące stanu zdrowia Grudnia są prawdziwe. Po śmierci byłego I sekretarza PZPR w Katowicach komendant ośrodka por. Eugeniusz Kazienko sporządził dla swoich zwierzchników szczegółową notatkę na temat przebiegu leczenia Grudnia w Głębokiem. Wynika z niej, że podczas badania 19 grudnia 1981 roku stwierdzono u niego nieżyt górnych dróg oddechowych, a od 21 do 27 grudnia przechodził lewostronne zapalenie płuc, co zostało potwierdzone prześwietleniem klatki piersiowej, przeprowadzonym 21 grudnia w szpitalu wojskowym w Wałczu. W trakcie swego półtoramiesięcznego pobytu w Głębokiem 23 razy był poddawany badaniu lekarskiemu. Trzykrotnie wykonano mu także EKG. Przeczy to przytoczonej wyżej optymistycznej wersji stanu zdrowia Grudnia w ujęciu oficera BOR ppor. Kazimierczaka. Trzeba jednocześnie zaznaczyć, że internowani członkowie Solidarności nie mogli liczyć w tym czasie na równie kompleksową opiekę lekarską. Znajdowali się ponadto pod dużo większą presją psychiczną. Próbowano wymuszać na nich podpisywanie deklaracji lojalności i werbować do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Wielu namawiano do emigracji w zamian za uwolnienie. Wobec internowanych opozycjonistów stosowano nierzadko przemoc fizyczną, czego przykładem może być dotkliwe pobicie 13 lutego 1982 roku 45 osadzonych w zakładzie karnym w Wierzchowie Pomorskim.

Dygnitarze PZPR internowani w latach 1981–1982

Teresa Andrzejewska, b. przew. Komitetu Turystyki, b. pracownica KW PZPR w Poznaniu; **Edward Babiuch**, b. premier; **Edward Dobija**, b. wojewoda włocławski; **Ludwik Drożdż**, b. I sekretarz KW we Wrocławiu; **Edward Gierek**, b. I sekretarz KC PZPR; **Józef Grenda**, b. wiceminister zdrowia i opieki społecznej; **Zdzisław Grudzień**, b. członek Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarz KW PZPR w Katowicach; **Piotr Jaroszewicz**, b. premier; **Stanisław Juraszek**, b. wojewoda zamojski; **Franciszek Kaim**, b. wicepremier; **Wiesław Kiczan**, b. wiceminister górnictwa i energetyki; **Bernard Kokowski**, b. prezydent Koszalina; **Antoni Krysiak**, b. wojewoda częstochowski; **Edmund Lehmann**, b. wojewoda bydgoski; **Włodzimierz Lejczak**, b. minister górnictwa i energetyki; **Józef Łabudek**, b. wojewoda bielski; **Jerzy Łukaszewicz**, b. sekretarz KC PZPR i członek BP; **Józef Majchrzak**, b. I sekretarz KW w Bydgoszczy; **Zbigniew Mrukowicz**, b. wicewojewoda częstochowski; **Zbigniew Nadratowski**, b. wojewoda wrocławski; **Jan Piskorski**, b. prezydent Zamościa; **Przemysław Piskorski**, b. wojewoda włocławski; **Jan Przytarski**, b. wojewoda toruński; **Tadeusz Pyka**, b. wicepremier; **Jerzy Smyczyński**, b. I sekretarz KW PZPR w Ostrołęce; **Jan Stępień**, b. wojewoda słupski; **Jan Szotek**, b. wiceminister przemysłu maszynowego; **Jan Szydlak**, b. wicepremier, b. przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych; **Władysław Śleboda**, b. prezydent Poznania; **Andrzej Śliwiński**, b. wojewoda pilski; **Włodzimierz Tyras**, b. wicewojewoda słupski; **Mirosław Wierzbicki**, b. wojewoda częstochowski; **Marek Wołyniak**, b. wiceprezydent Płocka; **Tadeusz Wrzaszczyk**, b. wicepremier; **Andrzej Zajdel**, b. wiceprezydent Płocka; **Jerzy Zasada**, b. I sekretarz KW w Poznaniu; **Zdzisław Żandrowski**, b. sekretarz KC PZPR



nową z przebywającymi tam 11 internowanymi. Po wizytacji i rozmowach
wają się następujące uwagi:
ternowani nie otrzymują podstawowych środków do utrzymania higieny
obistej /mydło, proszek, pasta do zębów, papier toaletowy/;
zbawieni są wszelkiej prasy, zabrano im radia, ograniczona ilość
iążek;
e mają możliwości czynienia jakichkolwiek zakupów /zapewnionych re-
laminem/ mimo, iż na terenie ośrodka znajduje się zaopatrzony kiosk;
większości nakazów internowania brak podania przyczyn internowania;
ternowani trzykrotnie pisali odwołania od decyzji internowania; do tej
ry nie mają żadnej odpow.edzi;
. Lejczak decyzję o internowaniu /kserokopię decyzji, bez zamieszczo-
go pouczenia jakie przysługują mu uprawnienia/ otrzymał dopiero
.02.br., uprzednio rodzina informowała się w Komendzie Stołecznej,
e stwierdzono, że nie figuruje na liście internowanych;
sty od i do internowanych dochodzą z ogromnym opóźnieniem
tygodni i dłużej/;
ternowani dowiadują się od rodzin, że przygotowuje się przeciwko nim
ty oskarżenia, ale nie mają żadnej możliwości przygotowania obrony,
yhrania adwokata. Bardzo często nie znają w ogóle aktów oskarżenia;
ternowani nie mają możliwości skorzystania z przepustki w ciężkich
tuacjach rodzinnych /np. operacja raka u matki lub żony/ podczas gdy
ternowani członkowie "Solidarności" otrzymują je;
Byliśmy pierwszymi osobami przybywającymi
nania się z warunkami internowania.
Przez porównanie z wizytowanymi ośrodkami internowania dla
działaczy "Solidarności" stwierdzamy, że niejednakowo stosowany jest
gulamin internowania wobec obu grup internowanych, na niekorzyść
internowanych w ośrodku w Głębokim.
Zwracamy się z prośbą o indywidualne rozpatrzenie zasadności
internowania byłego wiceprezydenta Płocka.

Fragmenty notatki z wizytacji poselskiej ośrodka internowania w Głębokiem z 18 marca 1982 roku

Do gwałtownego pogorszenia się stanu zdrowia Grudnia doszło 30 stycznia późnym popołudniem, o czym powiadomił lekarza i pielęgniarkę współlokator z pokoju Franciszek Kaim. Odosobniony pogląd na temat przyczyn zapaści Grudnia miał pełniący służbę w ośrodku chor. Józef Koźbiał. Jego zdaniem stan zdrowia Grudnia gwałtownie się pogorszył po podaniu w telewizji informacji z procesu Macieja Szczepańskiego, byłego przewodniczącego Komitetu ds. Radia i Telewizji. O 18.25 Grudzień na noszach został przetransportowany do karetki z zamiarem przewiezienia go do szpitala w Drawsku. Obecność dyżurującej przez całą dobę w ośrodku w Głębokiem karetki potwierdza raport z kontroli przeprowadzonej przez Prokuraturę Wojewódzką w Koszalinie 22 stycznia 1982 roku. W czasie podróży prowadzono intensywną reanimację. Około 19.10 chorego dowieziono do szpitala, gdzie zespół lekarzy i pielęgniarek próbował przywrócić krążenie i oddech. O godz. 19.50 zespół lekarzy stwierdził zgon Grudnia. Akcja reanimacyjna w szpitalu była nadzorowana przez kpt. MO Śniegockiego. 31 stycznia zastępca komendanta wojewódzkiego ds. SB w Koszalinie płk. Józef Pytel wyraził zgodę na uczestnictwo w sekcji zwłok (1 lutego o godz. 12.00) pełnomocnikowi wyznaczonemu przez rodzinę. Inna sprawa, czy ta informacja w ogóle dotarła do zainteresowanych w tak krótkim czasie, nie mówiąc już o jakiejkolwiek reakcji na nią.

Informacja o śmierci Grudnia szybko rozniosła się wśród pozostałych internowanych, niewątpliwie przygnębionych tym zdarzeniem. Pojawiły się komentarze, że ludzi schorowanych i po przebytych zawałach nie powinno się więzić. 31 stycznia podczas śniadania minutą ciszy uczcili oni pamięć Grudnia. Niebawem Jan Szydlak i Zdzisław Żandrowski postawili żądania: uczestnictwo trzyosobowej delegacji internowanych w pogrzebie; w prasie – nekrolog podpisany „grupa towarzyszy”; na pogrzeb – wieniec za pieniądze zebrane wśród internowanych. Dwa ostatnie postulaty zostały przyjęte.

Chorzy do szpitala

Śmierć Grudnia wywołała reakcję ze strony władz. Strach przed powtórzeniem się takiej sytuacji spowodował, że już 1 lutego komisja lekarzy wojskowych przeprowadziła badanie siedemnastu internowanych uskarżających się na rozmaite dolegliwości. Efektem działań komisji było zalecenie hospitalizacji kilku z nich. Z internowania został zwolniony były wiceminister zdrowia i opieki społecznej Józef Grenda.

Po śmierci Grudnia, w początkach lutego 1982 roku, podjęto również decyzję o przeniesieniu ścisłego otoczenia Gierka do ośrodka rządowego w Promniku pod Warszawą. Tam przebywali w dużo lepszych warunkach. Uzyskali też prawo do nieograniczonych wizyt rodzin. Ci, którzy pozostali w Głębokiem, zostali zwolnieni do końca czerwca. Jako ostatni ośrodek opuścił w początkach lipca były I sekretarz KW PZPR w Poznaniu Jerzy Zasada. Władze stanu wojennego zrezygnowały z wytoczenia procesów byłym współtowarzyszom, mimo przegłosowania 26 marca 1982 roku w Sejmie zmiany w konstytucji ustanawiającej Trybunał Stanu. Prawdopodobnie obawiano się ujawnienia niewygodnych dla osób sprawujących wówczas rządy faktów z niedalekiej przeszłości. Rzecznik rządu Jerzy Urban osobiście odradzał Jaruzelskiemu wytoczenie procesu politycznego byłym dygnitarzom PZPR, argumentując, że może się on obrócić przeciwko całej formacji, a opinia publiczna swoją sympatię skieruje w stronę Gierka.

Nowe ustalenia

Okoliczności śmierci Zdzisława Grudnia wyjaśnia dziś delegatura koszalińska Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Szczecinie. Podczas czynności wyjaśniających prowadzonych przez prokuratora Krzysztofa Bukowskiego udało się uściślić wiele niepełnych dotychczas informacji. Jak wynika z dokumentacji lekarskiej i raportów władz ośrodka w Głębokiem, na przełomie 1981 i 1982 roku były I sekretarz katowickiego KW był w takim stanie zdrowia, że powinien znaleźć się w szpitalu, a nie w ośrodku internowania. Tym bardziej że warunki w tym ostatnim pozostawały wiele do życzenia, chociaż z opublikowanych w książkach relacji na ten temat – głównie pochodzących od członków wojskowego personelu ośrodka – wynika co innego. Epizod internowania byłych dygnitarzy PZPR i sposób, w jaki ich traktowano, to kolejny – oprócz postępowania wobec opozycji – przykład na bezprawie panujące w stanie wojennym.

dr Maciej Maciejowski – historyk, pracownik Oddziału IPN w Szczecinie

Śmierć prezydenta

Jerzy Eisler



fot. Filmoteka Narodowa

W Polsce często i chętnie lubimy prawić o naszej tradycyjnej – chciałoby się powiedzieć – odwiecznej tolerancji. Jakby przy okazji przypominamy, że Rzeczpospolita była państwem, w którym – w przeciwieństwie na przykład do Anglii czy Francji – nie było królobójstwa. Jest to oczywiście prawda. Chyba jednak zbyt łatwo zapominamy, że Gabriel Narutowicz, pierwszy w historii Polski prezydent, został zamordowany 16 grudnia 1922 roku – zaledwie w tydzień po wyborze na to najwyższe w państwie stanowisko. Od tamtych tragicznych wydarzeń, o których opowiada znakomity obraz Jerzego Kawalerowicza *Śmierć prezydenta*, mija właśnie dziewięćdziesiąt lat.

Pomysł na ten film zrodził się jeszcze w latach sześćdziesiątych, ale nie wydawało się realne, aby mógł zostać zrealizowany w Polsce kierowanej przez Władysława Gomułkę. Dopiero bowiem w końcowym okresie jego rządów, w 1968 roku – w związku z obchodzoną po raz pierwszy w PRL na szeroką skalę rocznicą (pięćdziesiątą) odzyskania przez Polskę niepodległości – zaczęto o II Rzeczypospolitej mówić w sposób mniej niż dotychczas schematyczny, tendencyjny i jednowymiarowy. Miało to w następnej dekadzie zaowocować sporą liczbą wartościowych prac naukowych, ale także ciekawymi filmami fabularnymi, których akcja rozgrywała się w okresie międzywojennym. Były to zrealizowane zwykle z ogromną troską o szczegóły melodramaty, komedie, kryminały, dramaty, filmy wojenne itd. Tytułem przykładu można tu wspomnieć filmy tak bardzo różne od siebie jak: *Zazdrość i medycyna*, *Hallo Szpicbródka*, *Sprawa Gorgonowej*, *Perła w koronie* czy *Romans Teresy Hennert*, *Tęsknota za niepodległością*.

Wydaje się, że – poza walorami artystycznymi – tym, co napędzało im widownię do kin, była żywa wśród wielu Polaków nostalgia za Polską niepodległą. Co ciekawe, owa tęsknota za „latami dwudziestymi, latami trzydziestymi" była obecna zarówno wśród wielu z tych, którzy pamiętali ten okres z autopsji (choćby z dzieciństwa), jak i wśród ludzi znacznie młodszych, wychowanych i ukształtowanych już po II wojnie światowej.



Marek Walczewski w roli Eligiusza Niewiadomskiego

Fot. Filmoteka Narodowa

Zapewne przede wszystkim z powodów cenzuralnych stosunkowo długo na liście filmów, których akcja rozgrywa się w latach II Rzeczypospolitej, brakowało obrazów o charakterze epickich fresków historycznych. Cechą charakterystyczną tego typu filmów było bowiem zawsze to, że – przy wykorzystaniu fizycznego podobieństwa poszczególnych aktorów do konkretnych postaci historycznych, dodatkowo wyostrzanego za sprawą kostiumów i charakteryzacji oraz oryginalnych tekstów zaczerpniętych z archiwalnych dokumentów, memuarystyki i listów – próbowały w sposób mniej lub bardziej udany rekonstruować ważne wydarzenia z przeszłości. *Śmierć prezydenta*, która miała premierę w październiku 1977 roku, była pierwszym i – dodajmy od razu – najlepszym tego rodzaju polskim filmem. Niedługo potem powstały dwa – tylko jednak do pewnego stopnia – podobne obrazy (również zrealizowane w kolorach), które miały swoje premiery wiosną 1981 roku. Były to: ukazujący walkę o odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 roku *Polonia Restituta* w reżyserii Bohdana Poręby oraz opowiadający o genezie, przebiegu i konsekwencjach przewrotu majowego z 1926 roku, wyreżyserowany przez znanego aktora Ryszarda Filipskiego, *Zamach stanu*.

Autorzy obu filmów w chwili ich wprowadzania do kin łączeni byli dość powszechnie z nurtem „narodowo-komunistycznym", ale tylko w wypadku tego drugiego obrazu, który manipulował materiałem historycznym i wypaczał sens wydarzeń sprzed ponad pół wieku, miało to swoje przełożenie na ekranie. Być może wynikało to zresztą z faktu, że autorem scenariusza był – łączony z „partyzantami" – znany marcowy publicysta Ryszard Gontarz. Scenarzystą filmu Bohdana Poręby był zaś prof. Włodzimierz T. Kowalski, „nadworny historyk PRL".

Dobry scenariusz, świetni aktorzy

W wypadku *Śmierci prezydenta* scenariusz napisali wspólnie reżyser filmu Jerzy Kawalerowicz oraz wybitny krytyk filmowy i scenarzysta Bolesław Michałek. Na podkreślenie zasługuje fakt, że w sposób bardzo udany posłużyli się wielokrotnie w przeszłości wykorzystywanym schematem żywotów równoległych, czyniąc bohaterami narracji dwóch ludzi: prezydenta Gabriela Narutowicza oraz jego zabójcę Eligiusza Niewiadomskiego, których drogi przecięły się tylko na krótką, ale za to jakże ważną chwilę w czasie otwarcia wystawy w Zachęcie. Znakomitym pomysłem formalnym było uczynienie ich pewnym kontrapunktem dla narracji chronologicznej zeznań Niewiadomskiego, składanych po zabójstwie Gabriela Narutowicza. Jednocześnie było to nader trudnym zadaniem aktorskim dla odtwarzającego postać zamachowca Marka Walczewskiego, który prowadził ten swoisty monolog bezpośrednio do kamery, bez udziału osób trzecich. Aktor wspaniale ukazał przy tym szaleństwo i polityczny fanatyzm zamachowca.

W tytułową postać Narutowicza równie genialnie wcielił się Zdzisław Mrożewski, tworząc obraz prezydenta naszych marzeń: postawny, wysoki mężczyzna, a zarazem wrażliwy, delikatny człowiek o wysublimowanej kulturze, erudyta, humanista o przekonaniach liberalnych i demokratycznych, szanujący ludzi (także swoich politycznych przeciwników), człowiek dialogu i rozsądnego kompromisu, a przy tym wszystkim wielki uczony, światowej sławy specjalista w zakresie hydroelektrowni. O takiej głowie państwa w czasach PRL Polacy mogli co najwyżej śnić.



Fot. Filmoteka Narodowa

Trzecią kluczową postacią dramatu ukazaną w filmie jest marszałek Józef Piłsudski, znakomicie zagrany przez Jerzego Duszyńskiego. Chcę w tym miejscu zaznaczyć, że rolę Piłsudskiego w różnych filmach grali wybitni aktorzy: Ryszard Filipski, Daniel Olbrychski, Zbigniew Zapasiewicz czy Janusz Zakrzeński, ale – jak się wydaje – najlepiej uczynił to właśnie Duszyński. Scena, w której – w czasie gdy ulicami Warszawy ciągnął kondukt pogrzebowy prezydenta Rzeczypospolitej – Wielki Nieobecny stawia pasjansa, praktycznie od razu stała się klasyczną, na trwałe wchodząc do kanonu polskiego filmu historycznego.

Troska o najdrobniejsze szczegóły

Nawiasem mówiąc, sekwencja pogrzebu prezydenta Narutowicza do dziś imponuje rozmachem realizatorskim. Trudno powstrzymać się od refleksji, że prawdopodobnie – w czasach tak modnych obecnie komputerowych animacji – już nigdy czegoś takiego nie uda się nakręcić w Warszawie. Ze względu na mniejsze problemy z dezorganizacją ruchu ulicznego, zdjęcia w pobliżu pomnika Adama Mickiewicza zdecydowano się nakręcić w niedzielę. W prasie ukazało się ogłoszenie zapraszające chętnych do przyjścia w czarnych odświętnych ubraniach: w paltach, pelisach, płaszczach, ale nie, broń Boże, w ortalionowych kurtkach. Nie wiadomo dokładnie, ilu aktorów i statystów brało wówczas udział w zdjęciach, ale na pewno były to tysiące ludzi: odtwarzających członków rządu, episkopat, posłów, senatorów, generalicję, korpus dyplomatyczny, przedstawicieli partii politycznych, wreszcie zwykłych ludzi odprowadzających w ostatniej drodze do katedry św. Jana Chrzciciela prezydenta uosabiającego majestat Najjaśniejszej.

Zresztą troska twórców o różne, najdrobniejsze szczegóły była wręcz nieprawdopodobna. Najlepiej świadczy o niej ta oto historia. Otóż babka jednego z moich znajomych w czasie seansu w kinie zobaczyła… samą siebie, tyle że młodszą o 55 lat. Chodziło o to, że jako młoda dziewczyna była sekretarką czy też stenotypistką w sejmie. Na jednej z fotografii z 1922 roku została uchwycona przy pracy. Zdjęciem tym posłużyli się autorzy filmu, stylizując na ową urzędniczkę jedną ze statystek. Uczynili to przy tym niezwykle realistycznie, między innymi przypinając jej wierną kopię broszki, jaką przed laty miała na sobie babka mojego kolegi. Starsza pani, widząc tę jak gdyby ożywioną starą fotografię i rozpoznając „swoją" broszkę, po prostu zasłabła.

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące", czyli kryzys(y) w PRL* (2008)



Zdzisław Mrożewski w roli prezydenta Gabriela Narutowicza

Czołg Renault FT 17 – militarny unikat w Polsce!

Michał Mackiewicz

Październik 2012 roku zapisze się w polskim muzealnictwie wojskowym złotymi zgłoskami. Dzięki międzyrządowemu porozumieniu Afganistan przekazał Polsce cenny zabytek broni pancernej – francuski czołg Renault FT 17. Ta wyjątkowa w militarnych dziejach świata konstrukcja bliska jest także nam, Polakom. Był to pierwszy czołg używany przez armię odrodzonej Rzeczypospolitej. „Siedemnastki" przyczyniły się m.in. do zwycięstwa pod Warszawą w sierpniu 1920 roku. Zabytek będzie eksponowany w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, wcześniej jednak poddany zostanie w Poznaniu gruntownym zabiegom konserwatorskim.

Sylweta tego unikatowego już dziś pojazdu utrwalona została w polskiej świadomości dzięki słynnej niemieckiej fotografii z września 1939 roku. Ukazuje ona Bramę Litewską właśnie zdobytej twierdzy brzeskiej, zatarasowaną kilkoma czołgami FT 17.

W końcu lat trzydziestych ubiegłego wieku wysłużone renaulty miały już iluzoryczną wartość bojową i rzeczywiście bardziej nadawały się na budulec barykad aniżeli na ruchomy punkt ogniowy. Jednak przeszło dwadzieścia lat wcześniej zapoczątkowały nową erę w dziedzinie projektowania czołgów. Kiedy w 1917 roku francuski pojazd rozpoczął szlak bojowy na froncie zachodnim, był najnowocześniejszym czołgiem



Renault FT 17 po latach znów w Polsce

Fot. PAP/Jakub Kaczmarczyk

świata, a jego układ konstrukcyjny był tak rewolucyjny, że do dziś pozostaje klasyczny. Pierwsze tanki, jak np. angielski Mark I (ten spod Sommy z 1916 roku), były bowiem niezgrabnymi romboidalnymi mastodontami o kiepskich możliwościach manewrowych i uzbrojeniu umieszczonym w kadłubach, co w późniejszej nomenklaturze zaliczałoby je raczej do dział samobieżnych niż czołgów.

Idea powstania FT 17 narodziła się w 1916 roku w kołach wojskowych, a zadanie zrealizowania projektu powierzono słynnemu konstruktorowi samochodów, Louisowi Renault. Lekki czołg (francuska nazwa: Char Léger Renault FT Modèle 1917) gotowy był już w 1917 roku i od razu ruszyła jego seryjna produkcja. Przeznaczono go do bezpośredniego wsparcia atakującej piechoty. Pojazdy grupowano w samodzielne bataliony, potem także pułki. Pancerz miał zapewniać odporność na ogień broni strzeleckiej.

FT 17 miał obrotową wieżę, w której umieszczono uzbrojenie i dzięki której zapewniono 360-stopniowe pole ostrzału. Zarówno wieża, jak i kadłub zbudowane były ze stalowych płyt przymocowanych do szkieletu z kątowników. Grubość płyt wynosiła od 6 do 22 mm (wieża). Wieże występowały w dwóch wersjach – ośmiokątnej i okrągłej (tzw. wieża Berliet). Uzbrojenie stanowił karabin maszynowy Hotchkiss wz. 14 kal. 8 mm lub działko Puteaux kal. 37 mm wyposażone w zamek półautomatyczny, o szybkostrzelności teoretycznej dziesięciu strzałów na minutę (z zapasem 237 nabojów). Gaźnikowy, czterocylindrowy, chłodzony cieczą silnik o mocy 35 KM umieszczono z tyłu kadłuba, z przodu zaś znajdował się przedział bojowy dla załogi składającej się z kierowcy i dowódcy-strzelca. Do środka wchodziło się przez dwa włazy: jeden znajdował się z przodu kadłuba, drugi w tyle wieży. Nowatorskie było także zawieszenie – składało się z czterech wózków jezdnych (po obu stronach) połączonych wzdłużną belką amortyzowaną piórowym resorem. Koła napędowe znajdowały się z tyłu, duże koła napinające umieszczono zaś z przodu (co ciekawe, były one drewniane i okute stalą), co wpłynęło na lepsze właściwości trakcyjne w trudnym terenie. Gąsienice miały szerokość ok. 34 cm i każda składała się z 343 ogniw. Aby poprawić jeszcze zdolność renaulta do pokonywania przeszkód w postaci rowów i okopów, z tyłu kadłuba przymocowano stalowy „ogon", który można było wykorzystywać także w charakterze dodatkowego zasobnika lub platformy dla desantu piechoty. Czołg ważył 6,7 t, miał długość 5 m (łącznie z ogonem – sam kadłub miał 4 m) i ponad 2 m wysokości. Zabierał 100 l paliwa, które pozwalało na pokonanie dystansu 35 km; prędkość maksymalna wynosiła 8 km/h.



Fot. z archiwum autora

Renault FT 17 w Armii Polskiej we Francji

Podczas I wojny światowej czołgów Renault, oprócz Francuzów, używali Amerykanie. Do jej końca wyprodukowano blisko 3200 pojazdów. Po 1918 roku Francja chętnie eksportowała je na cały świat. Do Polski czołgi FT 17 trafi-

Dane techniczne czołgu Renault FT 17

załoga	masa	grubość pancerza	wymiary	napęd	osiągi	uzbrojenie
2	6,7 t	maks. 22 mm (wieża typu Berliet)	dł. 5 m, wys. 2,13 m, szer. 1,70 m	4-cylindrowy silnik benzynowy	prędkość maks. 8 km/h, zasięg 35 km	działko 37 mm lub kaem 8 mm



Fot.MWP

Wieża czołgu Renault FT 17 w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

ły w 1919 roku wraz z Błękitną Armią gen. Józefa Hallera, w której składzie znajdował się 1. Pułk Pancerny, wyposażony w 120 wozów tego typu. Stanowiły one istotne wzmocnienie dla rozbudowującego się Wojska Polskiego, które toczyło nieustanne boje o kształt przyszłych granic. W chwili gdy francuskie tanki przybyły do Polski, nasz kraj stał się pancerną potęgą, klasyfikowaną na czwartym miejscu w świecie pod względem liczby czołgów. Już w sierpniu 1919 roku renaulty wyruszyły na front i walczyły do końca wojny z bolszewikami. Użyto ich m.in. podczas Bitwy Warszawskiej – w ataku na Radzymin. W toku wojny utracono bezpowrotnie osiem czołgów.

W dwudziestoleciu międzywojennym podjęto próby modernizacji FT 17, jednak – wobec gwałtownego rozwoju broni pancernej w latach trzydziestych – były to zabiegi karkołomne. Ponad setka czołgów Renault FT 17, jakie znajdowały się na stanie WP w przededniu II wojny światowej (wśród nich blisko trzydzieści wyprodukowanych w Centralnych Warsztatach Samochodowych w Warszawie), nie odegrała we wrześniu 1939 roku praktycznie żadnej roli. Polscy pancerniacy ponownie zetknęli się z tymi maszynami już kilka miesięcy później. Posłużyły do szkolenia żołnierzy formującej się we Francji 1. Brygady Pancernej Stanisława Maczka.

Na świecie zachowało się kilkadziesiąt czołgów Renault FT 17: w Europie, obu Amerykach, a nawet w Australii. W polskich kolekcjach nie było dotąd kompletnego egzemplarza. Kilka fragmentów, w tym wieża, znajduje się w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Afganistan otrzymał w latach dwudziestych przynajmniej kilka czołgów. Prawdopodobnie zostały przekazane przez ZSRR. Nie można wykluczyć, że czołg, który właśnie do nas trafił, stanowił bolszewickie trofeum z wojny 1920 roku. Jest to jednak tylko luźna hipoteza, a rozwiązanie zagadki wymagać będzie najprawdopodobniej pogłębionych studiów archiwalnych.

Niezależnie od proweniencji afgańskiej „renówki" po restauracji wóz ten stanowić będzie jeden z najcenniejszych zabytków militarnych w polskich zbiorach muzealnych.

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kircholm–Kłuszyn, zwycięstwa husarii* (2011)



Fot. z archiwum autora

Czołg Renault FT 17 w Polsce w okresie międzywojennym

Orły kawalerii I Brygady Legionów Polskich

Tomasz Zawistowski

Historia odrodzonej w XX wieku polskiej kawalerii zaczęła się 2 sierpnia 1914 roku od wkroczenia w granice Królestwa Polskiego siedmioosobowego patrolu pod dowództwem Władysława Beliny-Prażmowskiego. Wszyscy byli w cywilnych ubraniach i bez koni. Po miesiącu ułanów Beliny było już prawie stu, a ogółem w latach Wielkiej Wojny przez szeregi dywizjonu, a później pułku, przewinęło się ponad półtora tysiąca żołnierzy. Specjalnie dla nich zaprojektowano mundury o wyglądzie nawiązującym do ubiorów kawalerii Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego.



Orzeł tzw. beliniacki, z czapki ułańskiej zaprojektowanej przez Zygmunta Rozwadowskiego dla kawalerii I Brygady LP, Wiedeń, 1915 rok

Siódemka Beliny powróciła do Krakowa, niektórzy już na koniach. Po dołączeniu do wymaszerowującej Kompanii Kadrowej pełnili służbę patrolową. Do oddziału cały czas napływali ochotnicy, wśród nich doskonale wyszkolona grupa z Sokoła Konnego ze Lwowa. Szybko rosnący oddział otrzymał nazwę 1. Szwadronu Ułanów Legionów Polskich i brał udział w walkach wspólnie z 1. Pułkiem Piechoty, później zaś w składzie saskiej brygady kawalerii. Wzmocniony kolejnym szwadronem podczas pobytu w Krakowie, utworzył 1. Dywizjon Ułanów, którym dowodził Prażmowski, awansowany już do stopnia rotmistrza. W bitwie pod Łowczówkiem w grudniu 1914 roku dywizjon stanowił odwód. Przez cały 1915 rok ułani walczyli w składzie I Brygady Legionów Polskich. Pod koniec roku formalnie zatwierdzona została używana już wcześniej nieoficjalnie nazwa 1. Pułku Ułanów. Oddział liczył w tym czasie ok. pięciuset szabel. Rok 1916 to okres współdziałania Brygad Legionowych, bitwa pod Kostiuchnówką i walki pozycyjne nad Stochodem. Później jednak oddziały legionowe przesunięto do Królestwa i przekazano pod dowództwo niemieckie. Końcowym akordem ich istnienia był kryzys przysięgowy i internowanie tych legionistów, którzy byli do niedawna poddanymi cara. Pułk przestał istnieć 17 lipca 1917 roku.

Ułańskie mundury

Mundur i czapkę dla ułanów Władysława Beliny-Prażmowskiego zaprojektował krakowski ilustrator i malarz, ułan Beliny, ppor. Stefan Felsztyński. Pisarz i działacz niepodległościowy Wacław Sieroszewski wspominał, że pierwszy spośród istniejących podówczas czterech plutonów jazdy otrzymał nowe mundury i nakrycia głowy podczas kilkudniowego odpoczynku w Szczucinie, czyli po opuszczeniu Kielc, co nastąpiło 13 sierpnia 1914 roku (inni pamiętnikarze różnie datują to wydarzenie, niektórzy przesuwają moment otrzymania nowych mundurów aż na koniec września). W tym okresie ułani nosili orły zwykłe, strzeleckie, bez koron, umieszczane na lewej, przedniej kwaterze czapki na okrągłych, dwubarwnych rozetach. Zewnętrzna, marszczona strefa rozety wykonana była z materiału barwy czapki, wewnętrzna zaś, która stanowiła bezpośrednie tło dla orła, z sukna amarantowego. Zapewne stąd właśnie wywodzący się (i popularny wśród ułanów 1. pułku) zwyczaj noszenia amarantowych podkładek pod orłami



Czapka ułana I Brygady Wacława Sirko-Sieroszewskiego. Pierwsza wersja czapki ułanów I Brygady zaprojektowana przez Stefana Felsztyńskiego, czerwony sznur zwisający z rogów czapki był indywidualnym odstępstwem od regulaminowego wyglądu czapki

Fot. J. Rostafiński

umieszczonymi na maciejówkach upowszechnił się również w pułkach piechoty I Brygady. W marcu 1916 roku został on zakazany oficjalnym rozkazem mundurowym I Brygady.

Czapki nowego typu, zdecydowanie wyższe i ozdobione dużymi orłami, zaprojektował na początku 1915 roku wachmistrz Zygmunt Rozwadowski, znany malarz batalista. Co istotne, orły te, podobnie jak wcześniejsze od nich orły kawalerii II Brygady, miały na głowach korony, które niekiedy były przez ułanów obcinane. Pierwszą partię tych godeł z blachy mosiężnej, srebrzonej i oksydowanej, wyprodukowano w Wiedniu w styczniu bądź w lutym. Znane są również egzemplarze, zapewne późniejszej już produkcji, bite z blachy stalowej, cynkowanej. Nowe orły błyskawicznie zyskały przydomek „beliniackich", od pseudonimu rtm. Władysława Prażmowskiego, dowódcy kawalerii I Brygady LP. Podobieństwo niektórych elementów orła „beliniackiego" i wyprodukowanych rok wcześniej orłów do wysokich czapek kawalerii II Brygady pozwala przypuszczać, że wyszły one z jednego warsztatu. Chodzi tu przede wszystkim o podobieństwo rysunku głów i koron, jak również kilku innych detali. Ponadto nie każdy zakład grawerski był w stanie sprostać zadaniu wykonania godeł takich rozmiarów.

W odróżnieniu od ułanów II Brygady, którzy wysokie czapki uznali za niepraktyczne i odesłali na tyły, kawalerzyści I Brygady używali swoich czapek ułańskich zarówno w polu, jak i poza linią frontu. Ze względów praktycznych czapki przykrywano na co dzień ceratowymi pokrowcami, na okres zimowy zaś zdawano do magazynów. Problem braków w umundurowaniu dotyczył również czapek. Jesienią 1915 roku jeden z ułanów wspominał: „Miałem na głowie mą szarą maciejówkę, ale wysokich przepisowych czap ułańskich nie posiadał np. cały 3. szwadron, a w 1. i 2. nie miała ich pewnie co najmniej czwarta część kolegów". Braki mundurowe wyraźnie zmniejszyły się dopiero latem 1916 roku, niemniej uzupełnienie liczby czapek ułańskich do pełnego stanu pułku nastąpiło dopiero w maju 1917 roku.

Na co dzień ułani nosili czapki maciejówki z amarantowymi wypustkami i orłami strzeleckimi normalnych rozmiarów, jak w piechocie.

Oprócz orłów noszonych na czapkach ułani I Brygady ozdabiali niekiedy orłami strzeleckimi etyszkiety, noszone do czapek drugiego typu. Podobny zwyczaj mieli zresztą ułani II Brygady. Kolejnym elementem kawaleryjskiego wyposażenia ozdabianym orłami czapkowymi były oficerskie ładownice. Bardzo często były to zdobyczne ła-



Ułan I Brygady, Ksawery Święcicki, oprócz orła „beliniackiego" na czapce nosił małego orła na etyszkietach; zdjęcie wykonane w Warszawie w 1916 lub 1917 roku; w 1939 roku mjr Święcicki dowodził Dywizjonem Rozpoznawczym 10. Brygady Kawalerii

Fot. Archiwum Biblioteki Narodowej

Wachmistrz Stanisław Zygmunt Putiatycki, dowódca IV plutonu 2. szwadronu 1. Pułku Ułanów LP; na czapce orzeł „beliniacki"

downice produkcji rosyjskiej, przerabiane przez nałożenie polskich orłów w warszawskiej firmie Grynszpan.

Orły „beliniackie" noszone były na wysokich czapkach do końca istnienia 1. Pułku Ułanów LP w roku 1917, później zaś w 1. Pułku Ułanów Polskiej Siły Zbrojnej, a także do roku 1919 przy uroczystych wystąpieniach 1. Pułku Szwoleżerów. W roku 1919 używała ich załoga pociągu pancernego „Śmiały", nakładając odpowiednio wyprofilowane orły na hełmy niemieckiej produkcji.

W latach międzywojennych podczas uroczystych wystąpień pojawiali się ułani w mundurach z lat I wojny, zazwyczaj pieszo, ale niekiedy również na koniach. Jako mundur historyczny przyjęto traktować wersję późniejszą, z bardziej okazałą czapką projektu Zygmunta Rozwadowskiego. Jedną z ostatnich okazji do ujrzenia weteranów w ułańskich mundurach z czasów Wielkiej Wojny był pogrzeb płk. Władysława Beliny-Prażmowskiego w roku 1938. Komenda koła 1. Pułku Ułanów Legionów Polskich wezwała wszystkich beliniaków mających pełne umundurowanie historyczne, by stawili się w nim na uroczystościach pogrzebowych w Krakowie.

Przygoda z mundurem

Jeden z ułanów Beliny, Karol Koźmiński, trafił do pułku w sierpniu 1915 roku. Zgłosił się na ochotnika do Batalionu Warszawskiego, formowanego przez Polską Organizację Wojskową natychmiast po opuszczeniu Warszawy przez Rosjan. Wspominał potem tę chwilę, w której zdecydował się zostać polskim ułanem i, chcąc dawnym obyczajem zaciągnąć się „konno i zbrojno", postanowił mundur ułański obstalować w Warszawie własnym sumptem. Opis ten cytujemy za wspomnieniami ochotnika Koźmińskiego zatytułowanymi *Z ułanami Beliny 1914–1916*, wydanymi drukiem w 1928 roku: „Stało się więc, że w salonach owej firmy zrzuciłem marynarkę (od Zaremby) i dolne (od Stankiewicza) i naciągnąłem, starannie bacząc, by gdzie nie trzęsły, owe nowe szaro-niebieskie, dla pewności w pewnych miejscach podszyte podwójnie, z przeproszeniem, spodnie, zaczem obułem wspaniałe od Kielmana chrabąszczowe buty wysokie, do których przypięte zostały małe, prawie że srebrne ostrogi, przyniesione przezornie w kieszeni; z kolei rzeczy wsunąłem ręce w rękawy »strzeleckiej« bluzy. Szef zapiął sześć guzików i haftki kołnierza. Leżała jak ulana.

Należność została zapłacona. Szatki cywilne poleciłem odesłać. Kapelusik zielony ustąpił miejsca zwykłej, granatowej, stróżowskiej maciejówce (innych jeszcze nie było), do tej czapki nad daszkiem przypięte zostało godło Państwa. Nie był to jeszcze ów orzeł strzelecki, którego otrzymałem później. O ile pamiętam, była to, nabyta w jakimś niezupełnie chrześcijańskim sklepie, broszka damska, przedstawiająca orła Jagiellonów z koroną na głowie, podobna jednak zupełnie do obecnego naszego godła Rzeczypospolitej".

Ta relacja, spisana przez autora tak dokładnie, jest cennym zapisem dokumentującym szczegółowy wygląd umundurowania. Dość niewielka część żołnierzy spisujących autobiografie zwracała uwagę na szczegóły mundurowe, tym cenniejsze są więc dzisiaj wszystkie zachowane opisy detali. Autor powyższego, Karol Koźmiński, dołączył do 1. Dywizjonu Ułanów i pełnił w nim służbę przez blisko rok. Ranny pod Trojanówką na Wołyniu, 7 lipca 1916 roku dostał się do niewoli rosyjskiej. Walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, a po zdemobilizowaniu pracował w Ministerstwie Spraw Wojskowych. W 1927 roku był sekretarzem marsz. Józefa Piłsudskiego. Opublikował dwa tomy wspomnień i liczne powieści. W czasie gdy Karol Koźmiński oraz jego brat Stanisław pełnili służbę w Dywizjonie Ułanów I Brygady Legionów Polskich, ich trzeci brat, Jan Xawery Koźmiński, po przeciwnej stronie frontu nosił również mundur polskiego ułana, walcząc w szeregach 1. Pułku Ułanów Krechowieckich.



Fot. NAC

Weterani 1. Pułku Ułanów LP w mundurach historycznych po pogrzebie płk. Władysława Beliny-Prażmowskiego; Kraków, październik 1938 roku

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*

Żywe ruiny Warszawy

Tomasz Stańczyk



Fot. Henry N. Cobb

Plac Zamkowy; wśród ruin Starego Miasta widać pozostałości Kolumny Zygmunta

Fotografie czarno-białe, nawet dramatyczne, tworzą pewien dystans pomiędzy nami a tym, co na nich widzimy. Ponieważ świat postrzegamy w kolorach, kolorowe zdjęcia ruin Warszawy, wykonane krótko po wojnie przez Henry'ego N. Cobba, robią niezwykłe wrażenie.

W 1947 roku Amerykanin Henry N. Cobb, student architektury, znalazł się w Polsce jako członek grupy amerykańskich i kanadyjskich architektów, którzy chcieli zapoznać się ze zniszczeniami europejskich metropolii oraz kwestiami ich odbudowy. Na trasie podróży nie mogło zabraknąć polskich miast. Henry N. Cobb fotografował Warszawę, która została niemal kompletnie zniszczona podczas II wojny światowej. Robił zdjęcia także we Wrocławiu i Szczecinie.

Slajdy Cobba przeleżały w pudełku ponad sześćdziesiąt lat. To, że możemy je dzisiaj oglądać w albumie *1947. Barwy ruin* Marii Sołtys i Krzysztofa Jaszczyńskiego, wydanym przez Dom Spotkań z Historią, jest dziełem przypadku. W ubiegłym roku firma architektoniczna, w której pracował Henry N. Cobb, wzięła udział w konkursie na realizację budynku w Warszawie. Wówczas przypomniał on sobie o swoich starych slajdach.

Cobb, poruszony stopniem zniszczenia Warszawy, Szczecina i Wrocławia, fotografował ruiny tych miast. Stał się mimowolnym dokumentalistą, bo przecież to nie zwiedzanie ruin, lecz kwestie odbudowy były celem wyprawy do Europy. Członkowie grupy architektów i planistów zza oceanu spotykali się z pracownikami Biura Odbudowy Stolicy, byli goszczeni przez znanych architektów Helenę i Szymona Syrkusów. Celem europejskiej wycieczki było też zapoznanie się z eksperymentami budowlanymi. Jednym z nich było



Stalowa konstrukcja wieżowca Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Prudential" przy pl. Napoleona (obecnie pl. Powstańców Warszawy) przetrwała uderzenia pocisków 600 mm z moździerza „Karl"

osiedle Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Kole, zaprojektowane przez Syrkusów – budowa rozpoczęła się właśnie w roku 1947 – a także zrealizowane jeszcze przed wojną osiedle WSM na Żoliborzu.

Podczas gdy Cobb postrzegał ruiny jako miejsce przyszłej budowy, w Biurze Odbudowy Stolicy toczył się spór między „zabytkarzami" i „modernizatorami". Ci pierwsi chcieli zachować jak największą część zabytkowej substancji miasta. Drudzy, do których należał Syrkus, byli skłonni do realizacji swoich koncepcji kosztem tradycji i zabytków miasta. Cobb był po stronie „modernizatorów". Do rodziców pisał: „Sympatyzuję z lewicowymi postulatami, z którymi zetknąłem się we wspomnianych krajach". Chciał uczestniczyć w odbudowie Warszawy, jednak przekreśliła to zimna wojna. Przestrogą mógł być los Hermanna Fielda, organizatora wycieczki architektów i planistów z USA i Kanady po Europie. Zatrzymany w Warszawie w 1949 roku, przesiedział w areszcie pięć lat.

Cobb fotografował m.in. warszawskie Stare Miasto, pl. Zamkowy i pl. Krasińskich. Wszystkie te miejsca zostały odbudowane. Jednak wiele kamienic z przełomu XIX i XX wieku, choć nadawały się do odbudowy, zostało wyburzonych ze względów ideologicznych. A to one w dużej mierze nadawały charakter miastu. Nie uznawano wówczas tych domów za zabytki – o ich losie przesądziło to, że uważano je za pomniki burżuazyjnych ambicji i mieszczańskiego gustu.

Rozebrano na przykład luksusową kamienicę Maurycego Spokornego w Alejach Ujazdowskich, jeden z najciekawszych domów secesyjnych w Warszawie. Być może Cobb miał jeszcze okazję ją widzieć lub być świadkiem wyburzania, co nastąpiło właśnie w 1947 roku.

Odbudowano natomiast przedstawiony na zdjęciach Cobba wieżowiec towarzystwa ubezpieczeniowego „Prudential", który był symbolem nowoczesnej przedwojennej Warszawy. Stalowa konstrukcja tego gmachu – autorstwa prof. Stefana Bryły (i Venčeslava Poniža), zamordowanego przez Niemców w publicznej egzekucji na warszawskiej ulicy – podczas Powstania Warszawskiego przetrwała uderzenia pocisków 600 mm z moździerza „Karl".

Obnażony szkielet konstrukcji pokiereszowanego „Prudentialu" widać na fotografiach Cobba. „Prudential" miał odzyskać swój przedwojenny kształt. Chyba ciekawszy i bardziej wartościowy niż ten, jaki mu nadała przebudowa. I tu pojawia się problem miejsc z historią. Czy należy odtwarzać ich dawny wygląd – czy też pozostawiać je takimi, jakimi zna je dziś większość ludzi?

Być może zostanie w końcu odbudowany – wysadzony w powietrze przez Niemców – stołeczny Pałac Saski, w którego ocalałej części kolumnady umieszczono Grób Nieznanego Żołnierza. Już wiele razy przymierzano się do tej rekonstrukcji. Warszawa zyskałaby jeszcze jeden odtworzony historyczny gmach. Ale straciłaby symbol zniszczenia miasta. Odbudować Pałac Saski i wtopić ponownie w kolumnadę (jej zachowany fragment) Grób Nieznanego Żołnierza czy też zostawić go w takim kształcie, w jakim istnieje od prawie siedemdziesięciu lat – oto jest pytanie o sposób postępowania z miejscami związanymi z historią.

Tomasz Stańczyk – dziennikarz zajmujący się tematyką historyczną, głównie dziejami Polski w XX wieku



Maria Sołtys, Krzysztof Jaszczyński, *1947. Barwy ruin*, Dom Spotkań z Historią 2012



Zrównane z ziemią dawne getto, w oddali widoczne zrujnowane Nowe i Stare Miasto

Fot. Henry N. Cobb

Zapalmy światło wolności

Anna Brojer

W przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia 1981 roku prezydent Ronald Reagan wystąpił z orędziem do narodu amerykańskiego. Polacy wtedy już od dziesięciu dni żyli w warunkach stanu wojennego. Prezydent USA właśnie im poświęcił obszerną część swojego wystąpienia.

„Tegoroczne święta Bożego Narodzenia przynoszą dzielnemu narodowi polskiemu niewiele radości. Polacy zostali zdradzeni przez własny rząd. Ci, którzy nimi rządzą, oraz ich totalitarni sojusznicy obawiają się wolności, którą Polacy tak bardzo umiłowali. Na pierwsze przejawy wolności rządzący odpowiedzieli brutalną siłą, zabójstwami, masowymi aresztowaniami i utworzeniem obozów internowania" – mówił Reagan.

W przemówieniu padły zdecydowane słowa potępienia wobec autorów stanu wojennego, deklaracja zorganizowania pomocy żywnościowej dla opozycji i uchodźców oraz całkowitego poparcia rządu amerykańskiego dla wolnościowych dążeń Solidarności. Prezydent zwrócił się do rodaków o symboliczne wyrażenie jedności z Polakami. W oknach amerykańskich domów, także w Białym Domu, w wieczór wigilijny miały zapłonąć świece. „We wcześniejszych latach XX wieku za sprawą panoszącego się zła pojawiła się groźba, że światła całego świata zgasną. Niech płomień milionów świec w amerykańskich domach będzie świadectwem, że światła wolności nie uda się zgasić" – apelował prezydent. Ten wyjątkowy gest przywódcy Stanów Zjednoczonych zapisał się w historii jako jeden z najbardziej wyrazistych przejawów sprzeciwu wobec stanu wojennego. Tej zimy także w oknie Pałacu Apostolskiego w Watykanie zapłonęła świeca. Na znak jedności z rodakami zapalił ją papież Jan Paweł II.



W tym roku mija 31 lat od momentu, gdy mocą uchwały Rady Państwa, wbrew przepisom Konstytucji PRL, wprowadzono w Polsce stan wojenny. Każdy z żyjących wtedy Polaków ma z tego dnia osobiste wspomnienia. Jedni pamiętają dziecięce rozczarowanie niedzielą bez *Teleranka*, inni wyłączone telefony i szok związany z obecnością czołgów na ulicach. Większość ma nadal przed oczami złowrogie wystąpienie telewizyjne generała Wojciecha Jaruzelskiego.

Czasem jednak pamięć płata figle i sprawia, że moment budzący grozę, obawy o życie i dezorientację postrzegamy po latach jako komiczny. Dla młodego pokolenia wydarzenia zimy 1981 roku i kolejnych lat terroru często są już zupełnie pozbawione znaczenia, ledwo dając się odróżnić od innych tragicznych wydarzeń zamierzchłych czasów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Dokładna liczba ofiar stanu wojennego jest nie do określenia. Wiemy, ile osób poniosło śmierć w wyniku zastrzelenia i pobicia przez milicję i ZOMO (choć wyliczenia poszczególnych badaczy różnią się między sobą), wiemy, ilu zostało internowanych. Nie do policzenia są zaś ci, którzy zostali pobici, stracili pracę czy zostali zmuszeni do emigracji. Złamane życiorysy wielu wybitnych artystów, intelektualistów i działaczy społecznych to także niepowetowana strata dla polskiej kultury, nauki i gospodarki.

Nie wiemy wreszcie, ilu jest takich, których stan zdrowia pogorszył się gwałtownie w wyniku stresu związanego z represjami władz. Ilu umarło nie od kuli czy pobicia, a bardziej „zwyczajnie" – na zawał serca czy w wyniku udaru, które nie wystąpiłyby, gdyby nie tragiczne wydarzenia początku lat osiemdziesiątych. Nie znamy liczby tych, którym z powodu niedziałających telefonów nie pomogło pogotowie. Ich nie ma w żadnych statystykach. Niewielu z nas, myśląc o ofiarach, pamięta też o dzieciach osób internowanych, które niejednokrotnie oddawano do domów dziecka, niewielu myśli o tych osieroconych. Swoje piętno stan wojenny odcisnął na życiu większości polskich rodzin.

Każdy 13 grudnia, każda rocznica wyjścia wojska na ulice miast i zdławienia tlącej się w Polsce wolności daje nam możliwość nie tylko odświeżenia pamięci o wszystkich ofiarach i złożenia im hołdu. Jest też okazją do pewnej manifestacji związanej z naszym dzisiejszym życiem.

Nawiązując do legendarnego już wezwania prezydenta Ronalda Reagana, Instytut Pamięci Narodowej namawia Polaków do wystawienia w oknach domów Światła Wolności. Zapalmy je 13 grudnia o 19.30 w oknach naszych domów albo wirtualnie na stronie www.ipn.gov.pl. Niech będzie znakiem pamięci o ofiarach stanu wojennego i wyrazem przywiązania do idei wolności, demokracji i prawdy, niezależnie od czasu i warunków politycznych.

Kampania „Ofiarom stanu wojennego. Zapal Światło Wolności" jest częścią ogólnopolskiej akcji rocznicowej, w ramach której oddziały Instytutu Pamięci Narodowej w całym kraju zorganizują rocznicowe imprezy i spotkania edukacyjne. Do szkół wysłane zostaną egzemplarze filmu Kazimierza Kutza *Śmierć jak kromka chleba* o pacyfikacji

kopalni „Wujek”. Pracujący w niej górnicy protestowali przeciw wprowadzeniu stanu wojennego, a 16 grudnia 1981 zostali zaatakowani przez oddziały ZOMO i MO, wsparte przez czołgi i wozy bojowe. Pacyfikujący użyli ostrej amunicji – od kul zginęło 9 górników, a 21 zostało rannych. Namawiamy nauczycieli historii z gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych, by film o tych tragicznych wydarzeniach pokazali młodzieży w czwartek 13 grudnia.

Obraz Kazimierza Kutza – choć sugestywny i poruszający – nie jest rzecz jasna historyczną kroniką wydarzeń. Może być jednak narzędziem do wzbudzenia w młodych ciekawości, stanowić zachętę do zadania pytań o genezę, przebieg i konsekwencje stanu wojennego. Pokazanie losów konkretnych ludzi jest także sposobem na uwrażliwienie uczniów, którzy czytając nierzadko zbyt lapidarne opracowania podręcznikowe, widzą nie tragedię realnych ludzi, ale zimne zestawienia liczb, dat i danych.

Zapal Światło Wolności. Pokaż, że pamiętasz o ofiarach stanu wojennego.

Szczegółowe programy obchodów rocznicowych w poszczególnych województwach można znaleźć na stronie www.ipn.gov.pl.

Weź udział w konkursie na fotografię przedstawiającą akcję „Ofiarom stanu wojennego. Zapal Światło Wolności”. Na zdjęcia czekamy do 17 grudnia pod adresem edu@ipn.gov.pl



Na zwycięzców czekają atrakcyjne nagrody!



„Kamienie Pamięci. Nauczyciele Historii Prawdziwej”
Projekt edukacyjny Instytutu Pamięci Narodowej

Zgłoszenia pod adresem:
kamieniepamieci@ipn.gov.pl

Więcej informacji na stronie
www.kamieniepamieci.ipn.gov.pl

- znajdź nauczyciela, który nie bał się uczyć prawdziwej historii
- dowiedz się więcej o tej postaci
- opracuj jego portfolio
- upowszechnij wiedzę o nim
- prześlij do IPN raport końcowy

Rozwiązanie konkursu z nr. 7/2012



Zdecydowana większość uczestników konkursu odpowiedziała prawidłowo: na zdjęciu przedstawiono myśliwiec Hawker Hurricane, który w tym ujęciu można zidentyfikować m.in po kształcie steru kierunku, dużej chłodnicy oleju pod kadłubem i okratowanej osłonie kabiny pilota.

Jest tu jednak pułapka, na którą niektórzy dali się nabrać – i o to, złośliwie się przyznam, chodziło. Samolot przedstawiony na zdjęciu UDAJE maszynę z dywizjonu 303 z czasu Bitwy o Anglię. Na przynależność do dywizjonu ma wskazywać charakterystyczne okrągłe godło jednostki namalowane pod masztem anteny, natomiast na czas – brak jasnego pasa szybkiej identyfikacji na ogonie. O UDAWANIU zaś świadczą fikcyjne litery kodowe MI (dywizjon 303 używał liter RF) oraz polska szachownica lotnicza, której „303” podczas tej bitwy nie stosował. Samo zdjęcie pochodzi z Bitwy o Anglię – ale nie prawdziwej, tylko filmowej, z 1969 roku...



Spośród autorów prawidłowych odpowiedzi szczęście w losowaniu egzemplarza gry „303” z podpisami autorów mieli:

Damian Siebieszuk z Bielska Podlaskiego

Paweł Król z Gorzowa Wielkopolskiego

Dominik Dąbrowski z Sieradza

Nagrody prześlemy pocztą.

Serdecznie gratuluję!
Tomasz Ginter

Redakcja pragnie serdecznie podziękować Panom Zbigniewowi Sochajowi i Krystianowi Szczepańskiemu za udostępnienie modeli samolotów, które posłużyły do zilustrowania artykułu Tomasza Gintera w nr. 7/2012

Opowieści z podziemia

Będzie strajk Krystyny Zalewskiej to historia jednego z głównych środowisk warszawskiej opozycji z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, które tworzyło podziemne pismo „Wola", Międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny, Duszpasterstwo Ludzi Pracy i Grupy Polityczne „Wola".

Książka jest zbiorem kilkunastu relacji opracowanych i ułożonych według klucza tematycznego. Uzupełniają je fragmenty dokumentów wytworzonych przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa oraz teksty drukowane w podziemnej prasie. Znajdziemy tu również eseje Michała Boniego, Andrzeja Urbańskiego i Macieja Zalewskiego. Autorka jest córką tego ostatniego, ale – jak się wydaje – udało się jej uniknąć nierównego traktowania rozmówców.

Krystyna Zalewska nie pomija spraw trudnych, jak konflikty pomiędzy ludźmi z tego środowiska. Opublikowane zostały wypowiedzi w sprawie Michała Boniego, który w ewidencji SB był od 1988 roku zarejestrowany jako tajny współpracownik. Nie odnaleziono dotychczas jednak żadnych dokumentów w tej sprawie, zaś z relacji Michała Boniego wynika, że w 1985 roku pod naciskiem SB w sprawach dotyczących jego bliskich podpisał deklarację współpracy, ale nigdy jej nie podjął. Książka Krystyny Zalewskiej przynosi historykom uzupełniające źródła w tej sprawie.

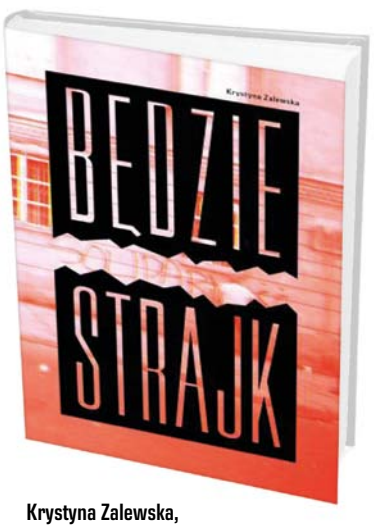
Środowisko „Woli" i MKK było nowe – nie miało właściwie korzeni w opozycji przedsierpniowej. Należało do niego wielu młodych ludzi, którzy w dorosłość wchodzili już w czasach Solidarności. Byli wśród nich studenci Macieja Zalewskiego czy Michała Boniego, którzy zostali wprowadzeni do działań opozycyjnych przez swoich wykładowców. Ten moment barwnie wspomina kierująca kolportażem Aleksandra Zawłocka. Chodzi o jedną z demonstracji. „Cośmy się wychylali z tego zaułka na Chmielnej na Marszałkowską, to podjeżdżała wodolejka. Oczywiście leciały też petardy gazowe – było strasznie dużo gazu. I nagle zobaczyłam chłopaka, jak na konspiratora przystało w zielonej kurtce – wtedy wszyscy konspiratorzy chodzili w amerykańskich kurtkach wojskowych z demobilu. Miał bandanę na twarzy, czerwoną i budował najdłuższą barykadę świata. Wyciągali z tego pasażu za Domami Centrum ławki i budowali w poprzek Marszałkowskiej [...]. Przy którejś ławeczce zaczęłam pomagać, bo bardzo mi się ta idea podobała, żeby budować taką długą barykadę. No i nagle ten chłopak w czerwonej bandanie mówi do mnie: »A co ty tu robisz, dziewczynko?«. Ja patrzę, a to jest mój wykładowca, który wykłada teorię kultury, niejaki Maciek Zalewski. »Robię dokładnie to samo, co pan, panie magistrze – mówię – budujemy barykadę«". Niedługo później Aleksandra Zawłocka kolportowała podziemną prasę.

Z opublikowanych relacji wyłania się jedna z najciekawszych cech tego środowiska: wspólne działanie bardzo różnych ludzi. Współpracowali w nim naukowcy głównie z kręgu polonistyki, którymi byli redaktorzy „Woli", z robotnikami. W książce znalazły się wspomnienia m.in. pracownika Instytutu Badań Literackich PAN Piotra Stasińskiego czy historyka idei z Uniwersytetu Warszawskiego Andrzeja Mencwela, lekarki Ewy Choromańskiej, Mariana Parchowskiego z Miejskich Zakładów Komunikacyjnych i taksówkarza Andrzeja Klamanna. Wyłaniający się z tych opowieści obraz ukazuje zgodną współpracę osób o różnych poglądach. Może to obraz nieco wyidealizowany, ale z pewnością zawierający wiele prawdy o tym środowisku.

Za mankament można uznać brak wstępu wprowadzającego czytelnika w historię tego środowiska i brak przypisów wyjaśniających niektóre problemy czy prostujących nieścisłe informacje pojawiające się w relacjach. To uwagi ważne dla historyka przyzwyczajonego do pewnych zasad wydawania źródeł. Jednocześnie nie zmienia to wartości tych relacji i pracy wykonanej przez autorkę, która nie jest historykiem, a wykazała się umiejętnością rozmowy ze świadkami historii, co przecież nie jest łatwe.

Książka Krystyny Zalewskiej to zapis emocji lat osiemdziesiątych. W relacjach pojawia się satysfakcja z wykonywanej pracy, radość, ale też smutek i strach. Nie brakowało przecież momentów dramatycznych. Trudnym doświadczeniem dla opozycjonistów były pobyty w aresztach i więzieniach, gdzie mieli kontakt z zupełnie innym światem – światem kryminalistów, który rządził się swoimi prawami. Ich więzienne opowieści to też historia trwania w oporze. Z relacji można dowiedzieć się wiele o życiu codziennym uczestników ruchu podziemnej Solidarności, ich stylu życia, poglądach, pasjach, problemach i zasadach działania konspiracji.

Ważne w książce są również fotografie, pokazujące atmosferę tamtego czasu. Przyjrzyjmy się jednej z nich. Jest 1985 rok. Dwóch mężczyzn spaceruje po warszawskim Ursynowie; każdy z nich prowadzi przed sobą wózek. To pozornie zupełnie zwyczajny obrazek z życia codziennego. Mężczyźni na zdjęciu to jednak konspiratorzy: Maciej Zalewski i Michał Boni. Nie wiemy, czy rozmawiali wtedy o sprawach prywatnych, literaturze, polityce, wspólnych znajomych i imprezach czy o druku lub kolportażu. Możliwe, że o wszystkich tych sprawach naraz. Książka Krystyny Zalewskiej pokazuje takie właśnie sytuacje, w których przenikały się sprawy polityczne z prywatnymi, zabawa z patosem, ryzyko z radością. Opozycjonistów łączyła bowiem nie tylko polityka, ale też – a może przede wszystkim – silne więzi zaufania i przyjaźni.



Krystyna Zalewska, *Będzie strajk*, Wydawnictwo Tres Piedras, Warszawa 2012, ss. 408

Jan Olaszek

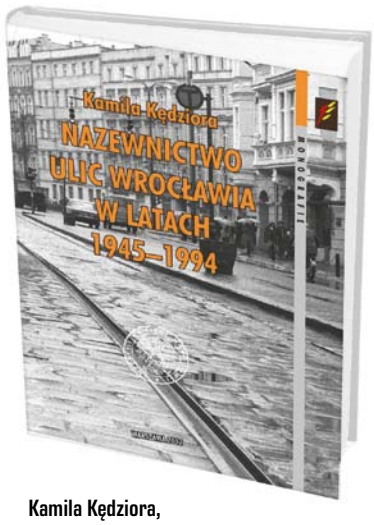
Wrocławskie historie ulic

Historia dzieje się nie tylko na ulicach. Czasami śledzenie tego, jak zmieniają się tabliczki z ich nazwami, okazuje się nie mniej fascynujące niż walki uliczne albo gabinetowe narady. Znakomicie udowadnia to Kamila Kędziora w książce *Nazewnictwo ulic Wrocławia w latach 1945–1994*, uhonorowana nagrodą im. Władysława Pobóg-Malinowskiego za najlepszy debiut historyczny w kategorii prac magisterskich.

W 1945 roku, w wyniku ustaleń Wielkiej Trójki, stolica Dolnego Śląska po paruset latach ponownie stała się częścią Polski. Tym samym przestała być nazywana po niemiecku – Breslau – a stała się znowu Wrocławiem. Nazwa ta pochodziła od słowiańskiego Vratislava czy też Wrócisława. Powrót do słowiańskich, piastowskich korzeni w nazewnictwie ulic i dzielnic miasta był oczywisty. Ale kształtowano je także zgodnie ze zmieniającymi się politycznymi potrzebami. To również świetnie widać w książce Kędziory.

Najszybciej polskie brzmienie otrzymały nazwy niektórych osiedli Wrocławia, np. Osobowice czy Krzyki, które wcześniej miały zgermanizowane formy: Oswitz i Krietern. Historyczne nazwy ulic – np. Krupnicza, Solna, Młyńska – przywracano głównie w okolicy Starego Miasta i Śródmieścia. Pojawiła się także ul. Polska – jej nazwa pochodzi z 1345 roku. Część z tych nazw jednak szybko została ponownie zmieniona: Krupniczą przemianowano na Marcelego Nowotki, a pl. Strzelecki za patrona dostał Karola Marksa. W 1950 roku ul. Świdnicką – reprezentacyjny deptak – przemianowano na Stalingradzką.

Swoje ulice otrzymali piastowscy książęta panujący na Śląsku: Henryk Brodaty, Henryk Pobożny i Henryk Prawy, lecz stracili je już w 1948 roku na rzecz patronów komunistycznych. Uchowała się jedynie ul. Henryka Pobożnego.



Kamila Kędziora, *Nazewnictwo ulic Wrocławia w latach 1945–1994*, IPN, Warszawa 2012, ss. 240

Polacy wypierali Niemców z nazw ulic. Aktorka Agnes Sorma, chociaż wrocławianka, zresztą polskiego pochodzenia, musiała ustąpić innej aktorce: Helenie Modrzejewskiej. Tracili swe ulice także niemieccy twórcy światowej sławy, co nawet w 1945 roku, mimo świeżej traumy po niemieckiej okupacji, krytykowano w dzienniku „Pionier", dziwiąc się, że Bach i Mozart są wypierani przez polskich kompozytorów mniejszego kalibru. Jednak wśród patronów ulic pozostali Jan Gutenberg i Wilhelm Röntgen.

W 1948 roku ul. Urszulanek przemianowano na Uniwersytetów Szwedzkich, honorując ich pomoc dla uniwersytetu we Wrocławiu. W 1956 roku ulica ta stała się po prostu Uniwersytecką.

Patronat nad ulicami Wrocławia w latach stalinowskich stracili także politycy II Rzeczypospolitej: Wincenty Witos, Ignacy Daszyński i Wojciech Korfanty. Na fali komunistycznego aknty klerykalizmu z tabliczek ulicy zniknęli święci Wincenty i Wojciech oraz zasłużony dla utrzymania języka polskiego na Śląsku bp Bernard Bogedain.

W 1957 roku ulicę Stalingradzką przemianowano znów na Świdnicką, ale dopiero w 1989 roku ulica Nowotki ponownie stała się Krupniczą i mógł się pojawić – w mieście, w którym zamieszkało po wojnie wielu lwowian – pl. Orląt Lwowskich (dotąd: Kirowa). Do 1994 roku usunięto nazwy ulic związane z komunistyczną ideologią.

Lektura książki Kamili Kędziory może być interesująca nie tylko dla wrocławian. Pokazuje bowiem, jak rozmaite bywały motywy nadawania nazw ulic i zmian ich patronów. Zamieszczony w książce aneks zawiera wykaz decyzji podjętych w tych sprawach.

Tomasz Stańczyk

UWAGA KONKURS!

Szanowni Czytelnicy, „Pamięć.pl" to miesięcznik tworzony z myślą o miłośnikach historii najnowszej. Chcemy, aby był tworzony także z pasją, a któż ma więcej pasji niż miłośnik tematu? Dlatego ogłaszamy konkurs na artykuł popularnonaukowy dotyczący historii Polski XX wieku. Zachęcamy do pisania przede wszystkim studentów, uczniów, nauczycieli i wszystkich, którzy interesują się dziejami najnowszymi. Tekst powinien być utworem oryginalnym, dotychczas niepublikowanym, nie dłuższym niż 15 tys. znaków ze spacjami, mieć charakter popularnonaukowy, być napisany przystępnie i ciekawie – z myślą o którymś z istniejących działów „Pamięci.pl" bądź jako zalążek zupełnie nowego.

Termin nadsyłania artykułów: 31 stycznia 2013 roku. Czekamy na nie pod adresem pamiec@ipn.gov.pl.

Nagrodą główną, oprócz publikacji na łamach naszego pisma (i standardowej umowy autorskiej wraz z honorarium), będzie bon na 30 dowolnie wybranych publikacji IPN do zrealizowania w ciągu roku. Nagrodą za zajęcie II miejsca – bon na 20 publikacji, za III miejsce – 10.

Pełny regulamin konkursu znajdą Państwo na naszej stronie internetowej.

Czytelnicy do piór!



■ *„Bez wątpienia było warto!" Z Markiem Adamkiewiczem rozmawia Michał Siedziako*, IPN Szczecin, Szczecin 2012, ss. 247 + aneks zdjęciowy



■ Dariusz Burczyk, *Wojskowy Sąd Rejonowy w Gdańsku (1946–1955). Inwentarz idealny*, IPN Gdańsk, Gdańsk 2012, ss. 69 [ss.1235 – płyta CD]



■ Ewa Chabros, Grzegorz Kmita „Patyczak", *Graffiti w PRL*, IPN, Wrocław 2012, ss. 166 + ss. 26



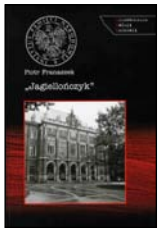
■ Jacek Chrobaczyński, *Dramatyczny rok 1943. Postawy i zachowania społeczeństwa polskiego w rozstrzygającym roku II wojny światowej*, IPN, Uniwersytet Pedagogiczny im. KEN w Krakowie, Rzeszów–Kraków 2012, ss. 647.



■ Marta Cobel-Tokarska, *Bezludna wyspa, nora, grób. Wojenne kryjówki Żydów w okupowanej Polsce* (seria „Monografie", t. 83), IPN, Warszawa 2012, ss. 304 + ss. 24 wkł. il.



■ *CzasyPismo o historii Górnego Śląska*, nr 1/2012, IPN, Katowice 2012, ss. 206



■ Piotr Franaszek, *„Jagiellończyk". Działania Służby Bezpieczeństwa wobec Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach osiemdziesiątych XX w.*, IPN, Kraków 2012, ss. 351



■ *Inwentarz zespołu archiwalnego Wojskowego Sądu Rejonowego w Szczecinie [1945] 1946–1955 [2008]*, wstęp Patrycja Pacyna i Tomasz Dźwigał, oprac. Tomasz Dźwigał, Radosław Gąsior, Marcin Manowski, Łucja Matysiak, Milena Michno, Patrycja Pacyna, Alicja Skubisz, Katarzyna Trojanowska, Marta Wierzbicka, IPN, Szczecin 2012, ss. 42 [ss. 638 – płyta CD]



■ Tomasz Kurpierz, Jarosław Neja, *„Solidarność" śląsko-dąbrowska 1980–1981. Szkic do monografii i dokumenty własne*, IPN, Katowice 2012, ss. 534



■ Aleksandra Namysło, *Utracone nadzieje. Ludność żydowska w województwie śląskim/katowickim w latach 1945–1970*, IPN, Katowice 2012, ss. 186



■ *Od Września do Norymbergi*, red. Filip Musiał, Jarosław Szarek, IPN, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2012, ss. 154 (seria „Z archiwów bezpieki – nieznane karty PRL", t. 18)



■ *Ostatnia dekada. Lata 1980–1990 w Łodzi i regionie okiem fotoreportera „Głosu Robotniczego"*, zdjęcia Marek Kowal, wstęp i oprac. Paweł Spodenkiewicz, IPN (Biblioteka Instytutu Pamięci Narodowej w Łodzi, t. XXIV), Łódź 2012, ss. 192.



■ *Pamięć i Sprawiedliwość. Pismo naukowe poświęcone historii najnowszej*, nr 1 (19) 2012, IPN, Warszawa 2012, ss. 592



■ Tomasz Sikorski, *Rzeczpospolita wielkiego narodu – wspólnota wolności i ładu. Refleksja geopolityczna Adama Doboszyńskiego i emigracyjnego środowiska „Walki". Perspektywa źródłowa*, IPN, Szczecin 2012, ss. 316



■ Anna Smółka-Gnauck, *Między wolnością a pokojem. Zarys historii Ruchu „Wolność i Pokój"*, IPN, Warszawa 2012, ss. 312 (seria „Monografie", t. 84)



■ Paweł Szulc, *Zniewolony eter. Polskie Radio Szczecin w latach 1945–1989*, IPN, Szczecin 2012, ss. 536.



■ Jafa Wallach, *Gorzka wolność. Wspomnienia ocalonej z Holocaustu*, IPN, Rzeszów 2012, ss. 180



■ *„Wierni do końca". Studia i materiały źródłowe o „Poznańskiej Piątce" Męczenników II wojny światowej*, red. Rafał Sierchuła i ks. Jarosław Wąsowicz SDB, IPN, Poznań 2012, ss. 210 („Studia i materiały poznańskiego IPN", tom XXI)

Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
00-207 Warszawa, pl. Krasińskich 2/4/6
Publikacje IPN można nabyć:
w siedzibie IPN
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 8:30–16:00
tel. (22) 581 88 72

w Centrum Edukacyjnym IPN
im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA
ul. Marszałkowska 21/25
00-625 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 10:00–18:00,
sobota w godz. 9:00–14:00
tel. (22) 576 30 06

Sprzedaż wysyłkowa publikacji
zamówienia można składać telefonicznie: tel. (22) 581 85 97; (22) 581 88 42; (22) 581 88 17; fax (22) 581 88 29
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną:
joanna.pamula@ipn.gov.pl; joanna.pszczola@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej:
www.ipn.poczytaj.pl